

Władimir
Sorokin

Cukrowy

Kremł

Сахарный Кремль

Przełożyła
Agnieszka Lubomira Piotrowska



Rusi, tyś cała pocałunek na mrozie!

Sinieją nocne drogi.

Welimir Chlebnikow

*Lecz ile samowoli kryje się w tej ciszy, która mnie tak nęci
i urzeka! Ileż gwałtu! Jakże złudny jest ten spokój!*

Astolphe de Custine, *Rosja w roku 1839*

Radość Marfuszki

Zimowy słoneczny promień poprzez okno oszronione przedarł się i w nosk Marfuszki trafił. Marfuszka otworzyła oczka, kichnęła. W najciekawszym momencie promyk ją obudził: Marfuszka znów śniła o zaczarowanym niebieskim gaju i o włochatych spryciakach w tym gaju. Puszczaly oczko spryciaki włochaty zza niebieskich drzew, wysuwały ogniste języki ze swoich gorących ust, wypisywały tymi językami na korze drzew świecące znaki, a wszystkie stare - prastare, trudne - arcytrudne, niepojęte i dla samych Chińczyków, takie hieroglify, że t a j e m n i c e wielkie i straszne odkrywają. Dusza zamiera od takiego snu, a śnić go jest nie wiedzieć czemu siłą przyjemnie.

Marfuszka odrzuciła nogą koldrę, przeciągnęła się, ujrzała na ścianie żywy obrazek ze staroruskim bohaterem Ilją Muromcem, na długogrzywym Siwku-Burku galopującym, i przypomniała sobie - dziś ostatnia niedziela. Ostatnia niedziela bożonarodzeniowego tygodnia. Jak cudownie! Święto Bożego Narodzenia ciągle jeszcze się nie skończyło! Atoli szkoła dopiero jutro. Marfuszka tydzień odpoczywała. Siedem dni budzik „miękki” o siódmej rano nie bulgotał, babunia za nogi nie szarpała, tatuś nie gderał, mama nie pospieszała, tornister z mądrą maszyną pleców nie przyginał.

Marfuszka wstała z łóżka, ziewnęła, stuknęła w drewniane przepierzenie:

- Ma-mo!

Brak odpowiedzi.

- Ma-a-amo!

Mama poruszyła się za przepierzeniem:

- Czego chcesz?

- Niczego.

- Jak niczego, to śpij sobie, wiercipięto...

Ale Marfuszka spać się już nie chce. Spojrzała na zamarznęte okno, rozświetlone słońcem, i od razu sobie przypomniała, j a k a dziś niedziela, podskoczyła w miejscu, klasnęła w dłoń:

- Prezencik!

Przypomniało słoneczko, przypomniały wzory mrozu na szybie o n a j w a ż n i e j s z y m:

- Prezencik!

Zapiszczała Marfusza z radości. I od razu się wystraszyła:

- A która to godzina?!

Wyskoczyła w koszulince nocnej, z warkoczem rozplecionym, potarganym za przepierzenie, na zegar spojrzała: dopiero pół do dziesiątej! Przeżegnała się przed ikonami:

- Dzięki Ci, Boże!

Prezenciki będą dopiero o szóstej. O szóstej, w ostatnią niedzielę Bożego Narodzenia!

- A czemu ty nie śpisz, co? - Niezadowolona mama uniosła się lekko na łóżku.

Poruszył się, zasapał leżący obok mamy ojciec, ale nie obudził się: wczoraj późno wrócił z placu Miusskiego, gdzie handlował swoimi drewnianymi papierośnicami, a nocą znów stukał swoim dłutem stolarskim, majstrował kołyskę dla przyszłego braciszka Marfuszki. Za to babka na przypiecku od razu się przebudziła, zakasłała, zacharczała, splunęła, mamrocząc:

- Najświętsza Panienko, daruj nam i zmiłuj się...

Ujrzała Marfuszę, zasyczała:

- A czemu ty, źmijo, nie dajesz ojcu spać?

Zakasłał też dziadek w swoim kącie, za drugim przepierzeniem. Marfusza schowała się w ubikacji - byle dalej od babki. Bo jeszcze wczepi się we włosy. Zła babka. A dziadzio dobrotliwy, gadatliwy. Mamunia poważna, ale dobra. A tatulek milczący i posepny wiecznie. No i to cała rodzina Marfuszy.

Marfusza odprawiła potrzebę, potem umyła twarz, patrząc na swoje odbicie w lustrze. Podoba się sobie Marfusza: liczko bielutkie, bez piegów, włosy płowe, proste, gładkie, oczy szare, po mamie, nos malutki, ale nie perkaty, po tacie, uszy duże, po dziadku, a brwi czarne, babcine. Przy swoich jedenastu latach Marfusza wiele umie: uczy się na „dobrze”, z mądrą maszyną jest na ty, na klawiaturze pisze z zamkniętymi oczyma, zna już sporo słów po chińsku, pomaga mamie, wyszywa krzyżykami i paciorkami, śpiewa w cerkwi, modlitw z łatwością uczy się na pamięć, lepi pierogi, myje podłogi, pierze.

Wyjęła ze szklanki swoją szczoteczkę do zębów w postaci żółto-czerwonego smoka, ożywiła ją, napełniła zębowym eliksirem, włożyła do ust. Trysnął smok na język przyjemniemiętowym, rzucił się na zęby, zaburczał. A Marfuszeńka w tym czasie grzebień we włosy wsunęła. Zajął się grzebień warstwową robotą swoją powszednią, bzyząc popęzł po płowych włosach Marfuszy. Dobrze ma włosy Marfusza! Gładkie, długie, jedwabiste. Takie włosy to dla grzebienia czysta przyjemność. Rozczesał je, wrócił na czubek głowy i wziął się do zaplatania warkocza. Marfuszeńka szczoteczkę-smoka z ust na dłoń wypluła, przemyła, do szklanki wstawiła. Mrugnął do niej smok-czyścik zębów oczkiem ognistym i zastygł do

następnego ranka.

A w kuchni już babcia niespożyta woła, krząta się:

- Marfa, nastaw samowar!

- Juszsz, baaabciu! - krzyknęła Marfusza w odpowiedzi, grzebień chiński pospieszyła:

- *Kuai-ji-diarr!*¹

Zawarczał grzebyk głośniej, szybciej zamigały „miękkie” zęby jego w płowych włosach. Wybrała Marfusza pomarańczową kokardę i parę wisienek, poczekała aż grzebyk dokończy swojego dzieła, i przez przepierzenia - do kuchni.

To już na siły Marfuszki napełnić samowar o pojemności półtora wiadra: naląła wodę, korę brzożową podpałiła, wrzuciła do czarnej gardzieli, a z góry - szyszki sosnowe, po które całą klasą jeździli ongiś do Srebrnego Boru. W ciągu tygodnia Marfusza uzbierała trzy worki szyszek. Pomoc to wielka dla rodziców. I dla mateczki Moskwy.

Zaskwierczała kora brzożowa, Marfusza na wierzch, na szyszki garść szczap rzuciła, nasadkę wstawiła, a drugi koniec - do dziurki w ścianie. Tam za ścianą - rura piecowa, wspólna na cały ich piętnastopiętrowy dom. Zagwizdał wesoło samowar, zaskwierczały szyszki.

Aż tu babka jak na zawołanie: ledwo odmówiła poranne pacierze, od razu wzięła się do rozpalania pieca. Teraz już wszyscy w Moskwie palą w piecach co rano, szykują obiad na rosyjskim piecu, jak Monarcha nakazał. Wielkaż to pomoc dla Rosji i ogromna oszczędność drogiego gazu. Lubi Marfusza patrzeć, jak drwa w piecu się rozpalają. Ale dziś nie ma czasu. Dziś jest szczególny dzień.

Marfusza udała się do swojego kącika, ubrała się, szybko się pomodliła, złożyła dyg głęboki przed żywym portretem Monarchy na ścianie:

- Bądź pozdrowiony, Panie nasz, Wasiliju Nikołajewiczu!

Uśmiecha się do niej Monarcha, oczyma niebieskimi spogląda dobrotliwie:

- Dzień dobry, Marfo Borisowna!

Dotknięciem prawej dłoni Marfusza ożywiła swoją mądrą maszynę:

- Dzień dobry, Mądralo!

Zapala się niebieska bańka w odpowiedzi, mruga porozumiewawczo:

- Dzień dobry, Marfuszko!

Stuka Marfusza w klawiaturę, wchodzi do inter-da, zrywa z Drzewa Nauki arkusiki szkolnych wiadomości:

¹ *Kuai-ji-diarr* (Chiń.) - szybciej (przyp. aut.).

Bożonarodzeniowe nabożeństwa dla uczniów
szkół cerkiewno-parafialnych.

Ogólnorosyjski konkurs lodowej rzeźby
monarszego konia Budzimira.

Bieg narciarski z chińskimi robotami.

Zjazd na sankach z Worobjowych Wzgórz.

Inicjatywa dzieci ze szkoły nr 62.

Marfusza otworzyła ostatni arkusik: *Szkolarze cerkiewno-parafialnej szkoły nr 62 postanowili również w Radosne Święto Narodzenia Bożego kontynuować patriotyczne wspomnienie bolszewskiej² cegielni zgodnie z państwowym programem Wielki Mur Rosyjski.*

Nie zdążyła do osobistych wiadomości zajrzeć, jak z tyłu dziadek tytoniowym odorem chuchnął:

- Dzień dobry, frygo! Co nowego na świecie?

- Szkolarze nawet w Boże Narodzenie lepią cegły! - odpowiada Marfusza.

- No, no! - kiwa głową dziadek, na świecąca bańkę patrzy. - Zuchy! Jak nic na Wielkanoc Mur ukończą!

I palcem Marfuszę w bok dźga. Śmieje się Marfusza, uśmiecha się pod wąsem siwym dziadek. Dobrego ma dziadka Marfusza. Dobrotliwy jest i rozmowny. Dużo, oj, dużo widział, dużo naopowiadał wnuczce o Rosji: i o Czerwonej Smucie, i o Białej Smucie, i o Szarej Smucie. I o tym, jak ojciec Monarchy, Nikołaj Płatonowicz, nakazał pobielić Kreml, a mauzoleum z czerwonym wichrzycielem ongiś zburzył, i o tym, jak lud rosyjski palił na placu Czerwonym swoje paszporty, i o Odrodzeniu Rusi, i o bohaterskich oprychnikach, tępiących wrogów wewnętrznych, i o cudownych dzieciach Monarchy i Monarchini, o ich czarodziejskich lalkach, i o białym koniu Budzimirze.

Łaskocze Marfuszę dziadek swoją brodą:

- No, wiercipięto, zapytaj swoją Mądralę, ilu cegieł brakuje w Murze?

² Bolszewo - osada dacz, modna szczególnie na przełomie XIX i XX wieku, mieszkali tam najznamienitsi poeci epoki (m. in. Anna Achmatowa). Po rewolucji większość dacz została zburzona i zbudowano na ich miejscu osiedle dla zdobywców kosmosu. Na życzenie Lenina powstała tam też bolszewska komuna pracy OGPU im. Jagody (przyp. tłum.).

Marfusza pyta. Odpowiada Mądrała głosem posłusznym:

- Do ukończenia Wielkiego Muru Rosyjskiego pozostało do ułożenia 62 876 543 cegły.

Dziadek mruga pouczająco:

- No, wnuczusiu, atoli jakby każdy szkolarz ulepił po cegiełce z gliny państwowej, toby Monarcha zaraz Mur ukończył i nastąpiłoby w Rosji szczęśliwe życie.

Wie o tym Marfusza. Wie, że nijak nie ukończą budowy Wielkiego Muru, bo przeszkadzają wrogowie zewnętrzni i wewnętrzni. Że wiele jeszcze cegiełek godzi się ulepić, żeby szczęście powszechne zapanowało. Rośnie, rośnie Wielki Mur, odgradza Rosję od zewnętrznych wrogów. A wewnętrznych - oprycznicy monarszy rozrywają na strzępy. Przecież za Wielkim Murem żyją cyberpunkci potępione, które gaz nasz bezprawnie ciągną, katolicy obłudni, protestanci niegodziwi, buddyści szaleni, muzułmanie zajadli i po prostu bezbożnicy rozpustni, sataniści, którzy przy p r z e k l ę t e j muzyce trzęsą się na placach, narkomani popaprani, nienasyceń sodomici, którzy w ciemności pupy sobie nawzajem świdrują, odmieńcy złowrodzy, którzy obraz swój przez Boga dany zmieniają, i plutokraci cheiwi, i wirtualiści szkodliwi, technotroni bezwzględni, i sadyści, i faszyci, i megaonaniści. O tych megaonanistach opowiadały Marfuszcy przyjaciółki, że to europejscy bezwstydnicy, którzy zamykają się po piwnicach, połykają ogniste tabletki i siusiaczki i cipcie sobie drażnią specjalnymi drażniącymi urządzeniami. Śnili się Marfuszcy megaonaniści już dwukrotnie, łapali ją w ciemnych piwnicach, wpychali się do cipeczki żelaznymi bosakami elektrycznymi. Straszne...

- Marfa, idź po chleb!

No tak, trzeba będzie wyjść na dwór. Jasne, nie chce się z rana, ale co robić. Naciągnęła Marfusza sweterek, nałożyła futerko swoje stare, z którego już wyrosła, wsunęła na nogi szare walonki, z pieca ściągnęła puchową chustę i narzuciła na głowę.

A babka podaje jej srebrnego rubla:

- Weź białego bochenek i czarnego ćwiartkę. Nie zapomnij reszty.

- A mnie papierosy kup, wnuczusiu. - Dziadek podkręca wąsy.

- I tak już cały dom zakopciłeś... - zrzędzi babka, zawiązując Marfuszce chustkę.

A dziadek wesoły babkę - tryk palcem w bok:

- Tak, tak, ryba to piękny ptak!

Babka aż podskoczyła, pieni się:

- A bogdaj cię... stary diable.

Obejmuje wesoły dziadek z tyłu jej wątłe ramiona.

- Nie sycz, Żmijo Timofiejewna! Później z emerytury ci podsypię.

- Ty podsypiesz, Zasysaczu Iwanowiczu, doczeka się człowiek! - Odpycha go babka, ale dziadek sprytnie kradnie jej całusa.

- Ach ty, wilku wyliniały! - śmieje się babka, obejmuje go i też całuje.

Marfusza wychodzi za drzwi.

Winda w dni świąteczne nie działa - zabroniono przez magistrat. Marfusza człapie z ósmego piętra piechotą, plaskając jednopalcymi rękawiczkami o porysowane ściany. Brudnawo w ciągach klatkowych, śmieci się walają, gównno leży niczym zaschnięte precle, ale to zrozumiałe: dom jest ziemski, a do ziemskich Monarcha już będzie sześć lat, jak żywi urazę. Bogu dzięki, ulica Mała Bronna wykupiła się od opryczników, inaczej byłoby z nią to samo, co z Ostożenką albo Nikitską. Pamięta Marfusza, jak buntowniczą Nikitską palili. Dymu było wówczas na całą Moskwę...

Wyszła Marfusza z klatki schodowej. Na podwórzu śnieg leży, a słońeczko na nim pobłyskuje. I dzieci bawią się na całego: Sieriożka Byrakow, Swieta Rogozina, Witka-Słonik, Tomiło, chłopak z bloku trzynastego i jakieś wełniane obdartusy z Sadowego. Bawią się już całe Boże Narodzenie w jedno i to samo, opryczników i szlachtę rodową. „Rodowi” zbudowali dwór ze śniegu, ukryli się w nim. „Oprycznicy” ich okrążyli: „Słowo i Dzieło!”. „Rodowi” wykupują się soplami. Aliści jak tylko kończą się sople, „oprycznicy” biorą dwór „rodowych” szturmem. No i właśnie w dwór poleciały śnieżki, zagwizdali „oprycznicy”, zaczęli głośno urągać:

- Hajda! Górze!

Marfuszeńka mija bitwę. Śnieżka trafia ją w plecy:

- Marfa, chodź się z nami nawalać!

Marfusza staje. Podbiegają do niej zaczerwienieni Swietka i Tomiło:

- Gdzie tak pędzisz?

- Muszę kupić chleb na śniadanie.

Pociąga nosem wąskooki Tomiło:

- Zali słyszałaś, na Wspólnym chłopaki przeklinają bezecznie. Na „ch” i na „p”.

- No, no! - Marfusza kręci głową. - A kto doniósł?

- Saszka - gołębiarz. On zadzwonił do Sieriogi, a Sierioga do swojego ojca. Ten - od razu do cyrkułu.

- Chwaty.

- Pobaw się z nami chociaż jedną rundkę. Będiesz księżną Bobryńską.

- Nie mogę. Rodzice czekają.

Marfusza poszła dalej.

Wyszła z podwórka, skierowała się do sklepiku Choprowa. Pięknie udekorowany sklepik - przy wejściu cieszą oko dwie strojne choinki, okna żywymi śnieżynkami się mienia, w rogu witryny - Dziadek Mróz ze Śnieżynką jadą w lodowych saniach. Marfusza wchodzi do sklepiku, dźwięczy miedziany dzwoneczek. A w sklepiu stoi już kolejka, ale nieduża, ze trzydzieści osób. Marfusza zajęła kolejkę za jakimś dziadkiem w chińskim waciaku, wbiła wzrok w witrynę. A tam, pod szkłem, leży wszystko, czym winno się handlować: mięso z kością i bez, kaczki i kurczaki, kielbasa pieczona i wędzona, mleko pełne i odciągane, masło i olej, cukierki Niezdarny niedźwiadek i Niedźwiadek na dalekiej północy. I jeszcze wódka żytnia i pszeniczna, papierosy Ojczyzna i papierosy Rosja, powidła śliwkowe i marmolada jabłkowa, pierniczki miętowe i zwykłe, sucharki z rodzynkami i bez, cukier sypki i cukier w kostkach, kasza jaglana i gryczana, chleb biały i czarny. Tak, trzeba będzie przez chleb i papierosy dla dziadka odstać całą kolejkę. Nagle Marfusza słyszy koło lady znajomy głosik:

- Pół funta cukru w kostkach, bochenek czarnego, ćwiartkę Żytniej i marmolady jabłkowej za dziesięć kopiejek.

Zinka Szmerlina z trzeciej klatki. Marfusza w te pędy do niej:

- Zina, weź mi chleb i papierosy.

Czarnooka i czarnowłosa Zinka niechętnie bierze rubla od Marfuszy. I zaraz ożywia się kolejka:

- Patrzenie ją, jaka prędką, nie może powstać w kolejce?

- Gdzie bez kolejki! Hola! Nie wpuszczajcie jej!

- No, spryciara!

Ale za ladą dziś stoi sam Choprow, a on lubi dzieciaczki:

- Starczy tego dziamgania! Nie obrażajcie dziewczuchy! Gdzie się spieszycie? I tak jutro pójdziecie do roboty.

Barczysty jest właściciel sklepiku, wysoki, z bujną rudą brodą, ubrany w czerwoną rubachę i owczy serdak. Podaje Choprow Marfuszy swoimi wielgachnymi rękoma papierosy i chleb, wydaje resztę, mruga małym, podlanym tłuszczem oczkiem:

- Leć! Żywe srebro!

Marfusza i Zina wychodzą ze sklepiku. Zina jest z niebogatej rodziny, niefartownej: ojciec jej, chociaż majster „ciepłych” robót, ale pije gorzałkę. A mamusia w ogóle nie bierze się do pracy. Dlatego też Zina ubożuchno odziana: walonki liche, waciak łatany, czapka niby z lisa, ale stara, sfatygowana, widać, że donaszana po starszej siostrze Tamarze.

- Z Tamarą wybierzesz się na plac Czerwony? - pyta Marfusza, siatkę z chlebem przyciskając do siebie wygodniej.

- Nie-e. - Kręci głową Zina. - Tamarka-kretynka teraz jest w Kołomnie, jedzie stamtąd nocnym. Pójdę z Waską.

Wasia to młodszy braciszek Ziny. Dobrze im - dwa prezenty dostaną. A Marfuszęce zostało czekać, aż mama braciszka urodzi.

Ledwo dwa domy minęła na Małej Bronnej, aż tu nagle z zaułka sam Amonia Kijewogorodski z psem swoim wiernym elektrycznym kroczy, a za nim wali tłum gapiów. Marfusza nawiedzonego Amonię jeno raz widziała, kiedy go nad placem Trubnym na sznurach podnosili, coby nieszczęście ujrzał. Wówczas ujrzał, że Monarchini drugi raz poroni przez urok, jaki rzuciła na nią wdowa strzelecka. Ową wdowę naówczas naród ostro potraktował - przewlekli ją po Zjeździe Wasiljewskim nad rzekę Moskwę i pod lód bosakami zaprzańca wepchnęli.

Zatrzymały się dziewczynki, patrzą na nawiedzonego. Idzie, przygarbiony, chudy, obdarty, w czymś podobny do żaby, prowadzi na sznurku psa swojego elektrycznego, wabiącego się Kade. Na piersi Amoni wisi ciężki żelazny krzyż, na ramionach łańcuchy, z uszu sterczą dębowe korki dla ochrony przed ludzką wrzawą. Babcia powiadała Marfuszcy, że one korki Amonia wyjmuje z uszu jeno raz do roku, na Przemienienie Pańskie, aby „usłyszeć szept światłości góry Tabor”. Z powodu onych korków dębowych Amonia nie rozmawia, jeno krzyczy zawsze na całe gardło. Tak krzyczy i teraz:

- Drogi nie widać! Ciemno iść!

Choć poranek nastał słoneczny, Amonia drogi nie widzi. Zatrzymuje się, zatrzymuje się też tłum.

- Poświeć! Poświeć! - krzyczy nawiedzony.

Pies Kade zapala swoje niebieskie oczy, świeci Amoni pod nogi. Amonia wspiera się na swoim kosturze, głowę wielką do samej ziemi pochyla, wącha śnieg, krzyczy:

- Czyjaś krwią zalatuje!

Tłum wokół Amoni ożywia się:

- Czyja to krew się poleje, Amonieczko?

- Kto ma się strzec?

- Gdzie się kryć?

- Gdzie świece stawiać?

- Komu dań nosić?

Amonia wącha śnieg. Wszyscy zamierają.

- Mała bieda! - wykrzykuje.

Tłum napiera, niecierpliwi się:

- Pokaż biedę! Pokaż biedę!

Amonia prostuje się, spod brwi krzaczastych miota wzrokiem rozjuszonym:

- Mała bieda! Mała bieda!

- Pokaż biedę! Pokaż biedę! - Tłum się przysuwa.

Kupcy i mieszczanie, obdartusy i biedota, pijacy i koksownicy, Chińczycy - domokrażni handlarze i Tatarzy - sprzedawcy grzanego miodu, wyrostki i dzieciarnia, wszyscy proszą:

- Pokaż biedę! Pokaż biedę!

Amonia prostuje się, rękę podrywa do góry:

- Podnieście mnie!

Tłum się poruszył, rzucił się i kołacze do drzwi i okien pobliskich domów. Mignęły w oknach twarze, a czworo milczących współtowarzyszy nawiedzonego ze swoich plecaków motki mocnych sznurków wyjmują. W mig zawisły sznury na balkonach, jak żmija zawył się z okien. Natychmiast zjawiał się wartownik, zamknął Małą Bronną: Amonia się wznosi! Zasada jest prosta: w jakim miejscu stolicy Amonia biedę pokazuje, tam naonczas wszystko winno zamierać.

Obwiązali Amonię sznurkami za pas, jego wierny pies stanął na tylnych łapach, rozstąpił się tłum. Naprężają się sznury, podnoszą Amonię, odrywają go od ziemi.

Tłum zamarł. Wszyscy patrzą. Podnoszą nawiedzonego Amonię nad Moskwą. Wyżej i wyżej. Drugie piętro, trzecie, czwarte. Piąte.

- Widzę małą biedę! - rozlega się nad tłumem.

Przestali ciągnąć za sznurki. Amonia Kijewogorodski zawisł między niebem a ziemią. Tłum stoi w dole, ani drgnie. Marfusza buzię otworzyła. Wpatruje się w wiszącego Amonię uporczywie.

- Krew strzelecka zostanie przelana w Zamoskworieczu! - wieszczy z powietrza Amonia.

- Oprycznicy stratuja w poniedziałek dwóch pułkowników. Ale maluczkich niełaska nie spotka.

Cizba ludzka odetchnęła z ulgą: mała to bieda, prawdę powiadał Amonia. Wśród zgromadzonych ludzi nie było strzelców. Jeno jakaś kobieta w futerku z karakułów przeżegnała się i wybiegła z tłumem.

- Opuszczajcie! - wrzeszczy Amonia, dygocząc w sznurach.

Opuszczają go na ziemię, z pęt go oswobadzają. A on wraz:

- Uzdrawiające!

Wyciągają się doń z cizby dłonie z darami. Jeden daje pieniądze, drugi jadło. Współtowarzysze i pies elektryczny pomagają zbierać dary.

- Ja cierpię! Ja cie-e-e-rpię! - z boleścią krzyczy Amonia.

Tłum żegna się znakiem krzyża i kłania się Amoni. Przeżegnała się również Marfuszeńka, pokłoniła nawiedzonemu. Granatowe oczy Kade zatrzymują się na jej siatce z chlebem i papierosami. Podchodzi barczysty współtowarzysz z workiem, w milczeniu worek rozwiera przed Marfuszą i Ziną. Pokornie dziewczynki wrzucają do worka wszystko, co trzymają w rękach.

- Cie-e-erpię! Ja cie-e-e-erpię! - wyje Amonia tak, że wielu spośród zgromadzonych ludzi zaczyna pochlipywać.

Odchodzi nawiedzony w dół Małej Bronnej. Tłum za nim wali. A Zina i Marfuszeńka odrętwiale odprowadzają ich wzrokiem.

Gwizdnął wartownik, stłoczone na ulicy samochody przepuszcza. Dziewczynki oprzytomniały: trzeba znowu iść do sklepiku. Marfuszki zostało z rubla całe osiemdziesiąt kopiejek, a Zinie raptem trzy kopiejki.

- Godzi się rodzicom powiedzieć - rozmyśla Zina. - Pożyczysz dzwoneczek?

Zinka wiecznie ma przeterminowaną gadaczkę.

- Dzwon. - Marfusza zdejmuje z ucha swoją gadaczkę, podaje Zince.

Zinka dostraja czerwono-brązową gadaczkę do swojego płatka usznego:

- Alkonost, dwa, dwa, dziewięć, czterdzieści sześć, pięćdziesiąt, osiem.

Rodzina Ziny ma najtańszego operatora dalekomówiących połączeń - Alkonost. Rodzina Marfuszki korzysta czasowo z operatora Sirin. Nie dlatego, że Zawarzinowie są zdecydowanie bogatsi od Szmerlinów. Po prostu pół roku temu tata Marfuszki kierownikowi referatu z Izby Łączności wystrugał we włościach ołtarzyk ze Zbawicielem i Apostołami. I tak ów ołtarzyk spodobał się kierownikowi referatu, że podłączył rodzinę Zawarzinów do Sirina na całe dziewięć bezpłatnych miesięcy.

- Mamo, ja tu całe szamanko oddałam nawiedzonemu Amoni - mówi Zina.

- Oj, głupia ty, głupia - słyhać w odpowiedzi. - Ojciec bez wódki za próg cię nie wpuści.

- Zostały mi trzy kopiejki.

- No i za nie kupisz.

Zinka z westchnieniem oddaje gadaczkę:

- Nic nie poradzę, idę na plac Puszkina zdzierać gardło, śpiewać *Rozłękę*. Może ubieram na ćwiartuchnę.

- No to z Bogiem - kiwa głową Marfusza i odwraca się w stronę sklepiku.

Dla Zinki sępienie to nie pierwszozna. A Marfusza nie ma prawa pożyczać jej pieniędzy.

W sklepiku tymczasem kolejka jeszcze bardziej się wydłużyła - w ostatni dzień świąt u

wszystkich jadło jest na wykończeniu. I jak na złość nikogo znajomego w tej kolejce. Nie ma wyjścia - Marfusza odstała swoje i znowu rzecze do sążnistego Choprowa:

- Białego bochenek, czarnego ćwiartkę i paczkę papierosów.

Sklepikarz mruży obrzęknięte oczka.

- Ee! Wiercipięto, toż ty dopiero co brałaś. Już zbrakło twoim? Zjedli chleb i się opalili?

- Paramonie Kuźmiczu, wszystko oddałam nawiedzonemu Amoni.

Choprow drapie się po rudej brodzie.

- No proszę. Zuch dziewczka. To miła Bogu rzecz.

I po chwili wsuwa rękę do pudła z landrynkami i podaje Marfuszy:

- Naści.

- Pokornie dziękuję.

Marfuszeńka bierze landrynki, chleb, papierosy i pędzi prosto do domu. Landrynkę wsunęła do ust, idzie, cmokta, spieszy się, skręca z Małej Bronnej, a z parteru narożnej kamienicy słychać przez otwarty lufcik:

- Aj, nie będę! Aj! Aj, nie będę!

A różga śwista i trzaska. Marfusza zwolniła kroku, zatrzymała się.

- Ała, nie będę! Oj, nie będę!

Jakiś chłopak bierze baty. Śwista różga, trzaska po gołych pośladkach. Najwyraźniej ojciec chłoszce. Tatuś Marfuszy nigdy nie chłoszce, jeno mamunia. A i ona z rzadka, dzięki Bogu. Ostatni raz - przed Bożym Narodzeniem, kiedy przez nieroztropność Marfuszy dwie kreski kokochy drogocennej zdmuchnął przeciąg. Tego wieczoru mama z tatą w kuchni usiedli po pracowitym dniu, usypali trzy kreski białej, a Marfusza akurat wynosiła śmieci i drzwi na oścież rozwarła. A jak na złość w kuchni lufcik był otwarty. Pociągnęło z klatki schodowej z rozbitego okna, atoli tak, że cała kokocha rozpyliła się po kątach. Ojciec z dziadkiem w krzyk. Babka - dawaj szczypać-szarpać. A mamusia w milczeniu ułożyła Marfuszę na dwuosobowym łóżku i gołą pupę skakanką złoila. Marfusza płakała, a dziadek z tatą pełzali po kuchni, ślinili palce i pył biały zbierali...

Marfusza weszła na klatkę schodową, a tam trzech żebraków pije pod kaloryferem. Rozścielili sobie gazetę „Odrodzenie”, rozłożyli na niej to, co o poranku uzbierali, i pojadają, rozpijają butelkę samogonu. Atoli żebracy napływowi, nie miejscowi, a na oko widać, że nawet nie moskwianie: jeden stary, siwy jak gołębek, drugi czarniawy, krzepki, ale bez obu nóg, a trzeci - małolat. I widać, że samogon zakupili u Chińczyków na placu Puszkina: w „miękkiej” butelce ten samogonek.

- Dużo zdrówka, córko - uśmiecha się do niej stary.

- I wam nie zachorzeć - mamrocze Marfusza, mijając ich.

Zacząła wchodzić po schodach, aliści pomyślała: należałoby donieść dozorcę. Żebracy bywają różni. W bloku nr 15 wpuścili na okres bożonarodzeniowy przebierańców, a ci przelecieli się po trzech mieszkaniach z gazowymi pistoletami i sobie „zakolędowali” trzy worki rupieci. Obcy żebracy w najlepszym wypadku napaskudzą na klatce schodowej, a w najgorszym - coś ukradną.

Marfusza dzwoni do mieszkania dozorcę na drugim piętrze. Drzwi otwiera dozorcowa w wałkach na głowie i z papierosem w zębach.

- Czego chcesz?

- A tam na dole żebracy piją samogon.

Powiedziała i w te pędy na górę po schodach.

Dobiegła na swoje piętro, wysunęła głowę przez rozbite okno: co będzie? Minęła chwila, na dole hałas, trzasnęły drzwi:

- O matulu moja kochana!

Wyłazi z klatki schodowej stary, trzyma się za tyłek, za nim wybiega chłopak, potem - inwalida gramoli się na swoich kikutach. A za nimi dozorca Andrieicz z elektryczną pałą. Przymierzył się, puścił niebieską błyskawicę inwalidzie w kulasa. Inwalida zawył, zaklął:

- Ożeż ty w dupę kopany!

Dozorca mu wygraża:

- Bo zaraz puszczę czerwoną! A potem zawloką cię, łobuzie, do cyrkułu!

Stary z chłopcem łapią inwalidę, ciągną, byle dalej. Chłopaki na podwórku za nimi głośno urągają, ciskają śnieżkami. Czerwononosy Andrieicz spluwa na śnieg, składa pałkę, znika w klatce schodowej.

Dobry uczynek, państwowy, wykonany. Marfusza, zadowolona, dzwoni do swoich drzwi. Otwiera babka, aż ją trzęsie ze złości.

- Gdzieś ty się zawieruszyła, zmijo?!

Dziadek, idąc z łazienki, podśmiewa się za babcinym ramieniem:

- Pewnikiem pytlowała gdzieś ozorem z koleżaneczką!

I ojciec ponuro z kuchni:

- Marfę to jeno po śmierć wysyłać.

- Widziałam Amonię nawiedzonego - tłumaczy się Marfusza. - On tam na ulicy się podnosił, a potem o uzdrawiające prosił. No i oddałam mu chleb i papierosy. Trzeba było od nowa kupować.

Babka cichnie, warczy:

- Patrzcie no, jak to mu się nadarzyło...
- I co on tam wypatrzył? - zainteresował się dziadek.
- Będą gnębić strzelców.
- No i Bóg z nimi. - Babka macha ręką, zabierając od Marfuszki chleb.
- Nie ubędzie im - mruży pod nosem ojciec.
- Nie ubędzie, co prawda, to prawda! - Dziadek zapala papierosa.
- O, jakie mordy utuczylili bez wojny. - Matka ziewa z nieupiętymi włosami, wychylając się z łazienki. - Woronin, morda, trzema mercami się rozbija. Siadajcie do stołu, śniadanie...

Pomodlili się całą rodziną do błogosławionego Pańskiego Nikoły, zjedli na śniadanie kaszę jaglaną z mlekiem, popili chińską herbatą z białym chlebem z jabłkową marmoladą. Ojciec guzdrał się chwilę z papierośnicami i poszedł na swój plac Miusski, handlować. Mama z babcią wybrały się do cerkwi. Dziadek z sankami ruszył na Arbat po drwa. A Marfuszka została w domu - zmywać naczynia. Umyła talerze i garnki, potem przeprała i przeprasowała sobie kołnierzyki szkolne. A później usiadła z Mądrąłą grać w „Guojie”³. Grała do obiadu, ale *baojian*⁴ w końcu nie mogła znaleźć. Należy go szukać nie w zamku, lecz w podziemiu, tam, gdzie stoją gliniani wojownicy, a potem ożywają i rzucają się, wydostają się spod ziemi, podpełzają do naszej granicy. Póki się z nimi bijesz, *baojian* świeci na niebiesko, a jak ich pokonasz - od razu znika. Spróbuj go tu znaleźć! A Kolka Baszkirczew opowiadał, że jak *baojian* znajdziesz, od razu wszyscy wrogowie padają trupem, a młody Monarcha żeni się z księżniczką Sung Jung, a dla dziewczynek jest „gałazka”: wesele. Tam, powiedział, jest bardzo ładnie, panna młoda w czasie przyjęcia sześciokrotnie zmienia stroje, a potem jest jeszcze jedna „gałazka”, zakazana: co młodzi nocą w łóżnicy czynią. Oglądanie tego jest s u r o w o zabronione! I Marfuszka nigdy tego oglądać nie będzie. A chłopcy, którzy znaleźli *baojian*, oglądają...

Minęło jeszcze kilka godzin. Zakukała kukułka ścienna. Powróciły z cerkwi mama i babcia, przywłókł się dziadek z sankami drew, przyszedł też ojciec z placu radosny: sprzedał trzy papierośnice. To ci wyczyn! Nasamprzód kupił w aptece zołotnik⁵ kokochy. Wciągnęli z mamą, piwem domowym zapili i dziadkowi z babką co nieco się dostało. Ojciec to wiecznie przygnębiiony i rozweselić go może jeno kokocha. Jakby się staje kimś innym - gadatliwy, ożywiony, z wigorem. A kiedy ojciec z wigorem, to od razu śpiewa piosenki: *Jesień, Mało mi się spało, Jasny sokół na śniegu, Tęsknica, Dziarski Chazbulat*. Siedli z mamą i dziadkiem w

³ „Guojie” (chiń.) - „Granica państwa”, gra komputerowa 4D, bardzo popularna w Nowej Rosji po słynnych wydarzeniach sierpnia 2027 roku (przyp. aut.).

⁴ *Baojian* (chiń.) - miecz (przyp. aut.).

kuchni i śpiewają. Śpiewali i śpiewali, do łez, jak zawsze. Marfusza tymczasem ciepłą kaszę spałaszowała, zaszła na szkolne Drzewo, popatrzyła, co jutro w szkole się szykuje:

1. Prawo Boże
2. Historia Rosji
3. Matematyka
4. Język chiński
5. Zajęcia praktyczne
6. Chór

Sześć lekcji, sporawo.

Z Prawem Bożym Marfusza od dawna jest za pan brat, historię państwa rosyjskiego czci, chińskiego uczy się pilnie, na zajęciach praktycznych jest zawsze roztropna, dobrze śpiewa w chórze, ale matematyka... Nieprosta to nauka dla Marfuszy. I bakałarz Jurij Witaljewicz nie jest łatwy. Oj, niełatwy! Wysoki, chudy, subtelny jak *baojian*, potwornie surowy. Jeszcze w pierwszej klasie, kiedy uczyli się arytmetyki, Jurij Witaljewicz przechadzał się po klasie, powtarzając swoim skrzypiącym głosem: „Arytmetyka, dzieci, to wielka nauka”. A już o matematyce nie ma co mówić... Z trudem przychodzi ona Marfuszy: już osiemnaście razy stawiał ją Jurij Witaljewicz do kąta, siedem razy - na kolanach, cztery razy - na suchym grochu.

Przekartkowała Marfusza podręcznik znieawidzonej matematyki, zamknęła, odstawiła na półkę. Straszni są bakałarze. Ale są też dobrzy, serdeczni. Choćby ten od wychowania fizycznego, Paweł Nikitycz: spojrz - jakby obdarzył czerwońcem. Ulubione jego zajęcie dla dziewczynek: biegi. Na pięćset sążni⁶ pędem i na pięćdziesiąt - ze zrywem. Latem - w kitajkach, a zimą - na nartach. Dziewczynki biegają, a on dodaje im animuszu:

- Wal, wal, wal!

Marfuszy najlepiej wychodzi bieganie ze zrywem - jest szybkonoga, rzutka. Dwukrotnie jeździła na zawody rejonowe. Zajęła miejsce czwarte i szóste.

Powłóczyła się Marfusza po inter-da, no i znowu wzięła się do swojej gry „Guojie”. I tak upłynął czas do wieczora: czwarta godzina, piąta, pół do szóstej. Naonczas serce Marfuszy zadrżało: przyszła pora! Przyszykowała ją mama, wystroiła, nową chustkę z białego puchu zawiązała, przeżegnała znakiem krzyża na drogę.

⁵ Zolotnik - stara miara ciężaru 1/96 funta, ok. 4,26 g (przyp. tłum.).

⁶ Sążeń - stara rosyjska miara długości równa 2,13 m (przyp. tłum.).

- Idź, córeńko.

Marfuszeńka wyszła na dwór, serce jej kołacze. A pod blokiem ze wszystkich sześciu klatek schodowych idą pięknie odziane dzieci. Jest i Zina Olszowa, i Stasik Iwanow, i Sasza Gulajewa, i Maszka Morkowicz, i Kolacha Kozłow. Z nimi Marfusza wyszła na ulicę Bolszaja Bronnaja. A tą ulicą idą już inne dzieci - dziesiątki, setki dzieci! Na placu Puszkina Marfusza skrzyła w ulicę Twerską - cała Twerska pełna dzieci. Dzieci wielką cizbą krocą Twerską w stronę Kremla. Dorosłych w tej cizbie nie ma wcale, nie godzi się im. Oni swoje podarki już otrzymali. Na krańcach cizby dziecięcej podążają konni strażnicy porządku. W tłumie idzie Marfusza. Jej serce wali, zamiera w uniesieniu. Coraz wolniej porusza się dziecięca rzeka, coraz więcej wlewa się do niej dzieci z bocznych ulic i zaułków. Oto już plac Maneżowy. Marfusza przecięła go wraz z cizbą. Jeszcze krok, jeszcze, jeszcze, jeszcze - i bucik Marfuszy stąpił na kostkę brukową placu Czerwonego. Tłum przemieszcza się wolnym krokiem, pełnie jak gąsienica wielgachna. Pod nogami Marfuszy jest już plac Czerwony. Zawsze zapiera dech w piersiach widok tego placu. Tutaj nagradza się bohaterów Rosji, tutaj karze się śmiercią jej wrogów. W jednej chwili rozbrzmiały kuranty na Wieży Spasskiej: godzina szósta! Zatrzymała się dziecięca rzeka, zamarła. Umilkł zgiełk. Pogasty wokół światła. I w górze, na zimowych obłokach oblicze Monarchy ogromne się wyświetliło.

- WITAJCIE, DZIECI ROSJI! - zagrzmiało nad placem.

W odpowiedzi dzieci zakrzyknęły, podskoczyły, zamachały rękami. Podskoczyła i Marfusza. Patrzy z lubością na Monarchę. A on uśmiecha się z obłoków, ciepło spozierają jego niebieskie oczy. Jakież piękny jest Monarcha Wszech Rusi! Jak piękny i dobry! Jak mądry i czuły! Jak potężny i niezłomny!

- WESOŁYCH ŚWIĄT BOŻEGO NARODZENIA, DZIECI ROSJI!

I nagle, jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki, poprzez obłoki, poprzez twarz Monarchy tysiące baloników czerwonych w dół opada. I do każdego balonika błyszczące pudełeczko jest przywiązane. Chwytają dzieci pudełeczka, podskakują, ciągną baloniki do siebie. Marfusza chwyta balonik, który spadł z nieba, przyciąga do siebie pudełeczko. Stojące obok niej dzieci także chwytają pudełeczka.

- BĄDŹCIE SZCZĘŚLIWE, DZIECI ROSJI! - grzmi z nieba.

Uśmiecha się Monarcha. I znika.

Łzy uniesienia tryskają z oczu Marfuszy. Pochlipując, przyciskając pudełeczko do futerka swojego z panofiksów, przemieszcza się z tłumem do Zjazdu Wasilewskiego, mija chram Błogosławionego Wasilija. I jak tylko swobodniej się robi w cizbie, niecierpliwie otwiera błyszczące pudełeczko. A w tym pudełeczku - cukrowy Kreml! Dokładne odzwierciedlenie

Kremla białokamiennego. Z wieżami i soborami, z dzwonnica Iwana Wielkiego! Przyciska Marfusza Kreml cukrowy do ust, całuje, liże językiem po drodze...

Późnym wieczorem Marfusza leży w swoim łóżeczku, zaciskając w lepkiej piątce cukrową Wieżę Spasską. Przytulnie Marfuszki pod kołdrą pikowaną, i wieży cukrowej w dziewiczej piątce takż. Jen o ostrze wieżyczki z orłem dwugłowym z piątki wychyńło.

Świeci księżyc przez okno oszronione, błyszczyc na cukrowym orle dwugłowym. Patrzy Marfusza na orła pobłyskującego cukrem i jej powieki napływają zmęczeniem. To był wielki dzień. Dobry. Radosny.

Uroczyście było wieczorem w rodzinie Zawarzinów: ustawili cukrowy Kreml na stole, zapalili świece, oglądali, prowadzili rozmowy. A potem tatuś wyjął młoteczek i rozłupał Kreml na części - każdą wieżę oddzielił. A Marfuszeńka kremłowskie wieże rozdawała bliskim: Borowicką - ojcu, Nikolską - mamie, Kutafię - dziadkowi, Troicką - babce. A wieży Zbrojowni na rodzinnej naradzie postanowili nie zjadać, jeno zostawić do narodzin Marfuszynego braciszka. Niech on ją zje i sił mocarza nabierze. Natomiast mury kremłowskie, sobory i dzwonnice Iwana Wielkiego sami zjedli, popijając chińską herbatą...

Zamykając powieki, wkłada Marfusza orła dwugłowego do ust, kładzie na języku, ssie.

Zasypia szczęśliwym snem.

I śni jej się cukrowy Monarcha na białym koniu.

Dziady kalwaryjskie

Środek kwietnia. Okolice Moskwy. Zmierzcha. Gruzy dworu Kunicyna obróconego w perzynę przez opryczników. Przez wylom w wysokim ogrodzeniu na teren dworu przechodzą dziady wędrownie - SOFRON, SŁABIAK WANIUSZA i FROŁOWICZ. WANIUSZA jest ślepy, FROŁOWICZ bez nogi, SŁABIAK kulawy. Z czarnego gruzowiska domu wybiega sfora bezdomnych psów. Szczekają na kaleki.

SŁABIAK (*podnosi odłamek cegły, rzuca w psy*) Precz, sprzedawczyki!

WANIUSZA (*zatrzymuje się*) I tutaj pieski?

FROŁOWICZ (*gwiżdże, macha kulami na psy*) Ulu-lu-lu-lu!

Psy, odszczekując się, uciekają.

FROŁOWICZ (*ze zmęczeniem pociera się po krzyżu, rozgląda się dokoła*) Panie Boże nasz...
A to faktycznie to samo miejsce!

SOFRON A o czym ja ci, bracholu, gadam. To, to...

WANIUSZA Sofroniuszka, a tyś powiadał, miedziany dach z kogutem, co?

SOFRON Dach był, był. Przysięgam na krzyż. (żegna się znakiem krzyża) I dach, i terem, i spichlerze, i stodoły, i psiarnia. I pasieka z sadem. Sześćdziesiąt uli! Wszystko było. A o-o-o tam, przy bramie stała stróżówka. Tam nas z Frołowiczem przygarnął dobry człowiek Alosza. Gospodarzy nie było, no to nas wpuścił do siebie na noc. Dobry człowiek.

FROŁOWICZ Jako żywo tak. Nie to że wpuścił, aliści i zupki chińskiej wlał. I po jabłuszku dał. U nich owego roku dużo się różnych jabłuszek urodziło... Ino teraz nie widać cosik ani stróżówki, ani stróża. Widzisz, Sofronia, jaka rujnacja?

SOFRON Co mam nie widzieć.

SŁABIAK (*głośno smarka*) Wszystko popalili okrutniki.

SOFRON I stróżówkę, nawet stróżówkę spalili.

WANIUSZA A kto?

SŁABIAK (*z niezadowoleniem*) Kto, kto... Ten i ów, co ma w dupie rów! Oprycznicy, jasna sprawa.

SOFRON O, tam nad bramą jest ich znak - es de. Słowo i Dzieło.

WANIUSZA Na kijku, tak?

SŁABIAK (*ze złością*) Na kijku!

WANIUSZA I co, nic nie zostało?

SOFRON Ni hu-hu.

WANIUSZA A sad?

FROŁOWICZ Jaki sad?

WANIUSZA No, gdzie jabłka dojrzewały?

FROŁOWICZ (*przygląda się*) A sad chyba jakby cały... o tam, za pogorzelskiem. To musi sad, co, Sofronia?

SOFRON Wygląda na to, że tak.

WANIUSZA Lubię sady. Ich upajającą woń.

SŁABIAK Woń, woń... Tu nogi ciężą, w kałdunie kiszki marsza grają, a ty mi tu - woń!

SOFRON Nie zaszkodziłoby coś poszamać. Poszamać i pocieszyć się.

FROŁOWICZ Jak się rozlokujemy, to zagospodarujemy kuchnię, *(zmierza do ruin domu)*
Czyżby tam naprawdę było pusto?

SOFRON A kto by tam miał być? Psy i wrony.

WANIUSZA *(trzymając się ramienia SŁABIAKA)* Pieski zawsze są na pogorzelsku. Ciepło im tam.

SŁABIAK Jakie tam ciepło... Dwór spalili chyba jeszcze zimą. To jakie im tu ciepło - same ożogi.

WANIUSZA Ale tutaj ludzie mieszkali. I pieski to czują. Tam gdzie człowiek pożył, tam zawsze pozostaje ciepło.

FROŁOWICZ Należałoby ogień rozniecić. Idźcie, nazbierajcie patyków, a my z Wanią upitrasimy zupkę.

WANIUSZA A w sadzie nie ma jabłek?

SŁABIAK *(chodzi po ruinach, zbiera opalone drewnienka)* Jakie mogą być jabłka w kwietniu!

WANIUSZA Kiedy sad jest porzucony, to jabłuszka mogą się uchować pod śniegiem. Czekają przecież na wiosnę, żeby ziarenka skryć w ziemi.

SŁABIAK Czekaj tatka latka! *(śmieje się)* Wania, ty normalnie jak nawiedzony!

WANIUSZA Nie, Słabiaczku, nie nawiedzonym. Albowiem modłę się mało. Aby dostąpić nawiedzenia, należy się modlić do Boga, aby zesłał na ciebie Ducha Świętego. Kiedy Duch zstąpi, stajesz się nawiedzony. Nawiedzonemu człowiekowi ani chłód, ani głód nie straszne, albowiem z nim jest Duch Święty. A ja marznę, jeść chcę. *(śmieje się)* To jaki ze mnie nawiedzony?!

SŁABIAK i SOFRON przynoszą stertę opalonych drew.

FROŁOWICZ wyciąga zapalniczkę gazową, rozpala ognisko, ustawia nad nim trójnog zawieszając kociołek.

FROŁOWICZ *(do SOFRONA)* Tam pod płótem jest zasma. Idź, zaczerpnij.

SOFRON chwytając kociołek, nabiera do niego śniegu i wraca.

WANIUSZA A co, śnieżek jeszcze leży?

SOFRON Leży, a gdzie ma się podziać? *(zawieszając kociołek na trójnogu, przegarnia ogień)*

FROŁOWICZ *(rozścielając przy ognisku ceratę)* No co, wywalamy?

SOFRON No dobra, Słabiak. Dzisiaj ci się nie udało - jutro mnie. *(rozwiązuje swój worek)*

FROŁOWICZ A co ci, Słabiak, mówił świętej pamięci Tsao? Nie odłączaj się. Proś ze wszystkimi. Albowiem wszystkim dają więcej niż jednemu.

SOFRON Święta prawda. Mądry był człowiek z tego Tsao. A ty, Słabiak, jesteś człowiekiem płonnej myśli.

FROŁOWICZ Ja nie mam nogi, a i tak sam bym nie poszedł po prośbie!

FROŁOWICZ Nawet Samson kadłubek sam teraz nie pełza. Nastaly inne czasy! Sam niczego nie zwojujesz. A ty - sam i sam. No to masz swoje „sam” - bez worka! *(śmieje się)*

SŁABIAK *(wychodząc z siebie)* A ty myślisz, że co, chciałem zgarnąć wszystko dla siebie?! Chciałem jak najlepiej!

SOFRON Chciałeś. I bez worka zostałeś.

FROŁOWICZ i SOFRON śmieją się.

WANIUSZA *(dotykając SŁABIAKA)* Zabrali ci woreczek, Słabiaczku? No i Bóg z nim. Złych ludzi teraz jest bez liku. Zło, ono przecież narasta, narasta, dopóki go dobro nie przełamie. A

w takich czasach należy... Słabiaczku, bierz mój woreczek. Ja mam głębokie kieszenie, datki spokojnie mogę chować w kieszeniach. Bierz!

SOFRON Nie o worek tu chodzi, Wania. Głową godzi się myśleć.

SŁABIAK Potwornie mądrzy jesteście obaj z Frołowiczem. A kto na Wielkanoc wam wieprzowiny przyniósł? Kto dwie baby wielkanocne przytaszczył?! Kto w Mytiszczech od ziemskich na Chrzt Pański pół kury wydebił śpiewem?! Zapomnieliście?

SOFRON No, chodź, prędziutko zarachujemy, kto co wyśpiewał! Najpierw pół kury wyśpiewał, aliści potem worek prześpiewał.

SŁABIAK Ale przecie nie twój worek! Nie twój!

FROŁOWICZ Dobra, starczy tych połajanek. Siadajcie, pouczujemy.

FROŁOWICZ i SOFRON wywalają na ceratę zawartość trzech worków.

FROŁOWICZ Tak, są kurze obgryzione kości z Pstrokatej kurki. Wybieraj i do kociołka. O! (*śmieje się radośnie*) Sporo mi się udało wykosić! I bez pyszczenia zgarnąłem!

SOFRON Jak tyś tam przelazł, nie mam pojęcia. Przecież tam zawsze stoi odźwierny.

FROŁOWICZ Pewnikiem odszedł za potrzebą. A myśmy wtedy śpiewali naprzeciwno na stacji paliw.

WANIUSZA Tak. O Dzieciątku Jezus. I nikt nie szturchnął...

FROŁOWICZ Kiedym przyuważył, jako odźwierny poszedł sobie - zrazu do drzwi myk i prześlizgnąłem się. Dałem nura pod stół, spojrzałem - a na dwóch stołach stoją cztery talerze z obgryzionymi kośćmi!

SŁABIAK Miałeś szczęście.

FROŁOWICZ Dopóki dziewczucha posługaczka ze swoim wózkiem się guzdrała, podpełzłem i

te kościane ogryzki - do worka, do worka. I nikt nie robił rabanu! Cap worek - i do drzwi. I tyle mnie widzieli!

SOFRON Miałeś szczęście z szafarzami. Ja onegdaj do Chińczyków na Preczistencie w *sanming shitan* ^{wsunąłem} się sepić, to zarutko mnie przyuważyli i elektryki do dupy wpuścili. Po zapachu dranie rozpoznali.

FROŁOWICZ (*kiwa głową*) Po zapachu. Wszystko przez zapach...

SŁABIAK Wszystkie nieszczęścia.

WANIUSZA Święta prawda. Pachniemy nie tak jak wszyscy. No i czyści ludzie brzydzą się. A znowu pieski - odwrotnie, przymilają się do nas. A na czystych ludzi szczekają.

SŁABIAK No, uczeplił się tych psów! Mnie psy nigdy nie lubiły. Ani kiedy czysty chodziłem, ani teraz, (*gmera w obgryzionych kościach i resztkach*) A to co?

SOFRON Zabawka z podarunczkiem. Jeden chłopczyk wrzucił.

SŁABIAK A podarunczek można jeść?

SOFRON Nie wiem. Daj no. (*bierze zabawkowy okrągły chlebek, otwiera - w środku taki sam okrągły chlebek, tylko mniejszy*)

CHLEBEK *Ni ha! Ni hao ma, shagua?*⁷

SOFRON *Ni shi shagua.*⁸ (*zamyka chlebek*) Ot, Tsao by z tobą pogadał... Nie, toto jest niejadalne. (*wrzuca zabawkę do ognia*)

FROŁOWICZ Chłopaki, chleb kładźcie oddzielnie, jak zawsze.

SŁABIAK Chleba ludzie dużo nadawali.

SOFRON No tak... A pieniędzy tera całkiem już nie dają.

⁷ *Ni ha! Ni hao ma, shagua?* (chiń.) - Cześć! Jak się miewasz kretynie? (przyp. aut.).

⁸ *Ni shi shagua* (chiń.) - Sam jesteś kretyn (przyp. aut.).

FROŁOWICZ Siła żebraków do Moskwy się nazjeżdżało. To i nie dają.

WANIUSZA Bo durnie. Wszyscy się pchają do Moskwy, myślą, jako tu się pieniądze walają pod nogami.

SOFRON Wania, przecie ci mówiłem: żebraków dużo, bo wsie coraz więcej palą. Pierwej jeno jednych ziemskich palili, i to jeno w Moskwie. A tera zaczęli palić razem z włościami całe wsie, żeby ziemski za swoich służebnych pańszczyźnianych odpowiadał. Zrozumiałeś?

WANIUSZA Zrozumiałem, Sofroniuszka.

FROŁOWICZ A pogorzelnicy - co do jednego walą do Moskwy! Jasne, przestaną ludziska dawać, a jakże! Na Twerskiej żebraków - że się nie przepchasz! Na wszystkich przecie pieniędzy nie nastarczysz.

WANIUSZA Pogorzelnicy jadą do Moskwy, bo w Moskwie dużo ludzi. I myślą sobie pogorzelnicy, jako u każdego człowieka można prosić jałmużny. O tak oni myślą.

SOFRON A prosić to można. Pytanie tylko - czy ten człeczyna ją da?

FROŁOWICZ Moskwianie mają serca z lodu. Łzami ich nie roztopisz. A naszych pieśni nawet darmo nie chcą.

SOFRON Co prawda, to prawda. Pieśni to oni tera nie słuchają. Rok do tyłu słuchali, a tera już nie słuchają. Sprawiedliwie zmarły Tsao powiadał - trza się wycofywać z Moskwy pod Moskwę. Tam lud bardziej litościwy. No i tak to wyszło. We wiosce pieniędzy nie dadzą, a chleba nawalą. Atoli chodzimy pod Moskwą i chwała Bogu.

WANIUSZA Tsao mądry był. Pamiętasz, Słabiaczku, jak on ci powtarzał: „Lepiej nie kraść, tylko prosić”?

SŁABIAK (*krząta się wokół wrzącego kociołka*) Ta, pamiętam, pamiętam... o, zagotowało się. Zawsze to prosić bezpieczniej. Ale wypić też się chce. A wódkę dawać jako jałmużnę nie godzi się.

SOFRON Boże, no czepił się tej wódki jak rzep psiego ogona! Nie było dnia, żeby o tej przeklętej wódce nie mówił.

FROŁOWICZ Od wódki w głowie huczy i nogi słabną.

WANIUSZA Mój tatuś świętej pamięci wódkę lubił. Gorzka taka.

SOFRON Gorzka, niedobra. Jak ją można pić... nie pojmuję.

FROŁOWICZ Ludziska wszystko wpychają do ust.

SŁABIAK A ja tam lubię napić się wódeczki. Szczególnie zimą. Od niej ciepelko po żyłach się rozplywa.

SOFRON Pieniądze jeno na nią trwonić. Paskudztwo jest paskudztwo. I pożytku żadnego. No to co, bracia, pocieszymy się?

FROŁOWICZ, WANIUSZA, SŁABIAK *(szykując łyżki, obracają się w stronę kociołka)*
Pocieszymy się.

SOFRON wyjmuje gałganek, rozwija; w gałganku jest pudełko z miękkimi ampulkami; na opakowaniu „żywy” obrazek: na łysej głowie człowieka nagle zaczynają rosnać kwiaty, człowiek uśmiecha się, otwiera usta i z ust wylatują dwa złote znaki xing fu⁹.

FROŁOWICZ Ile?

SOFRON *(wzdychając)* Siedem.

SŁABIAK Nie starczy na dwa obiady.

WANIUSZA Jak to - siedem? Było przecież dziesięć?

SOFRON Trzy wczoraj oddaliśmy krawężnikom w Pierchuszkowie, koło gospody. Nie pamiętasz?

⁹ Xing fu (chiń.) - szczęście (przyp. aut.).

WANIUSZA Wczoraj?

SOFRON Wczoraj. Kiedyście z Frołowiczem śpiewali o atamanie Kudejarze¹⁰.

FROŁOWICZ Toż on nie widział. Krawężniki podeszły, Sofronia w milczeniu wsunął im trzy sztuki. Żeby nie przeszkadzali. No to się odczepili.

WANIUSZA Tak. Wychodzi na to, że nie widziałem. A wyście nic nie mówili.

FROŁOWICZ A po co to mleć ozorem po próżnicy?

SŁABIAK zdejmuje kociołek z ognia, SOFRON kładzie pośrodku ceraty kawałek deski, SŁABIAK stawia na nim kociołek. FROŁOWICZ wyjmuje łyżki, rozdaje.

SOFRON No, co, bracia, wrzucimy pięć, a dwie zostawimy? Czy wrzucimy wszystkie siedem?

FROŁOWICZ Dwie nas jutro i tak nie uratują. Pokłócimy się.

SŁABIAK Pokłócimy się.

SOFRON Pokłócimy się.

WANIUSZA Siedem - nie za dużo?

SOFRON Mocniej weźmie. W sam raz.

WANIUSZA Jak uważasz, Sofroniuszka.

SOFRON rozrywa ampulki, wytrząsa ich zawartość do polewki; wyjmuje fiolkę z ciemnoczerwoną cieczą, wkrapla do kociołka siedemdziesiąt kropli.

SOFRON (do SŁABIAKA) Dawaj cukier.

¹⁰ Najbardziej krwawy legendarny bohater rosyjskiego folkloru od XVI wieku (przyp. tłum).

SŁABIAK bobruje po kieszeniach, wyciąga foliową torebkę i odkrywa, że jest pusta.

SOFRON Gdzie cukier?

SŁABIAK (*maca się po kieszeniach*) Boże, nie zawiązałem torebki... wysypał się...

FROŁOWICZ A w kieszeni?

SŁABIAK wywraca kieszeń na lewą stronę, na dnie kieszeni dziurka.

SŁABIAK Wyleciał cukiereczek... Bracia, wybaczcie.

FROŁOWICZ uderza Słabiaka kulą.

SOFRON Fujaro! Jak my teraz żreć będziemy?!

SŁABIAK Wybaczcie, bracia, nie po złości. To nie po złości. Nie po złości.

FROŁOWICZ No, jaki gnojek! Jak ci można cokolwiek powierzyć?! Skąd my tera cukier weźmiemy?! No już - kuśtykaj na stację po cukier! W dyrdy, gnido!

WANIUSZA Ja mam cukier.

SOFRON Jaki? Skąd?

WANIUSZA Toż ja mam wieżyczkę cukrową. Pamiętacie? Dziewczynka dała mi we Wnukowie na bazarku. (*wsadza rękę do kieszeni, wyjmując wieżę z cukrowego Kremla*) Przecie postanowiliśmy ją zachować.

Wszyscy widzący patrzą w milczeniu na wieżę.

WANIUSZA Na, Sofroniuszka, wrzuć ją do zupy.

SOFRON A nie szkoda? Taka ładna.

WANIUSZA Toż ja i tak nie widzę. Czego szkodować?

SOFRON w milczeniu bierze cukrową wieżę, wrzuca do polewki.

FROŁOWICZ Nic wielkiego, jeszcze nam dadzą... Trzeba pomieszać, żeby się rozpuściła... cukier w niej mocny... *(miesza w kotle z polewką)*

WANIUSZA Dobra dziewczynka. Głośno mówiła. Może głucha?

SŁABIAK Głusi są niedobrzy. Żli są oni wszyscy, Wania. I nie dają jałmużny. Raz na placu Puskina głusi mnie pobili... Frołowicz, daj no, ja zamieszam.

FROŁOWICZ Siedź, ścierwojadzie.

SOFRON *(rozglądając się)* Te, jak migusiem pociemniało.

Pauza. DZIADY KALWARYJSKIE siedzą w milczeniu. FROŁOWICZ miesza zupę. Ognisko potrzaskuje. Gdzieś nieopodal skomle pies.

FROŁOWICZ *(wylawia łyżką kawałek rozpuszczonej w zupie wieżyczki)* O! Rozłazi się. *(odkłada łyżkę)* Pomódlmy się, bracia.

Wszyscy odkładają łyżki na ceratę, wstają.

DZIADY KALWARYJSKIE Ześlij nam, Panie, jutro też takie danie.

Żegnają się znakiem krzyża, biorą łyżki, kawałki chleba, zaczynają jeść zupę. Początkowo łapczywie i żwawo chlepczą rzadkie, potem wylawiają z kotła kurze resztki, dogryzają je niespiesznie, w zębach chrzęszczą kostki. Stopniowo ich ruchy spowalniają się. DZIADY KALWARYJSKIE zaczynają się uśmiechać, mrugają do siebie, mamrocząc coś, kołyszą się na boki, łapią się nawzajem za nosy, śmieją się. Potem kładą się na ziemi wokół ogniska i szybko zasypiają. Dogasający ogień oświetla ich twarze. DZIADY KALWARYJSKIE uśmiechają się przez sen. Ognisko gaśnie. Po jakimś czasie do śpiących ostrożnie zbliża się pies, długo niucha, chwyta z ceraty kurzą kostkę i ucieka.

Kociuba

Kapitan Służb Bezpieczeństwa Narodowego, Sewastianow, przyjechał do pracy w Tajnym Urzędzie na dziesiątą zero zero. Wszedł do swojego gabinetu na trzecim piętrze, wysłał personalny TK-sygnal o swoim przybyciu, rozeznał się w sytuacji, zjadł kanapkę z szynką syczańską, tulski imbirowy pierniczek, wypił szklanek zielonej chińskiej herbaty Cień smoka, przejrzał wiadomości najpierw Rosyjskiej Sieci, potem Zagranicznej, pomodlił się pod ikoną Jerzego Zwycięzcy, wziął standardową stalową skrzynię z oprzyrządowaniem do przeprowadzania przesłuchań, ochrzczone na Łubiance „nieśmieszka”¹¹, zadzwonił do wewnętrznego więzienia z poleceniem, żeby podejrzanego nr 318 doprowadzono do piwnicznej celi nr 40, wyszedł ze swojego gabinetu, zamknął go i zjechał windą w dół, na czwarte piwniczne piętro.

Sewastianow był niewysokim, barczystym, czterdziestoletnim łysiejącym mężczyzną o młodo wyglądającej, czarnobrewej twarzy z czarnymi wąsami. Dobrze wyglądał w czarnym mundurze Tajnego Urzędu, z czerwonymi wypustkami, niebieskimi pagonami, trzema szeregami baretok, złotym znaczkiem „370-lecie RTU¹²”, stalową odznaką „Dziesięć lat nienagannej służby” i srebrnymi guzikami z dwugłowym orłem. Buty kapitana Sewastianowa zawsze błyszczały i nigdy nie skrzypiały. Był żonaty, miał dwunastoletniego syna i czteroletnią córkę.

Zjechał na piętro minus czwarte, podszedł do posterunku wewnętrznej ochrony i przyłożył prawą dłoń do świecącego białego kwadratu na stalowym słupku. Przed chorążym służb ochrony zawisła w powietrzu przepustka Sewastianowa z jego stopniem, stanowiskiem i wykazem przebiegu służby. Chorąży nacisnął przycisk, krata odjechała w bok. Sewastianow ruszył betonowym korytarzem, wymachując „nieśmieszka” i pogwizdując rosyjski romans *Śnił mi się sad*. Podszedł do celi nr 40, przekręcił w lewo kłamkę, otworzył drzwi, wszedł. W dwunastometrowej celi siedziało dwóch mężczyzn: młodszy sierżant wojsk konwojujących i podejrzany Smirnow. Sierżant od razu wstał i zsalutował:

- Towarzyszu kapitanie bezpieczeństwa państwowego, podejrzany Smirnow doprowadzony na przesłuchanie.

¹¹ Nawiązanie do bohaterki rosyjskiej baśni *Carewna Nieśmieszka* - carska córka w ogóle się nie śmieje; car ogłasza, że wyda ją za tego, kto ją rozśmieszy (przyp. tłum.).

- Możecie odejść - kiwnął Sewastianow.

Sierżant wyszedł z celi, zamknął drzwi od zewnątrz. Sewastianow podszedł do niewielkiego metalowego stołu z boczną podstawką, postawił na podstawce „nieśmieszkę”, usiadł na krześle, wyjął komórkę, papierosy Ojczyzna, zapalniczkę, położył na stole. Podejrzany siedział na stalowym krześle, umocowanym w betonowej podłodze i posiadającym w miejscu oparcia ceownik wysokości człowieka. Ręce więźnia były skute z tyłu miękkimi kajdankami i zarzucone za ceownik. Podejrzany Smirnow był chuderlawym, przygarbionym dwudziestoosmioletnim mężczyzną o długich rękach i nogach, kędzierzawej ciemnopłowej czuprynie i wąskiej, zarośniętej twarzy z dużymi szarymi oczyma. Siedział na stalowym krześle, ze wzrokiem utkwionym w swoje kolana.

Sewastianow rozpieczętował paczkę Ojczyzny, wyjął papierosa, zapalił. Wywołał w komórce iskrę dostępu. Na blacie stołu otworzył się prostokąt, wysunęła się klawiatura mądrej maszyny. Sewastianow ożywił ją. Nad stołem zawisł hologram:

SPRAWA nr 129/200

To była sprawa Smirnowa. Sewastianow przekartkował półprzezroczyste stronicę, paląc i strząsając popiół na podłogę. Zgasił niedopałek o kant stołu, cisnął na podłogę, splótł dłonie i z uśmiechem popatrzył na więźnia.

- Dzień dobry, Andrieju Andriejewiczu.

- Dzień dobry. - Smirnow uniósł wzrok.

- Jak się czujecie?

- Dziękuję, nieźle.

- Czy są jakieś skargi na warunki przetrzymywania?

Smirnow zamyślił się, zerknął w bok.

- Po kiego mnie aresztowano?

Śledczy westchnął, zrobił pauzę.

- Andrieju Andriejewiczu, zadałem wam pytanie: czy są jakieś skargi na warunki przetrzymywania?

- Dużo ludzi w celi. Siła ludzi - wymamrotał więzień, nie podnosząc wzroku.

- Siła ludzi? - Sewastianow pytająco uniósł swoje krzaczaste czarne brwi.

- Tak. Miejsc dwanaście, a siedzi osiemnastu. Śpi się po kolei.

- Żleście spali?

¹² Rosyjski Tajny Urząd (przyp. aut.).

- Tej nocy się wyspałem. Ale minionej... w ogóle nie spałem.

- Jasne. - Sewastianow w zamyśleniu kiwnął głową. - Czyli mówicie, siła przeludnione cele?

- Tak.

Śledczy wytrzymał pauzę, poobracał w palcach wąską laserową zapalniczkę.

- A jak myślicie: z jakiego powodu w waszej celi jest dużo więźniów?

- Nie tylko w naszej. W innych też. Dokwaterowali nam wczoraj dwóch, co siedzieli w różnych celach. I tam też spali po kolei. Lebedinski powiedział, jako wszystkie cele są przeludnione.

- No proszę! - zawołał ze zdziwieniem Sewastianow i wstał. - Wszystkie cele przeludnione?

- Tak - kiwnął głową więzień, patrząc w podłogę.

Śledczy podszedł do niego, ręce założył za plecy, z namysłem przygryzł wargę, potem gwałtownie się odwrócił, odszedł do drzwi i stanął, kołysząc się na noskach idealnie wyglansowanych oficerek.

- Andrieju Andriejewiczu, a jak myślicie - z jakiego powodu cele Łubianki są przepełnione?

- Nie wiem - natychmiast odpowiedział podejrzany.

- No, chyba macie przynajmniej jakieś przypuszczenia?

- Po kiego mnie aresztowali? Czego nie dają mi zadzwonić do domu?

Sewastianow odwrócił się.

- Kochany Andrieju Andriejewiczu, ja właśnie po to tutaj przyszedłem, żeby wam wyjaśnić, po kiego was aresztowali. I uczynię to, niechybnie. Ale wy nie odpowiadacie na moje całkowicie niewinne pytanie: z jakiego powodu, na wasze oko, cele Łubianki są przepełnione?

- Bo ja wiem... no... pewnie mało cel, a aresztowanych zbyt wielu... nie wiem... - wymamrotał Smirnow.

- Właśnie! - Sewastianow uniósł palec. - Zbyt wielu aresztantów. A czemu jest ich zbyt wielu?

- Nie wiem. Pewnie... śledczy nie nadażają... albo wolno pracują... mało wolnych cel... więzienie stare...

Śledczy przecząco pokręcił głową.

- Jesteście w błędzie. Więzienie przebudowano i pogłębiono cztery lata temu. Pomieszczeń starcza. I wcale wolno nie pracujemy. Nie w tym tkwi przyczyna, Andrieju

Andriejewiczu. Przyczyna tkwi w tym, że w miarę wzmacniania i rozkwitania naszego państwa przestępców, niestety, nie ubywa. Wręcz odwrotnie. Jest ich coraz więcej. I nie wiecie czemu?

Podejrzany przecząco pokręcił kędzierzawą głową.

- Pamiętacie Wielkanocne Orędzie Monarchy do narodu?

- Tak, oczywiście.

Śledczy wrócił do stołu, odnalazł w swojej komórce mowę monarszą, przywołał hologram. I w celi pojawiło się żywe oblicze Monarchy, zwracającego się do swego narodu:

„Ledwo wynurzyła się Rosja z odmętów Czerwonej Smuty, ledwo otrząsnęła się z miazmatów Białej Smuty, ledwo powstała z kolan, odgradzając się od obcego z zewnątrz, od biesowskiego z wewnątrz - tak znów natarli na Rosję wrogowie Ojczyzny naszej, zewnętrzni i wewnętrzni. Albowiem wielka idea rodzi także wielki jej sprzeciw. I jeśli zewnętrznym wrogom los zgotował, by w bezsilnej złości gryzli granit Wielkiego Muru Rosyjskiego, to wewnętrzni wrogowie Rosji sączą swój jad potajemnie”.

Sewastianow wyłączył hologram.

- Pamiętacie, Andrieju Andriejewiczu?

Więzień kiwnął głową.

- Wewnętrzni wrogowie Rosji sączą jad swój potajemnie - powtórzył śledczy. - I to jest odpowiedź na wasze, Andrieju Andriejewiczu, pytanie: za co mnie aresztowali?

- Nie jestem wrogiem Rosji.

- Nie jesteście wrogiem Rosji? A kimże jesteście?

- Jestem... Jestem obywatelem Rosji. Wiernym poddanym Monarchy.

- Znaczący - jesteście przyjacielem Rosji?

- Jestem obywatelem Rosji.

- A coście się uczepili w kółko - obywatel i obywatel... Wszyscyśmy obywatele Rosji. Nawet morderca jest obywatelem Rosji. I szkodnik - też jest obywatelem. Ja was pytam: jesteście przyjacielem Rosji czy wrogiem?

- Przyjacielem.

- Przyjacielem?

- Przyjacielem - kiwnął głową Smirnow, oblizując spierzchnięte usta i poruszając chuderlawymi ramionami.

- Wspaniale - kiwnął głową Sewastianow; przekartkował sprawę Smirnowa, wyciągnął z niej tekst, powiększył, podświetlił na czerwono.

W powietrzu celi zawisły czerwone wersy.

- Poznajecie? - Śledczy kiwnął głową na hologram.
- Nie... - Smirnow zmrużył oczy i opuścił głowę. - Słabo widzę...
- To ja wam pomogę.

Śledczy usiadł przy stole i zaczął czytać równym donośnym głosem:

Kociuba

Rosyjska ludowa bajeczka

Za górami, za lasami była sobie kociuba. Przewracała węgielki w piecu, wygrzebywała popiół, poprawiała polana, jeśli źle się paliły. Wiele węgielków poobracała, wiele popiołu powygrzebywała. Zbrzydło jej życie przy piecu, obmierzło gorące węgielki wywracać, znudziło się szary popiół wygrzebywać. I postanowiła kociuba uciec z domu, ażeby znaleźć sobie lżejszą pracę, czystsza i przyjemniejszą. Jak tylko wieczorem wypaliło się w piecu, kociuba zrazu poprzewracała węgielki i wygrzebała popiół. A potem zebrała się i odeszła z domu. Przenocowała w pokrzywach, a rankiem ruszyła drogą. Idzie, rozgląda się dokoła. Patrzy - a tu z naprzeciwka idzie kucharz.

- Witaj, kociubo.
- Witaj, człowieku.
- Dokąd podążasz?
- Szukam pracy.
- Chodź do mnie.
- A co miałabym robić?

- Będiesz ze mną gotować: węgle pod kotłami-patelniami podgrzebywać, odgrzebywać, ognia pilnować, żeby pieczeń się nie przypaliła, żeby zupa nie wykipiła, będziesz piec na bułeczki oczyszczać.

- Nie, taka robota nie dla mnie. Chciałabym coś lżejszego, czystsze i przyjemniejszego znaleźć.

- No to żegnaj, kociubo.
- Żegnaj, człowieku.

Ruszyła kociuba dalej drogą. Patrzy - a tu z naprzeciwka idzie stalownik.

- Witaj, kociubo.
- Witaj, człowieku.
- Dokąd podążasz?

- Szukam pracy.

- Chodź do mnie.

- A co miałabym robić?

- Będziesz ze mną stal wytapiać: węgle do wielkiego pieca hutniczego wpychać, ognia pilnować, stalową skorupkę przebijać, płynną stal z wielkiego pieca spuszczać.

- Nie, taka robota nie dla mnie. Chciałabym coś lżejszego, czystsze i przyjemniejszego znaleźć.

- No to żegnaj, kociubo.

- Żegnaj, człowieku.

Ruszyła kociuba dalej drogą. Patrzy - a tu z naprzeciwka idzie major z Tajnego Urzędu:

- Witaj, kociubo.

- Witaj, człowieku.

- Dokąd podążasz?

- Szukam pracy.

- Chodź do mnie.

- A co miałabym robić?

- Będziesz ze mną wrogów narodu torturować: pięty im przypalać, pyty przypiekać, na dupie państwowe piętno wypalać. Robota czysta, lekka i przyjemna.

Pomyślała kociuba i zgodziła się. Od tamtego czasu pracuje w Tajnym Urzędzie.

Śledczy zamknął akta, usunął wizerunek, wyjął z paczki papierosa, zapalił.

- Ot, taka milusia „rosyjska ludowa bajeczka”. Znacie ją?

Podejrzany przecząco pokręcił głową.

- No, a cośmy się tak zaczerwienili? Co, Andrieju Andriejewiczu? Inni bledną, a wyście poczerwienieli. Jakies to takie dziecinne... Cóż, każdy inaczej reaguje na kłamstwo. Jeni profesjonaliści nie czerwienią się i nie bledną, albowiem tworzą dzieło państwowe, wielkie. A wy jesteście amator. I czynicie dzieło wraże, tajemne, paskudne. Niszczycielskie. I wasza dusza, stworzona na obraz i podobieństwo Boże, sprzeciwia się onemu niszczycielskiemu dziełu, albowiem nie tylko niszczyce państwo rosyjskie, ale też duszę swoją błądzącą. Dlatego tak czerwienią się wasze jagody.

- Nie pisałem tego... - wymamrotał Smirnow.

- Tyś nie tylko pisał ono, aleś jeszcze rozpowszechniał wokół siebie, po prawicy i po lewicy, niczym jad cuchnący, gniewem srogim bryzgający - wyrzekł śledczy, otwierając „nieśmieszkę”.

- Ja nie pisałem. - Smirnow uniósł ramiona, patrząc w podłogę. - Nie ja to pisałem.

- Pisałeś, pisałeś. Atoli pisałeś na papierze, po dawnemu, nie stukając po Klawie Iwanownie. Rozumnie: jeśli byś coś takiego w Sieci zawiesił, w jednej chwili by cię wgnietli paznokciem w ziemię, jako oną ciężarną gnidę. Ale tyś nagryzmolił ten paszkwil na papierze. Żeby ślady zatrzeć. Atoli my - Sewastianow wyjął z „nieśmieszki” bezigłowy iniektor - jesteśmy doświadczeni tropiciele. I nie takie węzły rozplątywaliśmy. Co robi gończy pies, kiedy zwierz chytry? Naprzód, jak strzała leci do nory. Ot tak, Sokołow... to znaczy Smirnow.

Śledczy wstawił do iniektora ampułkę, podszedł do podejrzanego. Ten wyraźnie się zaniepokoił: jego chude kolana drgnęły, ścisnęły się, kędzierzawa głowa skryła się w ramionach.

- Ja niczego nie robiłem, ja niczego nie robiłem... - wymamrotał Smirnow, kuląc się coraz bardziej i pochylając głowę ku swoim długim nogom.

- Robiłeś, robiłeś. - Sewastianow chwycił go lewą ręką za czuprynę. - Mnie, Andrieju Andriejewiczu, interesuje taka rzecz: komuś ty dawał czytać swoją bajeczkę?

- Ja jej nie pisałem - głucho powtórzył Smirnow we własne kolana.

- Jeszcze raz pytam: komuś dawał czytać swój paszkwil?

- Nikomu... nie pisałem... - głos podejrzanego zadrzał.

Sewastianow westchnął, spojrział w sufit z dużym płaskim matowym plafonem.

- Posłuchaj, przecież ty mi za pięć minut i tak wszystko wyśpiewasz, wszystkich wymienisz. Ale daję ci ostatnią, jak to mówią w Europie, szansę. Podaj nazwiska. I wypuszczę cię do celi, a do akt pójdzie informacja o twojej deklaracji współpracy przy śledztwie. I dla ciebie ulga, i dla mnie. Co?

Ramiona Smirnowa zaczęły lekko dygotać.

- Jestem niewinny... podzucili mi... U mnie w domu nie ma nawet papieru... jeno książki... nie ma papieru, nie trzymam papieru...

- Ależ z ciebie nudziarz! - z urazą w głosie westchnął Sewastianow.

- Niech mnie pan nie męczy... Niczego nie zrobiłem...

- Ależ nikt cię nie zamierza męczyć. Myślisz, że ja cię podwieszę na kole i zacznę batogiem byczym siec po jajach? Mylisz się, Smirnow. Na kole u nas tylko oprycznicy torturują. No, takie mają zasady, nic nie poradzisz. Oni otwarcie Słowo i Dzieło czynią, bo muszą we wrogach państwa strach wzbudzać, dlatego tak się rozbestwili. A my, z Tajnego Urzędu, jesteśmy ludzie kulturalni. My nie batożymy po jajach.

- To nie ja... podzucili mi... - mamrotał Smirnow.

- Powiedz jeszcze: podrzucili wrogowie. - Śledczy ziewnął.
- Podrzucili... podsunęli...
- A tyś ze strachu zaczął innym podrzuczać?
- Ja nic nie zrobiłem... Ja nic nie wiem...
- Do diabła z tobą, półmózgu.

Gwałtownym ruchem Sewastianow zadarł głowę Smirnowa do góry, przystawił iniektor do tętnicy szyjnej i przycisnął tłok. Pyknęła rozgnieciona miękka ampulka, preparat wniknął do krwi podejrzanego. Smirnow szarpnął się, krzyknął i znieruchomiał. Jego wielkie szare oczy zaokrągliły się i zaszklily, stając się jeszcze większe. Usta otwały się i zastygły w niemym pytaniu. Zupełnie jakby go ukąsił niewidzialny gigantyczny skorpion. Drobne drgania objęły chuderlawe ciało podejrzanego, zamarłego w pełnej napięcia pozie. Sewastianow puścił jego włosy, odszedł od stołu, włożył iniektor do „nieśmieszki”. Wyjął z paczki papierosa, zapalił.

Komórka wydała wysoki, wibrujący sygnał.

- Kapitan Sewastianow, słucham - odpowiedział śledczy, odkładając papierosa do popielniczki.

Nad komórką pojawił się wizerunek pułkownika Samochwałowa.

- Nikołaj, witaj.
- Kłaniam się nisko, towarzyszu generale.
- A, pracujesz... - rzekł, rozglądając się, pułkownik. - Dobra, nie będę ci przeszkadzać.
- Towarzyszu pułkowniku, wy nigdy nie przeszkadzacie.
- Chciałem, żebyś pomógł Szmulewiczowi w tej sprawie z krową. Ugrzązł siła głęboko, a dobroczynnych działań brak.

- Wedle rozkazu - uśmiechnął się Sewastianow. - Pomożemy.

- Weź się za to, Kola. Bo Archipow mnie piłuje jak torturator hunafski... Trzy żafosne bezskuteczne tygodnie i wszystko o kant dupy potłuc. Krótko mówiąc, weź to na siebie. Machnę rozporządzenie.

- Tak jest, towarzyszu pułkowniku.

- No, bądź zdrów. - Samochwałow mrugnął ze zmęczonym uśmiechem i znikł.

Kapitan wziął papierosa, zaciągnął się, uważnie popatrzył na zastygłego podejrzanego. Następnie wyjął z „nieśmieszki” maleńki młoteczek. Zabawiając się nim, dopalił papierosa, zgasił niedopałek i podszedł do podejrzanego.

- No jak tam, Smirnow? - zapytał, przyglądając wąsy.

- Ja... ja... ja... - dało się usłyszeć z rozchylnych, pobielafych warg.

- Zrozumiałeś, że stałeś się kryształowy?

- Ja... tak... ja...

- Jesteś kryształowy, Smirnow. Zobacz. - Kapitan lekko stuknął go po ramieniu młoteczką.

Ciało Smirnowa wydało wysoki dźwięk, jak przy uderzeniu w szkło. Kapitan uderzył Smirnowa w kolano. Znów zabręczał. Kapitan uderzył w drugie kolano. Potem w rękę. Potem w błąd, spotniały nos podejrzanego.

Podejrzany brzęczał.

Przerażenie napełniło oczy podejrzanego po brzegi. Drżenie opuściło go, zamarł, wstrzymując oddech.

- Jesteś naszą drogą wazą - uśmiechnął się Sewastianow, zaglądając w oszalałe oczy podejrzanego. - Kryształowy chłopak! Wszystko masz z przezroczystego kryształu - i nogi, i ręce, i organy wewnętrzne. Wątrobę, nerki, śledzionę - wszystko kryształowe. Nawet jelito proste - ono też dźwięczy! A jaja to dzwonią niczym dzwonki wałdajskie¹³. Zdziwiający z ciebie człowiek, Smirnow!

Podejrzany siedział nieruchomo, jak eksponat z muzeum figur woskowych.

- Teraz będzie prezent dla ciebie.

Śledczy wrócił do stołu, postukał po klawiszach. W celi z groźnym rykiem objawił się sugestywny hologram muskularnego, nagiego do pasa chłopiska z solidnym młotem w łapskach. Dryblas ryczał, wyszczerzał zęby i groźnie zabawiał się młotem.

- Wiesz co, Wania - śledczy położył rękę na mocarnym ramieniu młotkowego - chodź, rozwalmy tego kryształowego inteligencika na kawałki, co? Żeby więcej nie szkodził Rosji.

- No! - wyszczerzył się młotkowy.

- A-a-a... nie-e-e-e... a... ja... - dobiegło słabo z ust podejrzanego.

- Co - nie? - Sewastianow się nachylił.

Ale Iwan już z rykiem brał zamach młotem.

- Nie-e-e-e... - wychrypiał Smirnow.

Młot ze świstem zatoczył łuk i zamarł na centymetr od głowy podejrzanego.

- Nazwiska, gadzie! - wysyczał śledczy, chwytając Smirnowa za ucho. - Żywo!

- Rudiński... Popow... Chochłowowie... Bo... Bojko... - poruszył ustami więzień.

- Mało, mało!

¹³ Nawiązanie do słynnych dzwonów dzwonnicy Wałdajskiego Monastynu - klasztoru męskiego pod miasteczkiem Wałdaj w okręgu nowogrodzkim (przyp. tłum.).

Młociarz znów zaryczał, biorąc zamach. Młot zatoczył krąg i znów zamarł nad zdrętwiałym podejrzanym.

- Nazwiska! Nazwiska! - Śledczy ciągnął Smirnowa za ucho.

- Garbaczewski... Kłó... Kłopin... Monachowowie... Bronszejn... Gol... Goldsztajnowie...

- Dalej! Dalej!

- By... Bykow... Janko... Nikołajewowie... Tie... Tieslerowie... Pawłowa... Górska... Rochlin... Pinchasow... Diu... Diukowa... Walerius... Bobrinska... Sumarokow... Kłopin... Bronszejn... Goldsztajn.

- Tych już wymieniałeś. Starczy.

Śledczy wypuścił ucho podejrzanego, odetchnął z ulgą, wrócił do stołu, usiadł, zapalił papierosa. Dym tytoniowy popłynął poprzez zamarłego z młotem w łapskach Iwana.

- Dziękuję, Wania. - Mrugnął śledczy.

- Cała przyjemność po mojej stronie - uśmiechnął się Iwan i znikł.

Smirnow siedział w tej samej nienaturalnej pozycji, zgięty, z odchyłoną do tyłu głową. Sewastianow poszczeakał klawiszami, wymienione nazwiska „przylepiły” się do akt, zaświeciły na pomarańczowo.

- No, chociaż cokolwiek... - Śledczy doprowadzał akta do porządku.

Dopalił papierosa, wziął z „nieśmieszki” iniektor, wstawił ampułkę, podszedł do podejrzanego i zrobił mu zastrzyk w szyję. Ciało Smirnowa rozluźniło się, głowa opadła na kolana. Dopóki Sewastianow palił, więzień dochodził do siebie.

- No tak, no tak... - Sewastianow pstrykał klawiszami. - I jak to się mówi, jesteśmy w domu.

Więzień podniósł głowę.

- Pić... proszę.

- Dam. - Sewastianow kiwnął głową, nacisnął przycisk.

Wszedł konwojent.

- Przyniesiecie podejrzanemu wodę.

Konwojent przyniósł plastikową butelkę z wodą źródlaną Ałtaj i plastikowy kubeczek, postawił wszystko na stole, wyszedł. Sewastianow zamknął akta, nalał wodę, podszedł do Smirnowa i uniósł kubeczek do jego spierzchniętych ust. Podejrzany łąpczywie, trzema łykami pochłoniął wodę.

- Jeszcze? - zapytał Sewastianow.

Smirnow pokiwał głową. Śledczy napełnił drugi kubeczek. Smirnow wypił. Potem wypił też trzeci. Opróżnił całą butelkę. Sewastianow cisnął ją i kubeczek do kosza. Spojrzał na

zegarek.

- Tak.

Potań dłońmi swoje gładko wygolone policzki.

- Więc tak, Andrieju Andriejewiczu. Co do twoich współników wszystko jest jasne. Co do papieru też. Atoli pozostaje jeno jedno pytanko.

Smirnow podniósł na niego swoje szare, puste oczy.

- Kociuba! - Sewastianow mrugnął porozumiewawczo i przyglądał wąsy.

Smirnow patrzył na niego tępo.

- Kociuba. - Sewastianow, gwałtownie skrzypiąc obcasami, odwrócił się na miejscu, ruszył do stołu, wysunął z niego metalową szufladę.

W szufladzie leżał pogrzebacz. Sewastianow wziął go i pokazał Smirnowowi.

- Twoja?

- Nie wiem.

Sewastianow podszedł, zbliżył pogrzebacz do twarzy więźnia.

- Twoja?

- No...

- Bez „no”!

- Moja...

- Zgadza się, twoja. Ta sama, którą opisałeś w swojej bajeczce. Jak to tam było u ciebie: za górami, za lasami żyła sobie Kociuba Iwanowna. Żyła, żyła u odszczepieńca Soko... tfu, Smirnowa, aż wzięła i uciekła. Do nas. Do Tajnego Urzędu. I służy teraz u nas. A myśmy ją dobrze uposażyli. I emeryturę zapewnimy, nie myśl sobie.

Wyjął z „nieśmieszki” miniaturowy laser, zbliżył do zagiętej końcówki pogrzebacza, włączył. Czerwony promień wbił się w haczyk, a ten zaczął się szybko rozgrzewać. Sewastianow równomiernie wodził promieniem po żelaznej piętce.

- Andrieju Andriejewiczu, jesteś człowiekiem prawosławnym, wykształconym. Powinieneś rozumieć: każdy z nas za wszystko odpowiada. I za czyn, dzieło, i za słowa. Albowiem każde dzieło na słowie się wspiera. Tam gdzie słowo, tam i dzieło.

Piętka pogrzebacza rozpalila się do czerwoności. W celi zapachniało jak w kuźni.

Śledczy wyłączył laser, schował w „nieśmieszce”. Podszedł do podejrzanego, chwycił go za kostkę i gwałtownie zadarł mu nogę do góry.

- Nie-e... - Smirnow zrobił głęboki wydech.

Sewastianow przycisnął końcówkę pogrzebacza do mizernego poślodka więźnia. Czerwony rozżarzony metal momentalnie przepalił szorstką zgrzebninę więziennych spodni,

z sykiem wpił się w ciało. Smirnow zawył, zadygotał. Ale Sewastianow mocno trzymał jego nogę, napierając na pogrzebacz. Kiedy pogrzebacz przestał syczeć, kapitan puścił Smirnowa. Ten, nadal zawodząc, wierzgał i tupał nogami, szarpał się, trząsł kędzierzawą głową.

Sewastianow schował dymiący, pachnący szaszłykiem pogrzebacz w szufladzie, wezwał guzikiem konwojenta, zamknął mądrą maszynę, zamknął „nieśmieszkę”, podniósł ją, wziął swoją komórkę i wyszedł z celi.

Korytarzem zbliżał się konwojent.

- Podejrzanego do celi.

- Tak jest! - zasalutował konwojent.

Sewastianow odwrócił się i machając „nieśmieszką”, dziarsko ruszył korytarzem do wind.

Do trzynastej czterdzieści pięć kapitan Sewastianow pracował w swoim gabinecie, porządkując zeznania Smirnowa i zakładając akta dla tych, których ten wymienił. I jak zawsze, bynajmniej nie wszyscy wymienieni przez „kryształowego” podejrzanego mieli bezpośredni związek z rzeczywistą sprawą o rozpowszechnianiu rokoszy. Sewastianow tylko pięciorgu założył akta. Ale za to tych pięcioro: Monachow, Kłopin, Janko, małżonkowie Anna i Boris Tieslerowie faktycznie było wrogami, a nie „figurantami”, których w ostatnim czasie tak sprawnie nauczyli się lepić niektórzy młodzi i nader prędcy śledczy. Takich pracowników kapitan Sewastianow nie szanował.

Zjadłszy obiad w obszernej, jasnej, pokrytej malowidłami w stylu późnego Somowa stołówce, Sewastianow przeszedł do palarni i po wypiciu filiżanki mocnej albańskiej kawy wypalił czarne indyjskie cygaro, starając się nie myśleć o aktach. Myśli jego krążyły wokół daczy w Tołstopalcewie, wokół budowy, przeciągającej się do późnej jesieni, znów zamyślił się nad tym, że zapewne w tym roku zdąży przesunąć bramę, ale znów wybrukować podwórza przed letnią dobudową w żaden sposób nie zdąży, że chińscy robotnicy znów okazali się menelami, że zachwalane wodorowe generatory dają nie tak znów dużo prądu, że ceny na materiały budowlane w ostatnim sezonie wzrosły półtora raza, że sąsiad na daczy, diak Dumy Bojarskiej Riabokoń, już jakoś tak zanadto j a w n i e żyje nie ponad stan, co samo w sobie jest dziwne i nasuwa pewne myśli, że Nina, durnota, chce urodzić trzecie dziecko, i że służbowa kia po dwóch latach zaczęła się uskarżać już nie tylko na olej, ale i na benzynę.

Po powrocie do gabinetu, zadzwonił do kapitana Szmulewicza, ten przyszedł i do siedemnastej czterdzieści cztery siedzieli razem z łysym, mówiącym przez nos nudziarzem

Szmulewiczem i rozprawiali o rzeczonyj ciemnej krowiej sprawie. Szesnaście miesięcy temu w Moskwie aresztowano sześciu członków antyrosyjskiej, mistycznej sekty „Jaroswiet”. Narysowawszy na białej krowie mapę Rosji, dokonali pewnego magicznego rytuału, podzielili mianowicie zwierzę i zaczęli rozwozić kawałki krowiej tuszy po różnych okręgach państwa rosyjskiego i skarmiać je obcokrajowcom. Tylna ćwiartka krowiej tuszy została wywieziona na Daleki Wschód, ugotowana i skarmiona japońskim przesiedleńcom, udziec i łatę dostarczono do Barnaulu, nalepiono z nich pielmieni i skarmiono Chińczykom, na szpondrze nagotowano barszczu i w Biełgorodzie nakarmiono nim osiemnastu flisaków splewających ukraińskie buraki, w Rosławlu białoruskim parobkom nasmażono kotletów z krowich przednich nóg; a z głowizny zrobiono galaretę, którą niedaleko Pskowa nakarmiono trzy estońskie staruchy. Cała szóstka sekciarzy została aresztowana, przesłuchana, wszyscy się przyznali, wymienili współników i popleczników, niemniej w aktach pozostało niejasne miejsce: krowie podroby. W magicznym rytuale „rozcłonkowania” Rosji grały one niebagatelną rolę. Jednakowoż jelita, żołądek, serce, wątroba i płuca w zadziwiający sposób znikły bez śladu i żadne tortury nie mogły pomóc w śledztwie i wyjaśnieniu sytuacji. Jasne było, że sześciu aresztowanych po prostu nie wie, kto, dokąd i w jakim celu zabrał podroby rozczłonkowanej krowy. Kapitan Szmulewicz, prowadzący krowią sprawę, również tego nie wiedział do tego właśnie dnia, kiedy to w Święto-Pietrogradzie został aresztowany na podstawie donosu sąsiadki znany bibliofil, kolekcjoner znaczków pocztowych, monet i staroci, zbywający w swoim sklepiku zagranicznym turystom razem ze znaczkami, książkami i innymi rupieciami pewne konserwy, które po szczegółowej analizie okazały się ręcznie zawekowanymi słoikami z krowim pasztetem, wyprodukowanym chałupniczo w piwnicy jego domu. Na wszystkich słoikach naklejona była ta sama etykieta: „Pasztet wołowy «Biała Krowa»”. Przy czym konserwa owa nie była sprzedawana, lecz wręczana kupującym darmo na znak „wdzięczności za zakup”. W ciągu raptem trzydziestu ośmiu dni pomocnicy amatora książek zdołali przygotować i rozpowszechnić wśród obcokrajowców pięćdziesiąt dziewięć słoików pasztetu. Przy czym słoiki z pasztetem dawano jeno zachodnim turystom, a nie Chińczykom czy Azjatom. Po osiemnastogodzinnym przesłuchaniu bibliofil przyznał się, że otrzymał zamówienie na przygotowanie i rozpowszechnienie Białej Krowy od pewnego Żyda przechrzty, który zniknął bez śladu i odnaleziono go w miejskim szalecie Święto-Petrogradu zarzniętego, bez palców, zębów i oczu; z trudem go zidentyfikowano. Po rewizji przeprowadzonej w mieszkaniu zarzniętego i przesłuchaniu jego bliskich okazało się, że ten, tak samo jak bibliofil, kawał chłopca a jełopa i nie miał zielonego pojęcia o tajnym stowarzyszeniu „Jaroswiet”, był tylko pośrednikiem, wykorzystanym w ciemno przez

członków sekty. W ciągu trzech miesięcy poszukiwań Szmulewiczowi udało się dotrzeć do pewnego dzierżawcy, który wymienił w czasie przesłuchania starą mieszczkę, sezonowego lodołamacza, ulicznego śpiewaka i żonglera-ciężarowca, mistrza Sieci i stróża muzeum zoologicznego. Wszyscy pięcioro byli ludźmi zdecydowanie różnych warstw społecznych, przekonań i profesji, więc ich znalezienie i przesłuchanie kosztowało dowodzoną przez Szmulewicza grupę śledczą sporo czasu i sił. Niezbyt mądry, ale wnikliwy i wytrwały Szmulewicz w pracy z pięciorgiem wyżej wspomnianych podejrzanych dokopał się do dwóch niezwykle ważnych okoliczności: wszyscy oni odwiedzali jedną i tę samą łaźnię i wszyscy korzystali z usług tej samej sieci dalekomówiącej Alkonost. Ale przesłuchania łaźiebnych i pracowników Alkonostu niczego konkretnego nie przynosiły. Krowia sprawa utknęła w martwym punkcie. Z tym właśnie Szmulewicz przyszedł do Sewastianowa. Porozmyślawszy, przeliczywszy trzy „krzewy” rozwidleń sprawy, Sewastianow skupił się na najważniejszym: jelitach. Słoiki z pasztetem i żołądek n a r a z i e go nie interesowały. O jelitach właśnie przegadali obaj do nastania ciemności.

Kiedy ciekły zegar w gabinecie Sewastianowa odsączył godzinę osiemnastą zero zero, ten wstał z za biurka i przeciągnął się, ziewając.

- Uła-a-a-a... W każdym razie, Witia, należy szukać w Moskwie. To raz. I szukać jelit. To dwa.

- Jasna sprawa. - Szmulewicz podnosząc się, kiwnął głową. - I godzi się szukać u bibliofilów.

- Godzi się szukać u bibliofilów. Faktycznie! - pouczająco powtórzył Sewastianow. - Dobra, bywaj. Jutro będziemy kontynuować.

Uścisnęli sobie dłonie i Szmulewicz wyszedł.

Sewastianow uspił mądrą maszynę, wytrząsnął zawartość z przepełnionej popielniczki do kosza, wyciągnął z szafy czarny płaszcz, niebieski szalik, zimową czapkę mundurową, ubrał się, przypiął komórkę do paska i wyszedł z gabinetu.

Na placu Łubiańskim było ciemno, zgniła pogoda i słotna. Padał pierwszy mokry śnieg.

„Dwudziesty drugi października... nieco za wcześnie na śnieg...” - pomyślał Sewastianow, podchodząc do swojego samochodu. Przyłożył dłoń do drzwi, te pisnęły, otworzyły się. Sięgnął do lewej kieszeni po rękawiczki, ale zamiast nich namacał papierowy zwitek. Wyjął go, rozwinął. I uśmiechnął się: w niebieskim pomiętym papierze leżał maleńki cukrowy dwugłowy orzeł, odłamany przez córkę Sewastianowa z wieży cukrowego Kremla, który otrzymała jeszcze w Boże Narodzenie na placu Czerwonym. Zgodnie z rodziną

tradycją dwugłowe orły, albo „orzelki”, jak je nazywała, córka zawsze odłamywała z kremlofskich wieżyczek i oddawała tacie. Było ich siedem. Ten ostatni od poprzedniej zimy przeleżał w lewej kieszeni zimowego szynelu kapitana. Sewastianow przypomniał sobie biało-różowe kokardki w krótkich warkoczykach córki, jej spiczasty ptasi nosek, czarne żywe oczka. Położył orła na języku, wyjął z prawej kieszeni cienkie skórzane rękawiczki, wszedł do samochodu, odpalił silnik, wymanewrował z parkingu i niespiesznie pojechał przez wieczorną Moskwę.

„Tak... no i zima...” - myślał, ssąc orła.

- Czego życzysz sobie posłuchać, Nikołaju Iljiczu? - zapytał samochód.

- Coś starego, dla duszy... - w roztargnieniu odpowiedział Sewastianow.

Samochód zamyslił się na trzy sekundy, przymilnie weszła orkiestra i nagle znajomy z dzieciństwa przyjemny męski baryton zaśpiewał:

Kiedy spokojnie śpi kraj ojczysty,

nie śpią,

nie śpią,

nie śpią,

Czuwają nasi czekiści.

W tej niemej wojnie

Walczą o kraj -

O pracę dla nas

Domy dla nas,

O pamięć ojców

O nasz nowy raj.

I co godzina idą do boju

Dla ciebie, dla mnie, dla kraju.

To była znana pieśń, pozdrowienia z odległego dwa tysiące ósmego roku, kiedy Kola Sewastianow pomyślnie ukończył moskiewską szkołę nr 120, zdał na wydział ekonomiczny Uniwersytetu Moskiewskiego, jeździł metrem i autobusami, na pierwszym roku studiów nosił dredy, potem ogolił się na łyso, nasadzał na tyłek wielgachne spodnie, uprawiał seks z Sonią na dacy jej rodziców w Kriekszynie, czytał Jelizarowa i Beigbedera, słuchał Marca Ribota i

Gogol Bordello, palił trawę i pił piwo Arsenalskie, oglądał Wyrypajewa i Almodóvara, grał w siatkówkę, w „Mortal Combat” i raz w miesiącu chodził z Olesią do klubu B-2.

Mieszkał wówczas z matką na Prospekcie Wiernadskiego, rodzice się rozeszli, matka pracowała jako księgowa w sklepie z meblami Szatura, ojciec ożenił się z rówieśniczką Koli i miesięcznie dawał jemu i matce tysiąc pięćset dolarów, matka rozkładała po kątach dwupokojowego mieszkania jednodolarowe banknoty, „na rozplódek”, babcia przysyłała z Tiumienia małosolne muksuny i nelmy, bogaty Alik Muchammiedow podarował mu na urodziny wypasiony rower Kona, Sonia pomyślnie usunęła ciążę, Kola miał sprzęt grający stereo Marantz, na klatce schodowej bloku na betonowej ścianie ktoś bardzo ładnie i sprawnie napisał „Never fuck you again!”, na garażach pod oknami widniał krzywy czarny napis „Oligarchowie na Kremlu!”, a młodsza siostrzyczka Koli złapała grypcę, leżała z wysoką temperaturą, bredziła, usłyszała inną piosenkę - „zapamiętaj synku, złote słowa - chleb to wszystkiego głowa, chleb to wszystkiego głowa” - i okrutnie się wystraszyła, płakała, mówiła, że wszyscy teraz mają chlebowe głowy, i ludzie, i rzeczy, książka, telewizor, kot i poduszka - wszyscy mają chlebowe, chlebowe głowy i otwierają straszne chlebowe usta...

Sewastianow wolno jechał w strumieniu samochodów, wspominając i ssąc cukrowego orła. Piosenkarz śpiewał przyjemnym, spokojnym i mężnym głosem. Sewastianow przypomniał sobie tego piosenkarza - miał mięsistą, gładką, jakby gumową twarz i czarną perukę. Ale jego nazwisko już dawno zapomniał. Możliwe, że też o tym chlebie, który jest głową wszystkiego, śpiewał w swoim czasie ten sam piosenkarz.

- Głowa wszystkiego... - powiedział Sewastianow i uśmiechnął się.

Szczękiem pała nasz kraj ojczysty

Kiedy czuwają nasi czekałsi.

Piosenka się skończyła.

Cukrowy orzeł na języku kapitana Sewastianowa przyjemnie trzasnął i rozpadł się na trzy części.

Sen

Dziewiątego lutego dwa tysiące dwudziestego ósmego roku od Narodzin Chrystusa Monarchini zasnęła o szóstej siedemnaście według moskiewskiego czasu w swoich kremlofskich komnatach, w różowej izbie sypialnej. Przyśnił jej się sen:

Naga, ale w wysokich cienkich szpilkach, wchodzi na Kreml przez Bramę Spasską. Jest słoneczny, ciepły, nawet skwarny dzień. Kreml idealnie oświetlony, błyszczy białością na słońcu tak, że oślepia oczy Monarchini. Ale to intensywne jarzenie jest nadzwyczajnie przyjemne, pokrzepia, napełnia ciało radością. Monarchini jest bardzo dobrze. Na Kremlu jest wszystko białe, bielusińkie. Nie tylko ściany i budynki, ale i zwykła kostka brukowa pod nogami też jest biała, skrząca, odbijająca słońce. Kostka brukowa skrzypi pod obcasami monarszymi. Monarchini stąpa po niej, z każdym krokiem odczuwając, jak młodnieje, napełnia się siłą i zdrowiem jej ciało. Ona czuje, jak kołyszące się przy każdym kroku piersi podciągają się, stają się jędrne, młode. Dotyka swoich piersi, muska sutki, cudownie twardniejące przy każdym nowym kroku. Każdy krok sprawia jej coraz większą i większą przyjemność. Poczucie powracającej młodości wypełnia ciało niewypowiedzianym zachwytem. Monarchini jest bardzo, bardzo, bardzo przyjemnie iść, iść, iść po tym pustym, białym, zalanym gorącym słońcem Kremlu. Wie, że Kreml jest całkowicie pusty. Nie ma tutaj nikogo - ani wartowników, ani strzelców, ani kremlofskiego pułku w koszarach, ani bojarów, ani skarbników, ani stolników, ani krajczych, ani striapczych, ani podkomorzycy, ani kluczników, ani koniuchów, ani oborowych, ani psiarzy, ani katów, ani stróżów, ani dozorców, ani odźwiernych, ani przydźwiernych, ani służby, ani trefnisiów, ani rezydentów, ani posługaczy, ani kapłanów, ani mnichów, ani psalmistów, ani diakonów, ani diaków, ani pisarczyków, ani nawet zwykłych żebraków na tej oślepiającej kruchcie placu soborowego. Monarchini idzie przez Kreml, spozierając nań i dotykając swego ciała. Serce jej bije radośnie i ogłuszająco. Jest jej tak dobrze, że postępuje z radości przy każdym kroku. Jęk staje się coraz głośniejszy, Monarchini zaczyna wydawać gwałtowne, ekstatyczne dźwięki. Okrzyki odbijają się od oślepiająco białych ścian kremlofskich i powracają do niej w postaci dziwnego echa. Ona zaś pokrzykuje i popiskuje coraz mocniej. I nagle odkrywa w sobie zadziwiająco nową możliwość, cudowny dar, przebudzony w ciele: jej odmłodzone, znów jędrne gardło może śpiewać. Ale jak śpiewać! Nie zwyczajnie, jak wszyscy, lecz potężnie,

wysoko, czysto, biorąc każdą dowolną nutę. Monarchini wypróbowała swoje odnowione gardło, zmuszając je do wydawania najbardziej dziwacznych dźwięków. Gardło jest jej posłuszne. Głos rozbrzmiewa w całym Kremlu. Monarchini jest wstrząśnięta siłą własnego głosu. Płacze z radości, ale szybko się opanowuje, wypełnia ją duma i świadomość własnej wielkości. Nigdy nie umiała i nie lubiła śpiewać, toteż nie zna do końca słów ani jednej piosenki, ani jednego rosyjskiego romansu. Lubiała, kiedy inni śpiewali, szczególnie młodzi i piękni mężczyźni w wojskowych mundurach. Stąpając po białej kostce brukowej, Monarchini przypomina sobie urywki piosenek, arii operowych i romansów, śpiewa pełną piersią, a moc i czystość jej głosu wstrząsa kremlowskimi murami. Urywek jakiegoś romansu na długo grzęźnie jej w gardle, zaczyna go powtarzać, wprowadzając różne wariacje:

Nie odchodź, pobądź trochę ze mną.

Tak tu radośnie, jasno wkoło.

Obsypię cię pocałunkami,

*Twe usta, oczy i twoje czoło.*¹⁴

Wyśpiewując te słowa, wciąż idzie i idzie przez biały Kreml, młodziejąc i ciesząc się, widzi wielkie rosyjskie relikwie: Car-dzwon i Car-armatę, mija Car-dzwon, muskając jego olśniewającą białą powierzchnię, Car-dzwon rezonuje, odpowiadając na jej pieśń, głos Monarchini huczy i rozbrzmiewa wewnątrz Car-dzwonu. Ona zaś idzie dalej, zauważa, że nawet srebrne kremlowskie świerki teraz też są oślepiająco białe, podchodzi do nich, dotyka twardej, białej iskrzącej się rzeźbionej łapy świerku, idzie do Car-armaty i śpiewa, śpiewa, śpiewa, a ogromna lufa armaty odpowiada, dźwięczy, jęczy różnymi głosy. Monarchini kładzie swoje odmłodzone ręce na białej Car-armacie i nagle wyraźnie sobie uświadamia, że wszystko na Kremlu - mury, sobory, monarsze pałace, brukowana jezdnia, świerki i Car-armata - wszystko to wykonane jest z prasowanej, jakiejś szczególnej, niewiarygodnie czystej kokainy. Właśnie ta niezwykła, jakby niebiańska boska kokaina tak odmłodziła jej ciało. Lize Car-armatę, czując całą czarowną moc tej substancji, serce jej bije tak, że gotowe wyskoczyć z klatki piersiowej. Monarchini dygocze z podniecenia, narastającego jak fala. Jej zgrabne młode nogi drżą, jędrne piersi kołyszą się, oddech rozpięra pierś. Lize armatę, wierzgając nogami, język jej słodko drętwieje, łzy płyną z oczu, ręce dotykają ciała, ciało jest młode i powabne, dotyka go z zachwytem, wszystkich jego zakamarków, wszystkich jego wypukłości i podłużności, gładzi ciepłą jedwabistą skórę, pieści każde zagłębienie, ścisną piersi, upajając

się coraz mocniej. Straszliwie chce już szczytować, przycisnąwszy się do boskiej substancji, ale występy Car-armaty są ostre i niewygodne. Monarchini zauważyła obok piramidę z białych kul, trzy kule na dole, jedna na górze, potężne kule, którymi dawno, dawno temu strzelała Car-armata. Drżąc z niecierpliwości, wdrapuje się na tę piramidę, siada na kuli, ściska ją nogami, przywierając swym wygolonym zniewalającym wzniesieniem do iskrzącej białej chłodnej kuli, chwytając tę wielką kulę rękoma, przytulając się do niej coraz mocniej, mocniej, mocniej, mocniej i - szczytuje.

Monarchini przebudziła się.

Otworzyła oczy pełne łez. Obok łóżka stała służąca.

- Co? - ochryple zapytała Monarchini, uniosła głowę i ciężko wzdychając, opadła na poduszki.

Pokojówka w milczeniu otarła jej oczy chusteczką.

- Och... Mój Boże... - wyrzekła Monarchini, ciężko oddychając. - Zrzuć to.

Pokojówka odrzuciła z niej puchową kołdrę. Monarchini leżała w różowej, pod kolor sypialni, półprzezroczystej koszulce. Śpiąca w jej nogach lewretka - charcik włoski - wstała, ziewnęła, otrząsnęła się, zamierdała cienkim ogonem i przeciągając się, ruszyła po pościeli do twarzy swej pani. Monarchini leżała, ciężko dysząc. Jej wielkie piersi kołysały się w takt oddechu. Lewretka podeszła do jej twarzy, zaczęła lizać nos i usta.

- Odczep się... - Monarchini odsunęła ją.

Lewretka zeskoczyła z łóżka i wbiegła w otwarte drzwi, prowadzące do pokoju kąpielowego. Monarchini zaczęła się kręcić, ciężko oddychając spróbowała usiąść, pokojówka podchwyciła ją pod pulchną białą rękę, zaczęła podkładać pod plecy poduszki z różowego jedwabiu.

Monarchini usiadła i oparła się na wzniesieniu z poduszek. Rozsunęła pełne białe nogi, podniosła obszyte koronkami rąbek koszulki, przesunęła ręką po gładko wygolonym kroczu, przysunęła do twarzy. Dłoń była mokra. Monarchini pokazała dłoń pokojówce:

- O.

Pokojówka z boleścią kiwnęła głową, gładko przyczesaną główką, ujęła dłoń Monarchini i zaczęła delikatnie wycierać ją chusteczką.

- A wszystko przez to, że już trzecią noc śpię sama.

Służąca ze współczuciem pokiwała głową.

- O-o-o-o-och! - głośno westchnęła Monarchini i popatrzyła na pokryty malowidłami

¹⁴ Romans Nikołaja Zubowa z 1899 roku (przyp. tłum.).

sufit.

Na suficie w obłokach walczyły o czyjeś pałające serce pulchne amorki.

Lewretka wbiegła do sypialni, wskoczyła na łóżko, zaczęła się lizać. Monarchini objęła ją, przycisnęła do swoich kołyszących się piersi.

- Koniak.

Pokojówka prędko napełniła stojący na rzeźbionym stoliku kieliszek koniakiem z kryształowej karafki, podała na złotej tacy z już pokrojonym i posypanym cukrem pudrem ananase. Monarchini wypła duszkiem, wsunęła do ust kawałeczek ananasa i zaczęła poruszać pełnymi wargami. Służąca stała z tacą, z powściągliwym zachwytem patrząc na panią.

- Daj no mi... - Monarchini postawiła pusty kieliszek na tacy.

- Oliwkę? - zapytała pokojówka.

- Nie, nie... to... - Monarchini wzięła jeszcze kawałek ananasa, powiodła po sypialni wilgotnymi czarnymi oczami.

- Życzy pani sobie niuch tabaki?

- Nie, nie. No... to!

- Komórka?

- Tak. Połącz mnie z Komiagą.

Służąca wzięła ze stolika złotą komórkę w kształcie rybki z dużymi szmaragdowymi ślepiami. Wybrała numer. Komóra odpowiedziała wibrującym dzwonieniem. Rybka wypuściła z otworu gębowego hologram: wypiełgnowana zatroskana twarz Komiagi w kabinie merca. Trzymając kierownicę, Komiaga skłonił głowę z ufryzowanym, pozłożonym czubem.

- Słucham cię, pani.

- Gdzie jesteś? - zapytała Monarchini, żując ananas.

- Tylko com z Tiumenia przyleciał, pani. Jadę Traktem Kijowskim.

- Przyjeżdżaj prędko. Co ducha.

- Tak jest.

Hologram zniknął.

- Czas już, co? - Beknąwszy, Monarchini popatrzyła na służącą.

- Czas, pani - z cichym uwielbieniem wyrzekła pokojówka.

- Czas, czas. - Monarchini zaczęła się gramolić. Zrzuciła z piersi lewretkę.

Służąca podstawiała rękę, Monarchini oparła się, wstała. Potrząsnęła czarnymi, gęstymi pierścieniami opadających na ramiona włosów. Przeciągnęła się tęgim ciałem, jęknęła,

krzywiąc się, złapała się za krzyż. Zrobiła krok w stronę zasłoniętego storami okna, dotknęła palcem różowych zasłon. Zasłony posłusznie się rozjechały.

Monarchini ujrzała przez okno skwer ze srebrnymi świerkami i śniegiem na nich, Sobór Archangielski, część placu soborowego z żebrakami i gołębiami, strzelców w czerwonych szynelach z pobłyskującymi niebiesko halabardami, strażników z buławami, mnichów jałmużników z żelaznymi sakwami, jurodiwego Sawoškę z grubą pałką. Nieopodal, za białym rogiem Soboru Uspienskiego, widniała czarna żeliwna Car-armata. Obok niej na tle śniegu czerniała piramida z kul. Monarchini przypomniała sobie białą, gładką, chłodną kulę i dotknęła dłonią swojego ciepłego brzucha.

- Czas - rzekła ledwo słyszalnie i poskrobała paznokciem po kulo odpornej szybie.

Szamanko

Głośny, drażniący swoją ślepą bezwzględnością, obrzydliwy dla ludzkiego ucha, ostro wibrujący sygnał okrągłego, szarego, nagrzanego południowym słońcem głośnika wystraszył ważki, które przysiadły na nim i już zdążyły się połączyć w pary, rozpląnął się w gorącym lipcowym powietrzu Wschodniej Syberii, budząc wieczną ciszę pagórków i nieba, zagłuszając jednostajne odgłosy pracy murarzy, skrzywienie wciągarki, mamrotanie brygadzysty, brzęczenie meszek odciętych ultradźwiękowym obwodem od strefy robót, odpłynął ku porośłym iglastym rzadkim lasem wzgórzom, odbił się od nich i wrócił natychmiast, żeby odbić się drugi raz - już od wznoszonego Muru, białą płynną wstęgą pełną przez wzgórze i znikającego za nimi na nierównym błękitnym horyzoncie.

- Tfu, ty szatanico, żeby cię... - San Sanycz otarł wilgotne czoło, splunął w stronę słupa ze świdrującym uszy głośnikiem, ale nie miał śliny w zaschniętych ustach.

Wyciągnął z kieszeni na kolanie brezentowego kombinezonu wąską plastikową butelkę z wodą, zsunął palcem miękkiego korka z gumy żyworodnej, łączywie przylgnął do szyjki suchymi wargami. Ciepła woda zabulgotała mu w gardle, zarośnięta siwą szczecina grdyka kurczowo zadrżała.

- Fajrant, prawosławni! - Wysoki, przygarbiony, wąski w ramionach Sawośka pyrgnął kielnię do plastikowego koryta z zaprawą, wyprostował się z jękiem, roztarł bolący krzyż, zwiesił się z rusztowania:

- Dobra jest!

Boczarow i Saniok, pracujący na dole na wyciągarce, podającej na górę białe pianobetonowe bloki, natychmiast zatrzymali koło. Skrzynia z pianobetonem zawisła w powietrzu. Boczarow zmrużył oczy, patrząc na Mur spod ciężkiej, smagłej dłoni:

- Zaśby nie przyjmiecie?

- Opuszczaj! - Kulawy, garbatonosy, wiecznie rozzłoszczony Zilberstein o przezwisku Podkowa, kumpel ze zmiany Sawośki, splunął w dół. - Robota nie zając, a szama nie *laowai*¹⁵!

- *Inszaallah!* Już dwunasta? - radośnie wyszczerzył się bezzębny, ogolony na łyso i

¹⁵ *Laowai* - obcy staruch; obelżywe chińskie przezwisko dla obcokrajowców (przyp. aut.).

szerokoczoły Timur.

- *Ceszce ne tiynadciat'*, chłopcze - ze zmęczeniem na twarzy uśmiechnął się półgębkiem żyłasty, nosaty Sawczenko i zaczął strząsać z rąk do wiadra przylepioną zaprawę, spoglądając na czyste, bezchmurne niebo. - *Da tylky ne baczu ja archanhelyw. A die ż wony?*

I jakby na komendę, zza pasma niebieskawozielonych wzgórz wyłoniły się trzy punkty. Wkrótce dał się słyszeć dźwięk lecących helikopterów.

- Leci, kochany. - Cichy, przysadzisty, białoskóry i białowłosy Pietrow spuścił pianobetonowy blok na świeżą podmurówkę, podebrał kielnią wyciśniętą zaprawę, zrzucił do koryta, wziął się do czyszczenia kielni o róg pianobloku. - Chwała Ci, Boże Wszechwładny, do obiaduśmy dożyli...

- Podjemy sobie, świńskie ryje... - Sawośka ściągnął szare od zaprawy rękawice, powiesił na poprzeczce.

- Ej, brygadyr, co z zaprawom robycz? - Ogolony na łyso Salman, o wystających kościach policzkowych i wielkich oczach, wyrzucił w dół niedopałek, podrapał się po włochatej piersi pod obojczykami, pod srebrzystą obrozą bezpieczeństwa.

- Zostawiamy! - Brygadier Słonow, na oko niepokazny, niewysoki, ale z donośnym głosem, szczupły, z zawsze spoconym kaczym nosem, bystrymi oczkami i zręcznymi, guzowatymi, zawsze niespokojnymi palcami zdjął z łysawej głowy niebieską zekowską czapkę z daszkiem, otarł zroszoną łysinę, nieufnie przymrużył oczy, patrząc na zbliżające się helikoptery.

Jeden, jak zawsze, leciał prosto do nich, dwa pozostałe rozlatywały się w dwie strony - na lewo, do brygady Czekmazowa, i na prawo - do podopiecznych garbatego gawędziarza Prowotorowa.

Helikopter zbliżał się. Był wymalowany na kolor ciemnozielony, na boku tuż przy złocistym dwugłowym orle białym napis „MUR - wschód - 182”.

- Osadzeni, szamanko! - donośnie wyryczał głośnik i zamilkł.

Brygada Słonowa zlazła z Muru na ziemię po rusztowaniu wykonanym z czerwonych plastikowych rurek.

- Sawośka, zabieraj kopyta...

- San Sanycz, wychodzi na to, że ludzie Prowotorowa znowu sobie przyszamią wcześniej od nas.

- I Bóg z nimi.

- Do diabła z nimi, a nie Bóg! Daj no wodusi łyknąć...

- Łyknij, beczylu.

- Prawosławni, komu zbywa pojarki?
- Ciekawe, będzie mięso?
- Żeby tak Pan Bóg obłóczkiem nas obdarzył...
- Poczekaj troszku, *uwieczery szcze j snygpyde...*
- Rozłą-ą-ąko, rozłą-ą-ą-ko...
- Zamknąłbyś się, Podkowo wygięta.

Helikopter wylądował.

Zielone drzwi się otworzyły, wysunęła się drabinka, po niej zeszło dwóch więźniów na wolce w brudnawych białych roboczych kitlach z dwoma dziesięcilitrowymi termosami, bochenkami chleba i opakowaniem jednorazowych naczyń, prasowanych z mąki ryżowej. I od razu za nimi - dwóch z wojsk konwojowych z rozkładaną „taniuszą” i obozowy siepacz Matiucha ze swoim wąskim bidonem. Brygada przycichła. Maleńki krępy Matiucha zeskoczył z drabinki, mrugnął do brygady.

- Czołem, robole!

Był płowowłosy, o mocnej szyi i płaskiej, wymiętej, bezbrowej, mocno piegowatej twarzy z ledwo widocznymi szczelinkami oczu.

- No wreszcie, kurna twoja mać... - wymamrotał Podkowa i ze złością splunął przez żółte, dotknięte paradontozą zęby na mszystą ziemię.

- Dla wszystkich słonawa przyprawa do obiadu! - rzucił, przeciągając się, Matiucha i kiwnął do konwojentów. - Rozkładać, chłopaki.

Konwojenci wzięli się do rozkładania „taniuszy”.

Pietrow ściągnął z białowłosej głowy cyklistówkę, przeżegnał się:

- Panie Boże, dodaj siły i oddal ten kielich...

San Sanycz ze zmęczonym uśmieszkiem podrapał się po pomarszczonym czole:

- No tak... no i masz te swoje osiemdziesiąt dwa procent.

Konwojenci rozłożyli zieloną metalowo-ceramiczną „taniuszę”, wzmocnili połączenia śrubami, rozpięli rzemienie. Klawisze ze swoimi termosami przysiedli pod okapem. Pilot, wychylony z kabiny, palił papierosa i patrzył.

Matiucha wyjął z pasa swoją komórkę, przełączył na miejscowy głośnik. I szary okrągły głośnik, który przed chwilą sygnalizował „szamanko”, przemówił głosem majora Siemionowa, naczelnika wydziału wychowawczego obozu nr 182, rodzimego obozu brygady, rozpostartego w postaci czterdziestu dwóch baraków między dwoma wzgórzami - Gładką i Gorliwą, niemal dwieście pięćdziesiąt wiorst stąd:

- Za niewypełnienie sześciodniowego planu wznoszenia wschodniego odcinka Wielkiego

Muru Rosyjskiego brygada numer 17 zostaje skazana na losową chłostę słonymi różgami.

Zamarła w bezruchu brygada poruszyła się.

- Losowa... - cicho westchnął Pietrow. - Dzięki Ci, Boże, że nie wszystkich...

- Nie bój żaby, oberwie się jak ta lala - splunął Podkowa.

- Osiemdziesiąt dwa, zawsze to nie siedemdziesiąt dwa - głupio zaśmiał się Saniok.

Matiucha rzucił brygadziście Słonowowi pudełko zapalek, nachylił się nad bidonem, zaczął odkręcać nakrętkę:

- No już.

Brygadzista wyjął zapalki, obłamał trzy z dziesięciu, podał wszystkie Matiusze. Ten odwrócił się plecami i zaraz się ponownie obrócił przodem, z profesjonalną wprawą pokazał zaciśnięte między palcami dziesięć łebków zapalek.

Zaczęli ciągnąć losy. Złamane zapalki wyciągnęli Sawośka, Salman i Pietrow. Nieszczęśnicy przyjęli swój los różnie: Sawośka podrapał łebkiem zapalki stary, z czasów putinowskich jeszcze, tatuaż na piersi, uśmiechnął się, wsunął zapalkę w zęby, przymrużył oczy na Matiuchę:

- Normalka!

Salman natychmiast zmarkotniał, ponuro wymamrotał coś po czeczeńsku, cisnął zapalkę, wsadził silne ręce do kieszeni i bezdźwięcznie, ale ze złością zagwizdał, deptając marmurowozielony mech szarym od cementu buciorem.

Pietrow, wyciągnąwszy krótką zapalkę, jęknął, wydał dolną wargę, przeżegnał się i zacisnąwszy zapalkę w białoskórej dłoni, przycisnął ją do piersi i zamamrotał:

- Boże, zbaw mnie i strzeż, Boże zbaw mnie i strzeż, Boże zbaw mnie i strzeż...

Matiucha schował całe zapalki do pudełka, wyciągnął z bidonu brzożową różgę grubości męskiego małego palca, oczyszczoną z gałązek, wymoczoną w roztworze soli. Strząsnął z niej wilgoć, z wprawą machnął różgą, siekąc skwarne powietrze:

- Kładź się pierwszy.

Skazani na chłostę spojrzeli po sobie. Zgodnie z obozową tradycją nikt nigdy nie spieszy się do bycia pierwszym. Matiucha wiedział to i nie popędzał, oczekując na decyzję, opuścił różgę i profesjonalnie trzymał przy nodze.

- Trzymajcie się, bracia - tradycyjnie dodawał im otuchy brygadzista, niespokojnie poruszając dużymi palcami opalonych dłoni.

Matiucha milczał. Był doświadczonym siepaczem z sześcioletnim stażem i już dawno przestał powtarzać zwyczajowe powiedzonka obozowych katów, takie jak „wcześniej się połóżysz, wcześniej się podniesiesz”, „chronisz dupę, tracisz głowę”, „różga dupę obsłuży,

państwu tak służy”, albo „rózga zdrowie poprawi, *fynshibin*¹⁶ naprawi”.

- No co - westchnął Sawośka, spojrzął na mamroczącego Pietrowa, mrugnął do Słonowa.

- Ja mam przyspanować, czy jak, brygadzisto?

- Raz dwa, Sawośka, nie pękaj - kiwnął Słonow.

Sawośka podszedł do „taniuszy” swoim kaczkowatym chodem, rozpiął spodnie, opuścił niebieskie gacie, przeżegnał się i szybko położył. Konwojenci od razu przywiązali mu nogi i ręce rzemieniami. Matiucha zawinął mu podkoszulek, spuścił bieliznę jeszcze niżej, obnażając muskularne nogi, wyprostował się i niemal nie biorąc zamachu, dźwięcznie, mocno przeciągnął różgą po sprężystych, upstrzonych śladami po starych batogach pośladkach Sawośki.

- Ożeż - raz! - wyszczerzył się Sawośka, przycisnąwszy policzek do błyszczącego na słońcu zielonego podglówka.

Matiucha przyłożył jeszcze raz.

- Ożeż - dwa! - policzył Sawośka.

Różga ze świstem uderzyła w zadek.

- Ożeż - trzy!

Na pośladkach wystąpiły liliowe pręgi. Matiucha siekł bez wysiłku, ale mocno, nie wykonując zbędnych ruchów, fachowo wykonując swoje zadanie i każdym uderzeniem udowadniając, że nie darmo je swój chleb obozowego oprawcy i nie darmo otrzymuje dodatek północny. On również liczył uderzenia, ale - po cichu. Tylko kaci amatorzy zrządzeniem okoliczności biorący do ręki byczy knut, batog siedmiopalczasty albo soloną różgę liczą ciosy na głos. Prawdziwy siepacz powinien czynić swoją powinność w milczeniu, ażeby nic nie odrywało skazanego od kary cielesnej, a obecnych przy tym - od pouczającej obserwacji aktu ukarania.

Dla każdego było przewidziane po trzydzieści standardowych batów soloną różgą. Jeśli różga się łamała, egzekucję przerywano. Ale różga mogła się złamać tylko niedoświadczonemu albo nierzetelnemu siepaczowi. Matiucha zaś był doświadczony i rzetelny w swojej profesji, różgi łamały mu się wyjątkowo rzadko.

- Ożeż - szesnaście! Ożeż - siedemnaście! Ożeż - osiemnaście! - głośno liczył Sawośka, zaciskając pięści i uśmiechając się z napięciem do brygady.

Czarna różga dźwięcznie siekła jego mocny naprężony zad, liliowe pręgi na pośladkach czerwieniały, purpurowiały, nabiegały krwią. Nogi mu się napięły, plecy skamieniały, głowa

¹⁶ *Fynshibin* (chiń) - reumatyzm (przyp. aut.).

podrygiwała z napięcia. Sawośka skulił się jak pięść, zaciskając się, by nie dopuścić bólu do ciała, walcząc z nim po swojemu. Każdy, kto choć raz doświadczył na własnej skórze obozowej różgi, kto leżał na „taniuszy”, kto liczył świszczące batogi, ma swój sposób na przetrzymanie. Sawośka pokonywał ból napinaniem ciała, przewycięzał go wytrwałością mięśni. Widać było, że nie raz spotkał się z różgą, że wie, jak z nią się porozumieć.

- Ożeż - dwadzieścia sześć! Ożeż - dwadzieścia siedem! Ożeż - dwadzieścia osiem!

Twarz Sawośki poczerwieniała, szczyrzył się już resztką sił, zgrzytał zębami, krótkie zlepione kosmyki na głowie drżały.

- Trzymaj się, trzymaj - podtrzymywał go na duchu Słonow.

- Ożeż - trzydzieści! - wyrecytował Sawośka i uśmiech zniknął z jego twarzy.

Zwiotczał, jego nogi poruszyły się rozluźnione. Konwojenci go odwiązali. Sawośka niespiesznie wstał, podciągnął bieliznę ze spodniami, pokazał wybatożony zad konwojentowi:

- Kto wypina, tego wina, co?

- Osadzony, idźcie na miejsce - spokojnie odpowiedział spod filcowej czapki konwojent o szerokich kościach policzkowych.

Sawośka, zapinając się, podszedł do brygady.

- Git człowiek! - Brygadzysta klepnął go po plecach.

Matiucha, odrzuciwszy zużytą już różgę, nawykowym ruchem potrząsnął prawą ręką, dając jej odpocząć, potem wsunął ją do wąskiego gardła bidonu, wyciągnął nową różgę, machnął. Słone krople rozleciały się, pobłyskując w słońcu.

- Boże, daj siły... - wymamrotał Pietrow, wciągając płową głowę w swoje szerokie, po babsku pulchne ramiona.

Salman splunął i zdecydowanym krokiem podszedł do „taniuszy”, po drodze rozwiązując sznurek w spodniach. Konwojenci chwycili go, ułożyli, przywiązali. Płaski, smagły i włochaty tyłek Salmana też miał już ślady, ale nie takie gęste jak u Sawośki.

- *Bismille rahmon tahim...* - wymamrotał Salman i odwrócił twarz od stojącej obok brygady.

Matiucha zamierzył się i przeciągnął go po pośladkach. Salman zaryczał.

- Trzymaj się, dzygit! - krzyknął Podkowa z lekkim uśmieszkiem.

Siepacz chłostał Salmana tak samo żwawo, lekko, choć bez pośpiechu, jak Sawośkę. Czeczeniec wrzeszczał, ale nie podrygiwał od uderzeń. Jego chude, żylaste ciało jakby wbiło się w „taniuszę”, zrosło się z nią. Na każdy świst i uderzenie różgi Salman odpowiadał wrzaskiem. Wrzeszcząc, patrzył na wzgórze.

- O tak! - San Sanycz z aprobatą drapał się po porośniętym siwą szczecina podbródkiem.

- Salmana różgą nie przebijesz - mruknął posepnie Boczarow.

- Git, nie żaden świeżak... - przytaknął Sawośka.

Sześć kań, płynnie szybując po błękitnym bezchmurnym niebie, przeleciało nad Murem z Rosji do Chin.

Wrzask nie przybierał na sile, nie narastała w nim złość, Salman dopełniał nim każde uderzenie, zupełnie nie poruszając się na „taniuszy”. Matiucha zakończył chłostę i cisnął różgę za siebie. Salmana odwiązano. Zaczął wstawać, podciągając spodnie i wściekle mamrocząc coś po czeczeńsku.

Wszyscy spojrzeli na Pietrowa. Ten drgnął, jakby naraz go uderzyli, i z rezygnacją powlókł swoje ociężałe ciało do „taniuszy”.

- Nie peniaj, Pietruccio, Matiucha ma lekką rękę.

- Matiuch, może byś się kapkę zmęczył, co? - złośliwie uśmiechnął się San Sanycz.

- Osadzeni, przerwać rozmowy - powiedział konwojent.

Pietrow wciągnął jasnopłową głowę w ramiona i szedł tak, jakby dźwigał na plecach skrzynię z pianobetonowymi blokami. Matiucha czekał, oblizując spotniałe wargi, trzymając różgę przy nodze. Pietrow usiadł na „taniuszy”, niezgrabnie przewalił się na bok, zupełnie jak na dolną leżankę w wagonie sypialnym pociągu dalekobieżnego, wyciągnął grube nogi i zaczął obracać się na brzuch.

- Kładź się, co się tak gramolisz? - Konwojent złapał go za rękę, przywiązał.

Drugi przywiązywał grube kostki nóg.

- A portki? - z niezadowoleniem zmrużył oczy Matiucha. - Ja mam ci ściągać?

Postępując, odwróciwszy białą twarz w bok, Pietrow wsunął sobie nieprzypiętą rękę pod brzuch, rozwiązał sznurek i wijąc się jak foka, z trudem zaczął opuszczać spodnie i gacie. Matiucha z niezadowoleniem szarpnął je w dół, podwinął niebieski podkoszulek Pietrowa. Biały wielki tyłek Pietrowa też był chłostany. Ale nie tak często jak Sawośki i Salmana.

I nie zdążył Matiucha zamachnąć się różgą, jak Pietrow zawył w „taniuszę”:

- Moja wina-a-a-a! Och, moja wina-a-a-a!

Matiucha dźwięcznie przeciągnął czarną różgą po wielkim, białym i okrągłym zadzie. Zad drgnął, ale jego właściciel pozostał nieruchomy, wbijając twarz w zieloną, gorącą od słońca metaloceramikę podglówka.

- Moja wina-a-a-a! Och, moja wina-a-a-a!

- Żadna tam twoja wina, żesz twoja mać - wymamrotał Podkowa.

Jeden konwojent pogroził mu palcem. Drugi patrzył na podrygujący od uderzeń tyłek.

- Moja wina-a-a-a! Och, moja wielka wina-a-a-a! - wył Pietrow.

Matiuchy tą skruchą nie pozyskał, najwyraźniej jeszcze go rozzłościł, bo ten zaczął chłostać rzadziej, ale mocniej, zatrzymując rękę w górze, jakby się przymierzał do każdego ciosu, a potem wymierzając cios z potężnym zamachem. Pietrow zawierzgał grubymi nogami, jego tyłek zatrzęsł się jak ciasto.

- No moja wina-a-a-a! No przecież moja wina-a-a-a!! - zawodził w podglówek tak, że jego biała szyja momentalnie się zaróżowiła, potem zaczerwieniła. Wypłowiałe, krótko ostrzyżone jasne włosy drżały mu na karku.

- Wrażliwy ten nasz Pietruccio - wymamrotał San Sanycz i spojrzał w niebo.

Sześć kań, polatując za Wielkim Murem Rosyjskim na chińskim terytorium, podzieliło się: cztery zostały i szybowały w tym samym miejscu, a dwie wróciły do Rosji.

Kiedy liczba uderzeń przekroczyła dwadzieścia, Pietrow zmienił temat swych zawodzeń:

- Ojczy-e-e-e nasz! Ojczy-e-e-e nasz! Ojczy-e-e-e!!

- Szczać chce - z przekonaniem pokiwał brzydką głową głupkowaty Saniok.

Nogi Pietrowa wierzgały, kark dygotał, głowa coraz mocniej wbijała się w podglówek, rozplaszczając twarz, ale w pełni podrygiwał tylko zad. Liliowe pręgi z pierwszych chłasnief zaczęły się krzyżować z czerwonymi, mocniejszymi, słońce połyskiwało w najmniejszych kropelkach potu występujących na wielkim białym tyłku.

Przy ostatnich uderzeniach Pietrow już ryczał jak jeleń, trudno było odróżnić słowa. Wyraźnie drażnił Matiuchę, oddającego się chłoscie z coraz większą i większą pasją. Przy dwudziestym ósmym uderzeniu różga się złamała.

- Tfu, parówa!... - Matiucha splunął na zad Pietrowa, cisnął złamany kawałek różgi za siebie i krzywiąc się, potrząsał prawą ręką.

Pietrow nadal ryczał, podrygując czerwonym spotniałym karkiem. Konwojenci odwiązali go. Natychmiast się uspokoił, zwałił się z „taniuszy” na ziemię, uniósł się lekko, złapał spodnie, pobiegł do brygady. Matiucha zakręcił swój bidon, kiwnął na konwojentów. Ci rozebrali „taniuszę”. Matiucha z niechęcią rzucił okiem na brygadę:

- Smacznego.

- Dziękujemy - tradycyjnie odpowiedział brygadzista.

Siepacz i konwojenci z „taniuszą” poszli w stronę helikoptera. Więźniowie na wolce, pozostawiając przywiezione termosy, chleb i naczynia na stole pod okapem, ruszyli za konwojentami. Całą piątką skryli się w ciemnozielonej maszynie, trap się podniósł, drzwi się zamknęły, łopaty śmigła ożyły i po minucie helikopter „MUR - wschód - 182” uniósł się w powietrze i odleciał na północ. W zonie pozostała tylko brygada nr 17, stół pod okapem, krzesła, pojemnik z wodą pitną i słup bezpieczeństwa z dużym zegarem elektronicznym,

pięcioma kamerami monitorującymi i okrągłym szarym głośnikiem.

- Osadzeni, czas na szamanko wynosi szesnaście minut! - ogłosił megafon.

Prostoduszny Saniok zdjął niebieską wypłowiałą czapkę kaszkietówkę, pospieszył pod okap:

- No i masz, znowu chłostą obcięli nam szamanko.

- Całe czternaście minut! - Kiwając się po wielbłądziemu, podreptał za nim wielkousty Boczarow.

- A coście myśleli, rosomaki? - Podkowa kuśtykał i ze złością mrużył oczy przed słońcem.

Brygada odsunęła krzesła, usiadła przy stole. Sawośka i Salman usiedli na plastikowych krzesłach, jak gdyby nigdy nic. Pietrow, krzywiąc się i pojękując, usiadł, obmacał kolana i wsparł się na nich wielkimi białymi dłońmi. San Sanycz rozpieczętował paczkę głębokich talerzy z prasowanej pulpy ryżowej. Podkowa rozpakował paczkę łyżek.

- *Chto sz razlywajet-to?* - wymamrotał Sawczenko, drapiąc się i kręcąc głową.

- Ja, ja. - Timur otworzył termos z zupą, odpiął od niego warząchew i zaczął nalewać do talerzy.

- Perłowa? - pociągnął nosem Podkowa. - To dobrze.

Słonow jak zawsze sam rozpakował brykiet z pokrojonym szarym chlebem, rozdał brygadzie. Kiedy Timur skończył nalewać i zamknął pusty termos, wszyscy wstali. Słonow przeżegnał się i przemówił:

- Pobłogosław, Panie Boże, nas i te dary, które z Twojej szczodroblewości spożywać mamy. Przez Chrystusa Pana naszego. Amen. Dziękujemy Ci, Panie Boże, za wszystkie dobrodziejstwa Twoje. Który żyjesz i królujesz na wieki wieków. Amen.

Przeżegnał stół. Wszyscy, prócz Timura i Salmana, również się przeżegnali. Brygada nr 17 usiadła i rzuciła się na jedzenie. Zupę zjedli w milczeniu i natychmiast zachrzęścili talerzami i łyżkami: chleba na obiad dawano po trzy kromki, prasowane naczynia i sztucce były dobrym uzupełnieniem. Zjadłszy głębokie talerze i łyżki, rozpieczętowali i rozłożyli płaskie talerze i widelce, też szarawe, z chińskiej prasowanej pulpy ryżowej. Timur otworzył termos i obwieścił:

- Mięso z ryżem.

Brygada poruszyła się z ożywieniem. Mięso dawano we wtorki, czwartki i niedziele. Dzisiaj był czwartek. W pozostałe dni po zupie szła kasza perłowa, jaglana albo ryżowa z olejem rzepakowym.

Nałożyli drugie danie na talerze i tak samo w milczeniu i błyskawicznie zjedli. Potem

wzięli się do talerzy, a widelce upchnęli po kieszeniach: te zwykle zabierali ze sobą na plac budowy i żuli w czasie pracy. To się nazywało „łykać widelec”.

Chrząc talerzem, Słonow spojrział na zegar:

- Jeszcze dziewięć minut. No co, kto dziś będzie jechać farmazonem?

Wszyscy spojrzeli po sobie.

- Może ja! - Sawośka uśmiechnął się z gotowością, tak lekko, jakby w ogóle nie było żadnej chłosty.

- Dobryś sobie, i tak często jedziesz! - usadził go ze złością Podkowa.

- Wczoraj przecież bujałeś? - zdziwił się Saniok.

- A ty co, nie ubawiłeś się? - wyszczerzył się Sawośka.

- O opryczniku i dziewczce? Ubawiłem.

- No to co ozór strzepisz po próżnicy, *shabi*¹⁷?

- Sawoś, ty farmazonisz w normie, ale inni też by chcieli.

- Nechaj Sawosia jedzie, nechaj kto nowy.

- Boczarow, o, on powinien jechać farmazonem. Będzie gicio!

- Cha-cha-cha!

- A najlepiej - Pietruccio! Co, Pietruccio? Ojczy nasz, co?

- Odczepcie się, na Boga...

- Starczy tego gładzenia, czas minął, prawosławni.

San Sanycz otarł kaszkietem spoconą od pospiesznego jedzenia twarz, naciągnął go na swoją maleńką siwą głowę:

- Wiecie co, a chodźcie ja przyfarmazonię.

- Dobra jest, San Sanycz. Jedziesz! - zaakceptował brygadzysta.

- Znaczy się tak - zaczął San Sanycz, opierając się o stół smagłymi pięściami ze śladami zaprawy cementowej wokół paznokci. - Tysiąc dziewięćset osiemdziesiąty szósty rok.

- Wtedy się urodziłem - wymamrotał nagle ponury Pietrow.

- Zbastuj. Znaczy, stuknęło mi wtedy dwadzieścia lat. Znaczy się, odsłużyłem wojo, dostałem plutonowego, wróciłem do Briańska, poszedłem do fabryki na frezera. I zacząłem tak dobrze wypizdzać, kurwa, tak wyjebicie...

- Nie bluzgaj. - Słonow wziął go za rękę.

San Sanycz spojrział spode łba na kamerę monitorującą i podjął:

- Więc zacząłem dobrze pracować, wszedłem w temat *ianglidi*¹⁸, wybiłem się przez rok

¹⁷ *Shabi* (chiń) - złamas (przyp. aut.).

¹⁸ *Ianglidi* (chiń) - super (przyp. aut.).

tak, że mnie wybrali na sekretarza grupy komsomolskiej, a potem przyjechał do mnie sekretarz grupy partyjnej: dawaj no, Buzułucki, zapiszemy cię do partii, puścimy po linii partyjnej. No, a mnie tam co? Dobra, zapisujcie mnie, mówię, do partii.

- A do jakiej? - spytał Boczarow.

- Komunistycznej.

- A co to za partia?

- Nieważne, kurna, co przerywasz?! - Podkowa szturchnął Boczarowa.

- No. - San Sanycz splótł palce. - A ten sekretarz partyjny, Barybin, jakoś tak do mnie się garnał, no, jak ojciec. Jego synek jeszcze jako dzieciak utonął, więc jakoś tak zaczął się mną opiekować, zaprasza do siebie, herbata, rozmowy od serca, wiece. W każdym razie - trafiłem pod skrzydła kierownictwa. I, mówi, przyszykuj się, Saniok, chuju muju, partia to sprawa poważna, poczytaj se Lenina, Marksa.

- Nie jorgam nawijki. To pisarze? - zapytał Pietrow.

- To ci główni, co Czerwoną Smutę urządzili, załapałeś? - ostro wyjaśnił Słonow. - Nie przerywaj, muruj się!

- No. Znaczący, ja do biblioteki przyzakładowej, ciachu-machu, skreśliłem Lenina, Marksa, przytachałem do ciotki do domu, bo ja wtedy z ciotką mieszkalem, pracowała w tej samej fabryce, w BRIAN-MASZu, w dziale kontroli technicznej. Rodzice moi się rozwiedli, matka z nowym mężem wyjechała na północ, a z ojcem chuj... to znaczący w złych stosunkach byliśmy. Tak. I Barybin też o tym wiedział. No. A wtedy, tamtej zimy, przyplątało mi się zapalenie prostaty. Przewiało mnie jakoś, czy cholera wie. Jeszcze w wojsku kiedyś jaja przeziębilem, tam zimą ćwiczenia nam przeprowadzili, most pontonowy przerzucaliśmy, mróz, kurwa, dwadzieścia stopni, wszyscy się poprzeziębiali. W każdym razie - szczam z trudem, pobolewa jakoś tak u dołu, rżnie, kurwa, marny jestem. Poszedłem do lekarza, to był znajomy ciotki, przyjął mnie po znajomości, dał zwolnienie na tydzień. No, zapisał mi coś tam, tabletki jakieś i co drugi dzień chodzić do niego na masaż prostaty. Najpierw mówił: jakbyś miał żonę, to ona sama mogłaby ci masować prostatę, a że nie masz żony - będziesz do mnie przychodzić. No, w porządku, czytam sobie Lenina, Marksa, przygotowuję się, oglądam *dian shi ji*¹⁹, a o piętnastej dymam przez cały Briańsk do tego doktora na masaż prostaty. A on mnie palcem w dupę tryka. Raz, drugi, trzeci. I znudziło mi się jakoś, droga długa, jechać dwoma autobusami z przesiadką, czekać na przystankach, krótko mówiąc, ujeba... tego, znudziło mnie to. I pomyślałem: sam sobie zrobię ten masaż prostaty. Wziąłem od ciotki

¹⁹ *Dian shi ji* (chiń) - telewizor (przyp. aut.).

taki stalowy młotek do rozbijania kotletów, miał taką gładką rączkę, stalową. Rozebrałem się, znaczy.

- Ciotka była w domu? - ostrożnie zapytał Saniok.

- Nie, w robocie. Rozebrałem się, znaczy, do gołego, dla ułatwienia wysmarowałem rączkę młotka margaryną, nachyliłem się i wsadziłem sobie młotek do dupy. Czuję - wszystko w porządku. Rączka gładka, całkiem jak palec, no, tyle że zimna. I tak o się pochyliłem, złapałem za młotek i zacząłem sobie tą rączką masować prostatę. Dopasowałem się szybko. I tak normalnie, tak dobrze, masuję, masuję i cieszę się, że nie trzeba dymać przez całe miasto i teraz sam wszystko mogę robić i wyzdrowieję, szczać będę normalnie i lekarz niepotrzebny, będę siedzieć sobie w domu, oglądać *dian shi ji*. I z tej radości, nie wyjmując z dupy młotka, dołączyłem do magnetofonu, włączyłem Toto Cotugno *Felicita*, podkręciłem głośność i przy muzyce zacząłem sobie masować prostatę. I nagle - chujak-piżdziak...

Słonow ścisnął go za rękę.

- Tak, wybaczcie, prawosławni, no, znaczy - nagle widzę, w korytarzu stoi ciotka. A obok niej - nasz sekretarz partyjny z fabryki, Barybin.

Słonow, Podkowa, Sawczenko, Boczarow i Sawoška zaśmiali się. Timur, Salman, Saniok i Pietrow się nie śmiali.

- Okazuje się, że sekretarz partyjny puścił ciotkę wcześniej, żeby mnie razem z nią odwiedzić, bo mu powiedziała, że Sasza zachorował. I stoją we dwoje w paltach, wlepiają we mnie gały. A ja goły, ze stalowym młotkiem w dupie przy *Felicita* stoję i patrzę na nich.

Saniok i Salman zaśmiali się. Timur nic nierozumiejącymi oczyma patrzył na San Sanycza. Pietrow posępnie zagryzał dolną wargę.

- Krótko mówiąc, sekretarz się odwrócił i za drzwi!

Wszyscy, prócz Pietrowa, wybuchnęli śmiechem.

- Gicio farmazon - pochwalił Słonow, wsadził rękę do kieszeni i wyciągnął zawiniątko z czystej chusteczki do nosa.

Rozwiązał i rozłożył chusteczkę. W chusteczce leżała cukrowa Wieża Spasska. Jej podstawa była obgryziona, ale góra z kurantami i dwugłowym orłem jeszcze cała. Pół miesiąca temu w obozie brygadzysta dostał w paczce od żony z Tweru dwie pary wełnianych skarpet, szalik, czosnek, suchary i cukrowy Kreml z odłamaną Wieżą Borowicką. Ten Kreml dostała na Boże Narodzenie córka Słonowa. Wieżę Borowicką zjadły obie z matką, resztę postanowiła odesłać ojcu na daleką Syberię Wschodnią. Paczka szła pięć miesięcy. Słonow od razu połamał Kreml: mury, sobory wewnętrzne i zabudowania oddał dyspozytorom, dzwonicę Iwana Wielkiego - obozowemu kucharzowi Tomikowi. Wieże - Kutafię, Nikolską

i Zbrojownię - brygadzysta zjadł sam, cmokając je przed snem. Troicką podarował staremu obozowemu kompanowi, Koreańczykowi Wołodi Paku. A Wieżę Spasską postanowił „przekazać na fundusz humoru”: każdego dnia po dziennym szamanku ktoś z jego brygady musiał opowiedzieć śmieszna historię, czyli w języku obozowym „jechać farmazonem”. Jeśli historia była śmieszna, brygadzysta dawał jej autorowi odgryźć kawałek Spasskiej Wieży.

- Gryź, San Sanycz - brygadzysta podał mu wieżę - jeno z dołu.

San Sanycz wziął wieżę w obie ręce, poobracał, przymierzył się i z trudem odgryzł z dołu. Cukier był twardy.

Brygadzysta zabrał mu wieżę, zawinął w chusteczkę, wsunął do kieszeni. I w tym momencie, jak na komendę, ożył szary głośnik:

- Szamanko zakończone! Osadzeni, wstawać, zająć stanowiska pracy!

Brygada wstała, powlokła się do Muru. Słonow, Sawośka, Podkowa i Boczarow zapalili papierosy.

- Słuchaj, San Sanycz, *a wony u partiju to tebia pryńiały?* - spytał Sawczenko.

- Przyjęli. - San Sanycz cmokał cukier. - Ale... mmm... tylko... mmm... Ja tego... po partyjnej linii nie poszedłem.

- A czego tak? - Zaciągając się papierosem Rosja, Słonow posepnie popatrzył na trzy nierozpakowane kwadratowe, wyższe od człowieka palety z pianobetonowymi blokami.

Na paletach był jednakowy „żywy” plakat: opalony muskularny murarz, zgrabnie operując kielnią, kładł pianobetonowy blok na murze, brał do lewej ręki nowy blok, podrzucał, łapał i dziarsko mrugał prawym okiem. Z oka wylatywała złota iskra, rozchodziła się wachlarzem migotliwych liter na całym plakacie: WZNIESIEMY WIELKI MUR ROSYJSKI!

- Tak, coś tam... mmm... nie poszło mi wtedy. - San Sanycz z zadowoleniem obracał w rzadkozębnych ustach cukrową Wieżę Spasską. - Ożeniłem się. Potem rozwiodłem. A potem skończyła się Czerwona Smuta. I partia przestała istnieć.

- A potem co, z miejsca zaczęła się Biała Smuta? - zapytał Sawośka.

- Dokładnie... mmm... potem się zaczęła Biała Smuta.

- To wtedy jak Trójpalcy Wróg wjechał na czołgu do Moskwy? - ostrożnie spytał Saniok.

- Dokładnie! - San Sanycz podszedł do Muru i zaczął wciągać rękawice.

- Ty to wszystko pamiętasz. Siła pamiętasz - pokręcił głową Salman. - Stary z ciebie człowiek.

- Stary, żesz twoja mać! A spróbuj mnie dogonić! - zaśmiał się San Sanycz i prędko wdrapał się po rusztowaniu.

Brygada rozlała się na swoje miejsca. Sawczenko i Timur niechętnie podeszli do wielkiego koryta z resztkami zaprawy.

- Brygadzisto, czy *treba nowyj rastwor zamysyty, abo cej doberete?* - zapytał Sawczenko.

- Wyrabiajcie nową - kiwnął brygadzista i wszedł na Mur.

Pietrow, znalazłszy się na rusztowaniu koło San Sanycza, spytał:

- A kto to taki: sekretarz partyjny?

- *Guan li yuan*²⁰ - bez zastanowienia odpowiedział San Sanycz, chwytając kielnię.

²⁰ *Guan li yuan* (chiń) - kierownik (przyp. aut.).

Pietruszka

Liliput Piotr Samułowicz Boriejko, zatrudniony jako błazen w Kremłowskiej Sali Ćwiczebnej, wrócił do siebie do domu po piątkowym koncercie dla Wewnętrznego Kręgu Kremłowskiego o godzinie trzeciej po północy. Duży czerwony autobus trefnisiów, jak zwykle rozwożący liliputy nocą po przedstawieniu, podwiózł go pod samą klatkę schodową ośmiopiętrowego ceglanego bloku na Małej Gruzińskiej.

Kierowca otworzył drzwi i ogłosił:

- Pietruszka Zielony - do wyjścia!

Drzemiący na tylnym siedzeniu Pietrusza ocknął się, spełził na podłogę, niespiesznie ruszył do wyjścia. W półmroku autobusu, w fotelach, które wydawały się nieproporcjonalnie wielkie, drzemało jeszcze dwudziestu sześciu liliputów. Wszyscy oni byli w swoich komicznych kostiumach, charakterystycznej kołpaczki i czapeczki. I wszyscy bez wyjątku spali. Przeszedłszy przejściem między śpiącymi babami-jagami, lichami leśnymi, wodnikami, straszidłami i wiedźmami, Pietrusza wyciągnął swoją maleńką rączkę do kierowcy i rzekł ochryłym, skrzypiącym wysokim głosem:

- Bywaj, Wołodia.

Kierowca ścisnął tę rączkę wytatuowanymi palcami:

- Spokojnych snów.

Pietrusza zamasyżuje, rozkołysany krokiem zszedł po schodkach autobusu, zeskoczył na mokry od nieustającego drobnego deszczu asfalt. Drzwi się zamknęły, autobus odjechał. Pietrusza zaczął się wspinać po innych schodach, kamiennych, do drzwi klatki schodowej. Był w kostiumie Zielonego Pietruszki: w zielonej czapce z trzema szpicami i dzwoneczkami, w zielonym wdzianku z wielgachnymi guzikami, w zielonych mieniących się spodniach i zielonych bucikach o króciutkich cholewkach, z zagiętymi noskami. Twarz Pietruszki też była zielona, ale z czerwonymi piegami i wielkim purpurowym nosem. Za plecami majtała mu się zielona, nawet nocą jaskrawo połyskująca bałałajka.

W odjeżdżającym autobusie spali jeszcze trzech Pietruszkowie: Czerwony, Niebieski i Żółty.

Pietrusza wyciągnął plastikowy klucz, przyłożył do zamka odrapanych i wymazanych drzwi. Drzwi pisnęły, otworzyły się. Liliput wślizgnął się do skąpo oświetlonej klatki

schodowej. Było tu niezbyt czysto, ale za to bez śladów zniszczeń czy podpaleń: trzy lata temu dom od ziemstwa wykupił Urząd Drogowy. Pietrusza zawołał winę, ale ta nie zareagowała.

- Tfu, ty, dupa kościotrupa! - wyskrzypiał Pietrusza swoje zwyczajowe przekleństwo, przypomniawszy sobie, że teraz już nie piątek, tylko sobota, a w dni wolne ani jedna winda w mateczce Moskwie działać nie powinna wedle zalecenia magistratu. Ekonomia! Obce słowo... A po rosyjsku - oszczędność.

Pietrusza powłókł się na piąte piętro piechotą. Na każdy schodek musiał się z wysiłkiem wdrapywać, mocno przechylając się na drugi bok. Dzwoneczki jego dzwoniły do taktu, zielona bałajka katulała się po plecach. W ten sposób, jak kaczką, pokonał wszystkie pięć pięter, podszedł do swoich drzwi nr 52, przyłożył do nich tenże prostokątny klucz. Drzwi zaśpiewały *ktoś zjechał z górki!* i otworzyły się.

W mieszkaniu od razu zapaliło się światło i wyturlał się duży beżowo-srebrzysty robot Jegorr.

- Dzień dobry, Piotrze Samuilowiczu!

- Cześć, Jegorro! - odpowiedział Pietrusza zmęczonym głosem, opierając się o niski wieszak i próbując złapać oddech po długiej wspinaczce.

Robot podjechał do niego blisko, brzuch z beżowego plastiku otworzył się, zaświecił: wewnątrz stał kieliszek wódki. I od razu rozbrzmiał marsz torreadora z opery *Carmen*. Cztery lata temu stało się to tradycją po każdym nocnym występie na Kremlu.

Wysapawszy się, Pietrusza wyjął kieliszek z brzucha robota, stuknął się z jego srebrzystym wzgórkim łonowym, wypił wódkę i odstawił kieliszek na miejsce. Zdjął z pleców bałajkę, oddał robotowi. Opierając się o wieszak, ściągnął buty. Potem zdjął swój strój Zielonego Pietruszki i powiesił wszystko na rękach Jegorra. Robot, burcząc, pojechał do szafy na ubrania.

Pietrusza został tylko w czarnych slipkach, przeciągnął się ospale, ziewnął i poczłapał do łazienki. Tutaj już szumiał kran, napełniając wannę pieniącą się wodą. Pietrusza z zadowoleniem zauważył, że robot dodał do wody nie Sen jabłoni, który już mu obrzydł, ale Baśń z Siedmiu Mórz. Ściągnął slipki, przelazi przez brzeg wanny i plusnął do wody.

Piana pachniała morzem. Pietrusza od razu się w niej zatopił. Ciepła woda, bulgocząca wokół jego małego zmęczonego ciała, była upajająca. Wypita wódka rozkwitała mu w żołądku jak gorący kwiat.

- W porzo... - Pietrusza sapnął i zamknął oczy.

Do łazienki wjechał Jegorr z zapalonym papierosem Ojczyzna. Nie otwierając oczu,

Pietrusza rozchylił wymalowane na purpurowo usta. Robot włożył w nie papierosa, odwrócił się i stanął nieruchomo z popielniczką. Pietrusza z błogością zaciągnął się głęboko, wypuścił z jaskrawych ust strumień dymu. W zetknięciu z dymem piana zasyczała z niezadowoleniem. Pietrusza znów się zaciągnął, zamuczał. Robot wziął od niego papierosa. Pietrusza z jękiem rozkoszy złapał swój purpurowy nos, odkleił, cisnął na podłogę. Potem zaczął zmywać z twarzy charakterystyczną.

Po zmyciu znów otworzył maleńkie usteczka o wąskich bledziutkich wargach. Robot włożył w nie papierosa. Woda przestała płynąć. Pietrusza palił, rozluźniony, leżąc w wannie i patrząc na ciemnoniebieski sufit z przyklejonymi błyszczącymi gwiazdami. Na występie wszystko poszło gładko, błaznował i tańczył, jak zawsze gracko i lekko, z „biglem”, kręcąc się jak „wrzecionko”, udając „kociubę”, „kaczkę”, „śnieżyce”, „jarząbka”, „szczupaka”, „samowar”, „wańkę-wstańkę”, a już kiedy robił za „Amerykańca” z dupnym przysiadem, to cały Wewnętrzny Krąg zgromadzony w Sali Graniastej z aprobatą klaskał i gwizdał, a księżę Boris Jurjewicz Obołujew dwukrotnie rzucił w Pietruszkę złociakiem.

- Dwa złote i srebrem... z dziesięć rubli... - wymamrotał, wspominając i oglądając gwiazdy.

- Czego pan sobie życzy? - zapytał robot.

- Niczego. - Pietrusza strząsnął popiół do piany. - Daj no jeszcze wódeczki.

- Tak jest. - Robot otworzył brzuch.

Pietrusza wyjął z niego kieliszek, wychylił, oddał robotowi.

- Uff... dobrze... - zamruczał, chuchnął i zaciągnął się.

- Wszystko dobre, co się dobrze kończy - wymówił robot.

- Właśnie. - Pietrusza zamknął oczy, odchylając głowę na plastikowy podglówek. -

Przygotuj mi coś do jedzenia. Tylko nie rób nic na gorąco.

- Tak jest.

Robot odjechał. Pietrusza dopalił, wypluł niedopałek w pianę. Wstał, odkręcił prysznic. Silne strumienie wody uderzyły z góry z szerokiej rozetki. Pietrusza skulił się, skrzyżował ręce na genitaliach. Potem wyprostował się, zadarł głowę, podstawiając twarz pod strumienie. Poczul się bardzo dobrze, zmęczenie odpływało razem z wodą.

- O tak. - Zakręcił prysznic, wyszedł z wanny.

Zdjął z niskiego wieszaka włochaty szlafroczek, nałożył, wszedł na drewniane schodki, stojące przed umywalką, spojrzął na swoje odbicie w lustrze: szeroka twarz z maleńkimi, nieco obrzękniętymi oczkami, perkatym nosem i wąskimi zaciętymi ustami. Wziął z półki grzebień, zaczesał do tyłu rzadkie włosy piaskowego koloru.

- O tak - powtórzył i wywalił ostry język z białym nalotem. - Bądź zdrow, Pietrusza!

Zlął rozkołysanym krokiem ze schodków, wszedł do salonu. Tam Jegorr kończył już nakrywać do stołu.

- Jak leci? - Pietrusza klepnął Jegorra ciepłą, białą po kąpieli dłonią po wiecznie zimnym plastikowym tyłku.

- Same śmieci! - odpowiedział ten, rozstawiając przekąski.

- Pole-waj!

- Tak jest.

Pietrusza wyjął z Jegorra kieliszek, wypił pół, nadział na widelec marynowanego rydzyka, wsunął do ust i zaczął przeżuwać. Następnie dopił kieliszek, wziął palcami kiszony ogórek, usiadł przy stole i z chrzęstem odgryzł kawałek. Przed nim stał talerzyk z pokrojoną przez robota kiełbasą, miseczka z pastą bakłażanową i niezbyt starannie otwarta puszką z kilkami w sosie pomidorowym. Pośrodku stołu stał cukrowy Kreml.

Wszystkie dwugłowe orły i część murów Pietrusza już zjadł.

- Wiadomości? - zapytał.

- Żadnych wiadomości - odpowiedział Jegorr.

- To dobrze - kiwnął głową Pietrusza, wziął kawałek czarnego chleba i łapczywie rzucił się na jedzenie.

Jadł szybko i z wyraźnym wysiłkiem, jakby pracował, głowa mu podrygiwała, a mięśnie twarzy kurczowo chodziły pod bladą, niezdrową, zmęczoną charakterystyczną skórą.

- Polewaj! - rozkazał z pełnymi ustami.

Robot posłusznie otworzył się na oścież.

Pietrusza wypił czwarty kieliszek i ten już na niego mocno podziałał. Liliput zachwiał się na krześle. Ruchy jego rączek stały się niezborne, wyrzucił puszkę z kilkami i odłamawszy kawałek chleba, zaczął nim wycierać sos rozlany na stole.

- Zza la-a-a-asu, dajmy na to, zza gó-ó-ó-ór - zaśpiewał, mrugając do robota.

- Jecha-a-a-ał wujek Jego-o-o-or - od razu w odpowiedzi podchwycił robot.

- On na siwku-u-u-u na furmance - zaśpiewał liliput, czkając.

- Na skrzypią-ą-ą-cym koniku-u-u-u - odśpiewał robot.

- Całe la-la-la-la-ta! - zaśpiewali razem.

Pietrusza zachichotał, odchylając się do tyłu i upuszczając widelec. Ścisnął w ręce miękisz chleba namoczony w sosie, huśtał się i skrzecząco chichotał od czasu do czasu. Robot stał, mrugając niebieskimi oczyma.

- Polewaj! - Pietrusza majtnął głową.

Plastikowy brzuch otworzył się na oścież. Pietrusza wziął kieliszek, upił, ostrożnie postawił na stole:

- A więc...

Przeniósł rozplywające się spojrzenie maleńkich oczek na robota.

- Jak jest szkło w liczbie mnogiej?

- W drobny mak! - odpowiedział robot.

- Dajesz radę. - Pietrusza czknał. - A jak leci?

- Same śmieci!

- Da-jesz ra-dę! - wystukał Pietrusza pięścią na stole.

Niedopity kieliszek przewrócił się.

- Oż ty, dupa kościotrupa... polewaj!

Robot otworzył się. Maleńka rączka wyjęła z niego kieliszek wódki. Pływające oczka zauważyły cukrowy Kreml.

- Tak.

Liliput wlażł na siedzenie krzesła, stanął i sięgnął po Kreml, niemal kładąc się na stole. Odłamał blankę z kremlowskiego muru, wsunął do ust, zaczął się cofać, trafił dłonią na kiełbasę. Klapnął z rozmachem na krzesło, cukier głośno zachrząścił mu w zębach.

- I jak mmm... Jak ci leci?

- Same śmieci.

Pietrusza rozkruszał zębami blankę kremlowskiego muru.

- Wiesz co, Jegorro - zamyślił się - daj no mi...

- Czego pan sobie życzy?

- Daj no mi Ritulę.

W pokoju zjawił się niezbyt dobrej jakości hologram młodziutkiej liliputki siedzącej w ogrodzie w bujanym fotelu. Liliputka huśtała się, uśmiechała i poruszała wachlarzem, który w jej maleńkich rączkach wydawał się wielgachny.

- Odwróć się! - wydał Pietrusza komendę robotowi.

Robot odwrócił się.

Z kieliszkiem w ręce Pietrusza wylazł spod stołu, podszedł do hologramu, niezgrabnie usiadł obok na miękkiej wykładzinie podłogowej, wypluskując wódkę.

- Witaj, Ritula - zaskrzypiał. - Witaj, kochana.

Maleńka kobietka dalej się bujała i uśmiechała. Od czasu do czasu unosiła wachlarz do twarzy, zakrywała się nim i mrugała porozumiewawczo.

- Ritula. Dzisiaj znowu tego... Błaznowaliśmy bez ciebie. Sześćdziesiąte drugie

przedstawienie. Bez ciebie - mamrotał Pietrusza urywanymi frazami. - Sześćdziesiąte drugie! I bez ciebie. Co? A tak. I wszyscy za tobą tęsknią. Strasznie. Wszyscy! Nastia, Bor'ka, Oguriec, Marinka. I ten... nowy... Samsonok. Wodnik znaczy. Wszyscy, wszyscy. A ja cię strasznie kocham. Strasznie! I będę na ciebie czekać. Zawsze. A zostało całkiem tego... Niedługo. Półtora roczku. Migiem przeleci. Nie zauważysz. Tam, u siebie. Nie zauważysz nawet. Przeleci jak ptaszek. Raz i już. I odsiadka się skończy. I wszystko będzie tego. Dobrze. Pieniądzy teraz dużo, Ritula. Siła pieniądzy. Dziś mi książkę tego... Obołujew. Dwa złote rzucił. Prosto w mordę! Obołujew! No?! I tyle. I poprzednim razem srebrem ciskali... po prostu... no, tego... Straszne! Smyrgają i smyrgają... I Siergiej Siergieicz powiedział. Poważnie! Że od nowego roku podwyższą. Za wysługę. I będę miał już tego... Sto dwadzieścia. Złotem. Miesięcznie. I jeszcze to, co mi podrzucą. No?! Pożyjemy jak królowie, Ritula. Trzymaj się tam, tego. Ritoczko. Twoje zdrowie.

Wypił, skrzywił się, chuchnął. Ostrożnie postawił pusty kieliszek na podłodze. Popatrzył na bujającą się Ritę.

- Wiesz, tego, Ritula. Ten nasz Witeńka. Na lewo błaznował. Tego. Dla tych z tajnego urzędu. No?! A tam był jeden oprycznik. Straszny kirus. Upił się. I Wit'ka tak mu się spodobał, że mu trzy złote ciepnął. Od razu! A potem tego. Nawet go sobie na kolanach posadził. Icha-cha! Patataj-patataj! Winem poił. I powiedział, że może byśmy tego. I oprycznym dali przedstawienie. Bo tego! Oprycznicy dawniej liliputów nie lubili. A teraz tego. Lubią. No? O. Być może. A co? Dogada się z tym. Z Bawiłą. I tyle. I zaczniemy dla opryczników tańczyć. I wszystko będzie dobrze. Wszystko! A tamten częstował. Witeńkę. No i tak. I Witeńka nasz tego. Okrutny z niego pyskacz. I zapytał tajnourzędowego wprost. Prosto z mostu: kie-dy roz-pa-trzy-cie po-now-nie spra-wę krem-low-skich li-li-pu-tów?! Prosto z mostu! No?! Witeńka! A ten wysłuchał. Poważnie. I mu poważnie tego. Odpowiada: wkrótce! Tak. Poważnie odpowiedział: wkrót-ce! Wkrót-ce! A to znaczy - będzie tego. Ponowne rozpatrzenie. A potem - amnestia. I wszystkich was, wszystkich szesnaścioro wypusz-czą! Tak!

Pietrusza, mrużąc swoje obrzęknięte od wypitego alkoholu, charakteryzacji i zmęczenia oczka, patrzył na bujającą się Ritę. Ona wciąż się wachlowała, chowała twarzyczkę za wachlarz, puszczała oczko.

- Amnestia - rzekł Pietrusza i obliznął wążutkie usteczka. - Poczekaj... Ja przecież tego. Mówiłem. Przecież ci mówiłem! Już. Tak? Poczekaj... Jegorr!

- Słucham.

- Mówiłem Ricie o amnestii?

- Tak.

- Kiedy?

- Dwunastego sierpnia, dwudziestego ósmego sierpnia, drugiego września, trzynastego września, dziewiętnastego września, czwartego października.

Pietrusza zamyślił się.

Rita bujała się, wachlowała, uśmiechała i puszczała oczko.

- No i czego? Czego się śmiejesz? Głupia.

Wziął pusty kieliszek, uderzył w hologram. Kieliszek przeleciał poprzez uśmiechającą się Ritę, odskoczył od ściany, upadł na podłogę. Kieliszek był z żyworodnego przezroczystego plastiku. Robot od razu podjechał, podniósł go, schował w swym brzuchu.

- Pizda! - wykrzyczał Pietrusza, z wściekłością patrząc na Ritę.

Rita puściła oczko zza wachlarza.

- Poczekaj... - Pietrusza z zatroskaniem wykrzywił usta, przypomniawszy coś sobie. - Poczekaj, poczekaj... Jegorr!

- Słucham.

- Mam chcię! Szybko! Tego! Tego! Kołpak!

Jegorr podjechał do szafy z ubraniami, otworzył ją, wyjął zieloną czapę Pietruszki.

- Prędko! Dawaj!

Z czapką w ręce robot podjechał do Pietruszy.

- Szybciej, dupa kościotrupa! Żwawiej!

Chwiejąc się, Pietrusza wyrwał mu kołpaczek, naciągnął na głowę, zsunął szlafrok, pozostał nagi.

- Dawaj jego samego! - wrzasnął.

Od razu znikł hologram Rity i pojawił się drugi: Monarcha siedzący w carskiej łoży Teatru Wielkiego.

- Bądź pozdrowiony, panie nasz, Wasiliju Nikołaiczu! - wykrzyknął Pietrusza i spróbował udawać „samowar”, ale upadł.

- Bądź pozdrowiony, bądź...

Zaczął się gramolić, wstał chwiejnie. Pokłonił się monarsze, oddał honory i wymamrotał:

- Jest prezencik dla waszej carskiej miłości od błotnej zgniłości, od miedzianego móździerza i fujary jak w mordę jeża, od kociej sraki, od kulawej sobaki, od głodnego kurwiszona, od sparszywiąłego dzwona, od tłustego golibrody, od mokrej pogody, od zbitego ryja, od obdartego stryja, od promieniowania jądrowego, od zgniłego zęba trzonowego, od napiętnowanego chłopaczka, od robaczywego borowiaczka, od pełznącego gada przyziemnie

i troszeczkę ode mnie.

Pochylił się, wystawiając chudy tyłek wprost przed spokojne oblicze Monarchy.

- Jegorr! Zapalnik!

Robot uniósł do zadka swój środkowy palec-zapalniczkę, zapłonął ogieniek. Pietrusza głośno wypuścił gazy. Te wybuchły na zielonkawożółto. Płomień błyskawicznie pochłonął głowę Monarchy i zgasł. W hologramie wytworzyła się dziura. Monarcha nadal siedział w łożu, ale bez głowy i części lewego ramienia.

Pietrusza wyprostował się, chwiejnym krokiem odszedł od hologramu, spojrzął.

- No tak.

Całkiem obrzęknięte oczka-szczelinki wesoło oceniły uszczerbek, jakiego doznał Monarcha.

- W porzo! Co, Jegorr?

- Tak jest.

- No-o, to... daj poprzedni.

Obok hologramu pojawił się taki sam, tylko mniejszy. Na nim Monarcha nie miał tylko szyi i podbródka.

- O, widziałeś?! - Pietrusza podszedł do robota, objął go za szlifowane biodro. - Wtedy bździuch poszedł dołem. I tego. Słabo wtedy... Co? Słabo pierdnąłem, co?

- Tak jest.

- A dziś? Jak? Super! Co? Jegorr!

- Tak jest.

Pietrusza i robot stali, oglądając dokładnie hologramy. Chwiejający się i dzwoniący dzwoneczkami kołpaczek na głowie Pietruszy co rusz przytulał się do wąskiej talii robota.

- Pole-waj! - wydał komendę Pietrusza.

I wyciągnąwszy rękę, wyjął z robota kieliszek, rozpryskując, uniósł do ust, chciał wypić, ale zatrzymał się, przełożył kieliszek do lewej ręki, a prawą pokazał hologramom figę:

- A masz!

Szturchnął robota łokciem.

- Jegorr!

Robot zrobił ze srebrzystych palców figę, pokazał hologramom:

- Macie, panie nasz, Wasiliju Nikołajewiczu.

Dwie figi, jedna surowosrebrzysta w górze, druga różowobiała, kołysząca się na dole, na długo zawisły w powietrzu.

Pietrusza pierwszy się zmęczył. Opuścił rękę.

- Dajesz radę! - Klepnął robota po tyłku, rzucił kieliszek przez ramię. Robot od razu się odwrócił, podniósł go, schował w sobie.

- Tego... - Pietrusza podrapał gołą bezwłosą pierś. - Trzeba tego...

Jego obrzęknięte oczka-szczelinki rozglądały się po salonie.

- Jegorr!

- Czego pan sobie życzy?

- Tego... - krótkopalce rączki Pietruszy niespokojnie przesuwają się po piersi. - Ja tego...

- Czego pan sobie życzy? - Robot patrzył na niego.

- Jak to... - z bólem przypominał sobie liliput i nagle z rozmachem usiadł na dywanie, przewalił się na plecy, ale dźwignął się, potrząsnął głową.

Dzwoneczki zadzwoniły. Robot patrzył na pana. Ten w milczeniu patrzył na robota, poruszając paluszkami u rąk i nóg.

- Ktoś ty? - zapytał Pietrusza, ledwo obracając językiem.

- Jestem robot Jegorr - odpowiedział robot.

- I jak... leci?

- Same śmieci.

- A ty... tego... no...

- Czego pan sobie życzy?

- Tyś... kto?

- Jestem robot Jegorr.

Pietrusza podniósł rękę, sięgnął w stronę robota, poruszając ustami, ale nagle runął na wznak i ucichł. Robot podjechał do niego bliżej, klęknął, pochylił się powoli, wziął Pietruszę na ręce, wyprostował się, wstał. Pojechał do sypialni. Pietrusza spał na jego rękach z otwartymi maleńkimi usteczkami. Robot położył go do pościelonego łóżka, przykrył kołdrą. Zdjął z głowy śpiącego kołpaczek, pojechał do salonu. Schował czapę w szafie z ubraniami. Posprzątał ze stołu. Wyłączył hologramy. Zgasił światło. Podjechał do ściany. Przełączył się na fazę śpiącą. Jego niebieskie oczy zgasły.

Karczma

Karczma Szczęśliwa Moskowia na rogu Nieglinnej i Małego Kisielnego Zaułka, należąca do przechrzty Abrahama Iwanowicza Mamony, o ósmej wieczorem była już pełna najróżniejszej klienteli.

Kogo tutaj nie spotkasz! Ziemsy „okopceni” z będącej w niełasce ulicy Trubnej i przyległych zaułków, „mokrzy” najemnicy z giełdy pracy, poborcy podatkowi z kantorów lichwiarskich Samotieki, szkolarze starszych poziomów szkoły rzemieślniczej nr 78, studenci wydziału architektury, Chińczycy z bazaru Troickiego, zdymisjonowani klauni i akrobaci z cyrku na Cwietnym Bulwarze, zapijający się aktorzy z Teatru Cieni, handlarki z pobliskich straganów, bulwarowe prostytutki, „nautilusy”, kaci, „głupkowaci”, sprzedawcy, usługodawcy i po prostu pijacy.

Nieogarniona, zadymiona, zawsze przesiąknięta odorem wódczanym, piwem, suszoną rybą i ludzkimi wzyewami piwniczna sala knajpy wyraźnie i ostro podzielona była na strefy ze względu na przynależność społeczną i wykonywany zawód: tutaj na przykład, pod wymazaną zadzierzystymi wierszami i oblepioną „żywymi” obrazkami betonową kolumną hałasują studenci z rzemieślnikami, nieco dalej pociągają piwko z wkładką cyrkowcy, pod daszkiem ze świecącego żyworodnego włókna wałkonią się gadatliwi Chińczycy, w kącie koło obszarpanego klimatyzatora obalają jarzębinówkę rozchichotane handlarki, które odstały przy straganach swoją zmianę, obok nich popijają sprzedawcy, usługodawcy, dostawcy taniego jedzenia, w wąskim przedsionku wychylają po kieliszeczku żurawinówki przed wyjściem na bulwar jaskrawo wymalowane prostytutki, a w najdalszym kącie, przy czterech stołach, zsuniętych i skreconych na trwałe (z pozwolenia samego Mamony) stalowymi kłamrami, spokojnie zasiadają przy szklance Krwawej Maszy miejscowi siepacze.

Kaci stół jest szczególnie w knajpie Mamony: nikt nie ma prawa przy nim usiąść, prócz siepacza albo podsiepacza. Bywalcy karczmy to wiedzą i nawet w piątki, kiedy lokal jest zapchany po brzegi, stół katów może stać pusty i choćby najbardziej pijany sprzedawca miodu grzanego ze swoją handlarką z „Kraju Murawii” nie zaryzykuje usadowienia się przy nim.

Teraz przy kacim stole siedzi sześciu: siepacze Matwiej Samopał-Trubnikow, Juzia Łubiański, Szka Iwanow i ich podsiepacze - Wańka, Sobol i Miszania. Samopał-Trubnikow

chłoszcze na placu Trubnym, Juzia - na placu Łubiańskim, Szka Iwanow - dość daleko stąd, na Piatnickiej. Najstarszy i najbardziej doświadczony z nich to Matwiej. Chłoszcze już dziewiąty rok i wybatożył, jak sam twierdzi, bez mała osiemdziesiąt tysięcy dup. Sąznisty jest Matwiej, szeroki w barach, zarośnięty bujną brodą. Jak wypije parę szklanic Krwawej Maszeńki, to od razu jest skory do przechwałek.

- Dalibóg, kogom tylko nie batożył - statecznie grzmi basem, posiorbując ze szklanki. - Odsuniętych od łask książąt Sołodilinów, czterech generałów ze sztabu generalnego, przewodniczącego Izby Mądrości, siostry hrabianki Woronin za czyn nierządny z nieletnim księciem Dołgorukowem, monarszego oborowego Minorowa za występłą obojętność wobec zwierząt. Lekko licząc, sto szlachetnych rodowych dup rocznie przechodzi pod moim batem.

Matwiej ze wszystkich trzech katów jest najbardziej „rzeźny”, chłoszcze batogiem. Swój batog traktuje z należnym szacunkiem, często powtarzając przysłowie: „Bat nie archanioł, duszy nie wyjmie, a prawdę powie”. Juzia Łubiański i Szka Iwanow są katami „lekkimi”, różgą soloną monarsze Słowo i Dzieło na dupach poddanych utrwalają. Ich ulubione powiedzonko: „Różga umysł wyostrza i ducha wzmacnia”. Młodszy są od Matwieja, lubią cieszącemu się autorytetem siepaczowi przyciąć, obśmiać go.

- A co, Matusza, nie oślepią ci oczu dupy jaśniepańskie? - pyta Szka Iwanow, zza okrągłych okularów puszczając oko do Juzi.

- Nie bój nic, nie oślepnę. Za to ręki, jak wy, nie zwiczną. Rzadko macham, ale celnie. Moje machnięcie warte jest dziesięciu waszych.

- Ale na ciebie i większy jest popyt i „dupna” uraza do ciebie mocniejsza! - uśmiecha się Juzia. - A my co - pomachamy i się rozejdziemy. I prości ludzie na nas się nie gniewają. Nie szlachetne rodowe dupy znaczy chłoszczemy, ot co!

- I dla nas, i dla dup jedno jest najważniejsze: byle szybciej! - dodaje Sobol.

- Dupa dupie nierówna - nie zgadza się Matwiej. - Niektórą dupę wychłoszczesz - jakbyś do komunii przystąpił.

- A na inną nawet splunąć szkoda - kiwa głową Szka Iwanow. - Mało godnych dup pozostało, bracia.

- Godne dupeczki w żeńskich gimnazjach można spotkać - chytrze uśmiecha się podsiepacz Miszania. - Upci, upci po dziewczęcej pupci! Wychłoszczesz z piątkę - dusza młodnieje.

- Dzieło nasze uczciwie czynić się godzi, bez własnej korzyści, rozumiesz? - poucza go Matwiej.

- Co mam nie rozumieć! - Miszania uśmiecha się przebiegle, palcami robiąc

„cudzysłów”.

- Bez korzyści jeno w łagrach chłosczą - oponuje Juzia. - Nie jestem robotem, żeby bez zamięłowania dzieło państwowe czynić. Godzi się i różgi kochać, i dupy. Wówczas sprzeczności w duszy nie będzie.

- Ja swój bat kocham, bez dwóch zdań - Matwiej gładzi brodę. - Ale kocham miłością nieskalaną.

- My też, Matusza, swoje różgi kochamy miłością nieskalaną - rozprawia Juzia. - Wśród nas nie ma sadystów.

- Bat i różga, jak alfa i omega - dodaje Wańka.

- Bat ma swoją metafizykę, a różga swoją... - Szka Iwanow siorbie ze szklanki.

Do knajpy wtacza się znany żebrak z placu Trubnego - Nikitka Szyderca. Żegna się znakiem krzyża, składa pokłon:

- Zdrowia i pomyślności wszystkim stworzeniom!

Znają go w Szczęśliwej Moskwii, lubią. Ze wszystkich stron Nikitka słyszy propozycje:

- Nuże, siadaj z nami, pracusiu!

- Nikitka, łknij cyrkowego piwka!

- Wskakuj do mnie, pchełko!

Ale Nikitka chodzi wedle własnego „wzoru”: w środy i piątki nie przysiada się do stołów, tylko robi obchód knajpy, „żywe” obrazki pokazując i pijąc niewiele i - znów na Trubny.

- Siadaj, wypij, kłodo dryfująca! - przyzywa go Matwiej donośnym głosem.

- Matka Boska nie zezwala rozsiadać się w dzień postny. - Nikitka przykuśtykuje do kaciego stołu, obnaża mądrą maszynkę, wiszącą na brudnej piersi, ożywia ją. - Zali widzieliście, czym nasza Monarchini po nocach się zajmuje?

Wydmuchuje mądrą świecą bańkę: Monarchini w swojej łożnicy naciera się niebieską maścią, zamienia się w niebieską lisicę, bieży do kremlowskiej psiarni. I tam oddaje się psom.

- Widzieliśmy, widzieli, Nikitka - uśmiecha się Szka Iwanow. - Wysmaruj coś nowszego.

- Nowszego? Słyszeliście, że na Kremlu jest piękna dzierlatka - trzy pudy gówna na sobie taszczy, jak się ukloni - pół puda odpadnie, kiedy kroczy jak paw - dwa narastają! Zgadujcie, kto to?

- Synowa monarsza.

- Wkrótce prorok Ilja porazi je obie piorunem za kurewstwo! Spali ogniem niebieskim łajdaczki!

- Nie spali - ziewa Matwiej. - Jak się nasza Monarchini jebała, tak się będzie jebać.

- Jeno nie z psami, a z gwardzistami - kiwa głową Szka.

- Ty byś, Nikitka, lepiej coś o synku monarszym wysmarował. Coś dawno o nim szyderczych wiadomości nie było!

Nikitka podchodzi do stołu, wychyla po drodze kieliszek wódki, na zagrychę wacha rękaw.

- Syn monarszy sodomickim grzechem się splamił.

- No, no? - ożywiają się kaci.

- Ale nie z własnego chcenia.

- Jak to?

- Zarażony sodomią z wyrachowania zewnętrznych wrogów państwa rosyjskiego.

- I kto go zaraził?

- Serbski ambasador Zoran Baranowicz.

- Oni z Monarchą są starzy przyjaciele, co ty bajdurzysz? Razem jeżdżą na polowania.

- Kupiła Baranowicza zamorska sodomicka plutokracja.

- I jak go zaraził?

- Na drugi dzień po Przemienieniu Pańskim Monarcha urządził wyprawę na ryby na Pleszczejewym Jeziorze. Po połowie poszli do łaźni. Tam Baranowicz podsypał synowi monarszemu do kwasu chlebowego specyfik. Syn zapalał. A Baranowicz się w niego wraził drogą sodomicką.

- Wydeptał, można powiedzieć, tajemną ścieżkę! - zaśmiał się Miszania.

- Teraz plutokraci po tej drodze swoich agentów puszczają. Raz w tygodniu!

- A dowody? - Matwiej gładzi brodę.

- Będą! - Nikitka klepie brudną ręką po swojej mądrali. - Dobra, nie mam czasu!

Odchodzi od stołu kaciego, idzie do cyrkowców. Tutaj zawsze na niego czekają.

- Nikitka, łyknij!

- Naści, nie pogardzaj, biedoto!

- Zalej się, kochany!

Nikitka przyjmuje kieliszek od cyrkowców, wypija, zakąsza kulebiakiem. Informuje:

- Na hipodromie wczoraj w dżokejskiej altance żona koniucha urodziła trojaczki.

- No?

- I cała trójka: z końskimi łbami.

- Cha-cha-cha!

Cyrkowcy jeszcze się zaśmiewają, a Nikitka już dotarł do studentów. Podają mu piwo żygulowskie. Nikitka upija z kufla.

- Zali słyszeliście nową wiadomość o glinie mózgowej? Chińczycy zrobili taką, że godzi

się nie dla robotów jeno, ale też dla ludzi!

- Nie wciskaj ciemnoty, Nikitka!

- Zaprawdę, zaprawdę powiadam wam! Owa glina przeszła tajne doświadczenia u nas na Syberii: wprowadzili ją strzykawkami do głów chłopom we wsi Karpilowka, ale silnie przedobrzyli, nie przewidzieli jednego.

- No?

- A ci chłopci do rana napisali dla Monarchy zbiór praw: „Jak dobrze zagospodarować rosyjską wieś”²¹.

- I co było w tym kodeksie?

- A wpisali tam, że każdemu chłopu należy się chwost stalowy przypawić, żeby wszyscy mogli ziemię orać swobodnie! Macie, sami zobaczcie!

Nikitka pokazuje swoje zbereżne obrazki. Studenci chichoczą, stukają się kuflami z Nikitką. A on nie zatrzymuje się - już kuśtyka do Chińczyków:

- *Wanshang hao*²², podniebni!

Wtacza się do knajpy pijaczyna pisarczyk z Urzędu Skarbowego, który kiedyś znieca zaczął śpiewać basem. Żegna się znakiem krzyża na wszystkie strony i zaczyna śpiewać:

Jak w stołecznym mieście

W Moskwie-stolicy

Trzy bezdomne psy

Szły się wody napić

W południowy czas.

Jeden biały pies,

Drugi czarny pies,

Trzeci krasny pies.

Nad rzekę Moskwę przylazły,

Miejsce ciche znalazły

W południowy czas.

Zaczął pić biały pies - pobielala woda.

Zaczął pić czarny pies - poczerniala woda.

Zaczął pić krasny pies - pokrasniała woda.

²¹ Aluzja do traktatu Aleksandra Sołżenicyna *Jak powinniśmy zagospodarować Rosję* (przyp. tłum.).

²² *Wanshang hao* (Chiń) - dobry wieczór (przyp. aut.).

Zatrzęsła się ziemia, słońce się skryło,

Miejsce egzekucji rozpadło się.

Rozpadło się, rozpekło się,

Purpurową krwią zrosiło się.

A z niebios głos gromowy wyszeptał:

- Kto był katem, będzie ofiarą!

Biją brawo byłemu pisarczykowi, podają mu kielicha, wołają do siebie, sadzają.

Z hałasem i chichotem wtaczają się do knajpy Tanieczka i Dunieczka²³, nierozłączne kwaciarki z placu Trubnego. Jak tylko rozprzedają swoje niezabudki, od razu ciągnie je na żurawinówkę. Tanieczka jest posągowa, korpulentna, Dunieczka giętka, gibka. Stali bywalcy od razu do nich pohukują:

- Wyświechtana marka!

Tanieczka z Dunieczką rozumieją. Otwierają usta. Pokazują swoje rozdwojone języki, wibrują nimi. Klaszczą bywalcy, pogwizdują, przepuszczają. Któryś ze studentów dowcipkuje:

- Wy nam dolne jęczyczki pokażcie, górneśmy już widzieli!

Pojawia się komik cyrkowy Wołodka Sołowiej. Przysiada się do swoich, pije, szybko się upijając, zaczyna starą gadkę: kiedy go wykopsają, znaczy wywałą z cyrku? Rozdygotany, we łzach, tłumaczy:

- Przecież jestem najlepszym klaunem! Najle-e-e-e-epszym! Jak oni mogą?!

Cyrkowcy go uspokajają:

- Nie chrzań, Wowa, nie odważą się!

- Odważą! Jeszcze jak się odwa-a-a-a-ażą! - beczy Sołowiej, roniąc łzy.

Wbiega do Szczęśliwej Moskowii zziajany „nautilus” w świecącym waciaku ze znakiem „Naród i Wola”, przedziera się do swoich, wypija duszkiem szklanek Łapy niedźwiedzia, informuje:

- Na placu Puszkina znowu „twardych” złapali.

- Kogo?

²³ Tu wszystkie postacie odnoszą się do osób publicznych, m. in. Władimir Sołowjow - znany i popularny dziennikarz telewizyjny, Nikita Michałków - reżyser, Władimir Żyrynowski, Giennadij Ziuganow, Borys Gryzłow - jedni z bardziej rozpoznawalnych polityków od wielu lat zasiadających w Dumie Państwowej, opozycjoniści obecnej władzy - Garri Kasparow, Michaił Kasjanow, Eduard Limonow, Jurij Łużkow - mer Moskwy od kilku kadencji, Siergiej Kurginian - politolog, reżyser, Jewgienij Griszkowiec - aktor, dramaturg, pisarz, Tatiana Tolstoj - pisarka, Dunia Smirnowa - scenarzystka, Władimir Putin - premier Rosji, Dmitrij

- Kaspara, Kasjana i Limona.
- Wszystkich? No, no?!
- No i masz swoje „no, no”.
- Podle?
- Nie, uczciwie.
- Który areszt? Czterdziesty piąty?
- No, a jak inaczej!
- Znowu trzeba będzie dawać w łapę.
- Jeszcze jak. Kombinuj, kogo wydoić.

Któremuś z podpitych studentów zbiera się na poezję. Staje kędzierzawy poeta z kuflem piwa w ręce na krześle, deklamuje:

*Bładolicych młodzieńców przedramienia
 Całuję całe noce aż nadejdzie wschód.
 Śnią mi się miłosne okaleczenia,
 Na mej piersi - twój biały miód.
 Młodzieniec, z gwałtownością rozdzielony,
 Jęknął z bólu... Ach, cóż z tego?
 Znowu będziesz ukrzyżowany
 Na krzyżu złaknionego ciała mego!*

Klaszczą towarzysze kędzierzawemu studentowi, nakładają mu do kufła z piwem wiśniowe konfitury. Tak już się przyjęło wśród moskiewskiej braci studenckiej, by piwo konfiturami doprawiać. W języku studenckim to się nazywa „dodać łakoci”. Przy czym każda uczelnia ma własną tradycję „dodawania łakoci”: ci z uniwersytetu dodają do piwa konfitury malinowe, ci z politechniki - morelowe, matematycy - agrestowe, metaloznawcy i inżynierowie lądowi - jabłkowe, ekonomiści - truskawkowe, nafciarze i gazowniczy - śliwkowe, drogowcy - poziomkowe.

Któryś z uczniów szkoły rzemieślniczej opowiada dowcip:

- Wchodzi ojciec Onufry do klasy: „Dziatki moje, ile to będzie dwa razy dwa?”. Wanieczka Załupin podnosi rękę. Ojciec Onufry: „Załupin!”. Wanieczka wstaje: „Ojczulku, dwa razy dwa to będzie dwadzieścia sześć”. Ojciec Onufry: „Siadaj, Załupin. Bardzo źle. Dwa razy dwa to będzie cztery. No, w najgorszym przypadku - pięć, no, sześć, no, osiem, no,

dwanaście w końcu. Ale żadne dwadzieścia sześć, skończony jołopie!”.

- To u nas już od roku ma taaaą brodę! - Pstryka go w nos student architektury. - Posłuchaj no, ziomuś, nowości. Wchodzi ojciec Onufry do klasy: „Dziatki moje, mam pytanie: Bóg stworzył człowieka do pracy czy do przyjemności?”. Wania Załupin wyciąga rękę. Ojciec Onufry: „Załupin!”. „Do pracy, ojczulku”. „Uzasadnij!” „Ojczulku, Bóg dał ludziom dziesięć palców, a tylko jednego kutasa”. „Cóż, odpowiedziałeś prawdziwie, ale uzasadniłeś naj-bez-wstyd-niej!”

- Cha-cha-cha!

Między dwoma fałszywymi oknami z „żywymi” rosyjskimi pejzażami (w lewym - zima, drogą mknie trojka, w prawym - lato, brzoźki szumią, dziewczki tańczą w korowodzie) przy okrągłym stole siedzą sprzedawcy miodu grzanego z przekupkami, piją jarzębinówkę i herbatę, przegryzając cukrowym Kremlem. Dziś szynkarz Andriej Pietrowicz obchodzi imieniny; nie pożałował synowskiego cukrowego Kremla i z tej okazji go poćwiartował.

- Częstujcie się, koledzy! W domu mam jeszcze dwa takie!

- Aj, dziękujemy, Andrieju Pietrowiczu! Taki honor!

Szynkarz jest zadowolony, łysina mu błyszczy, okulary się iskrzą, wąsy zakręcone sterczą. Piją, bawią się z nim razem sprzedawcy miodu grzanego Basania, Gorszok, Siergunia, Dimula ze swoimi koleżkami po fachu. Cukrowy Kreml chrzęści im w zębach.

Przemyka, przetacza się w dymie papierosowym jakiś Purgienian, jak mówią ludzie, znany nadymacz policzków i wydzielacz wiatrów monarszych, biją się płótkami po łbach dwa dąsacze, Ziuga i Żyria, szeleści znaczonymi kartami cyrkulowy Gryzło, sączą kwasek z gazem cyrkowcy, prostowacz podków Miedwiedko i ciemny iluzjonista Pu I Tin, rechocze jak z beczki głuchym rykiem okrągły dozorca Łużkowiec, siedzi zafrasowany i kiwa głową słodziutki smutas Griszka Wiec.

Z lamentami i jękami wbiega do knajpy Parchanowna, znana moskiewska histeryczka. Brzuchata jest, krzywonoga, nos jak kartofel, tłuste kosmyki trzęsą się nad wągrowatym czołem, na piersi ikona z Jurą Gagarinem jaśnieje, na brzuchu za pasem pobłyskuje poślacana szufelka. Parchanowna staje pośrodku knajpy, żegna się oburącz i krzyczy na całe gardło:

- Szóste imperium!! Szóste imperium!!!

- Idź, zjedz coś! - uspokajają ją rzemieślnicy.

W „zjadliwym” kącie, gdzie siedzi okoliczna ziemszczyzna, „podwędzona” przez opryczników, kręci się rodzina bałałajkarzy Muchałko. Sprytne to chłopaki, obrotne, rozweselać i wyciskać pieniądź umieją. Ludzie powiadają, że kiedyś byli w grupie błaznów kremlowskich, ale potem za coś ich stamtąd wykopsali. Wodzirej w ich grupie, o ksywie

Wypieszczony Wąs, dobrze śpiewa, gra i tańczy z prysiadami, ale co najważniejsze - ma zawsze w zanadrzu rzewne pieśni i oczy wiecznie zapotniałe. A naród nasz i pieśń, i łyż szanuje. No i teraz zbliżył się Wypieszczony Wąs do „podwędzonych”: brzęknął bałałajką, przytupnął, klasnął, mrugnął do swoich dziarskich okularników. I huknęli oni:

*Kosmaty cham - dla niego protestancki chram,
Szczury i jeże - dla nich spichlerze,
A szlachecka córka - w noc gdy opryczników zbiórka
Wedle zasad wielkiego rozumu.*

*Tak naprzód, za opryczną koczowniczą pyta
Do komnat, gdzie drżą głosy diabelsko
I palce gła-a-a-a-aszczą z chucią i tęsknotą niespożyta
Pąsowiejące niejedno cielsko-o-o-o-o-o!*

*W górę po pycie, na spotkanie losu
Drżącym językiem... Nie bądź lękliwa.
Tak trzeba, do przodu, nie bojąc się wznosu,
Jeśli chcesz pozostać dalej żywa!*

Z aprobatą przyjmuje wywrotową pieśń skrzywdzona ziemszczyzna, rzuca Wypieszczonemu Wąsowi do czapki miedziaki. A ten ze łąą przyjmuje:

- Zbaw was Boże, gołąbeczki, zbaw Boże, moje drogocenne!

Nie wobec wszystkich są życzliwi stali bywalcy knajpy Mamony.

Otwierają się drzwi na oścież, wchodzi zajadły, krępy, nieogolony, czerwonoooki „wycieraczka” placowa Lewontij²⁴. Chrypi:

- Jednak, dzień dobry!

- Jednak, spierdalał! - donosi się w odpowiedzi.

Lewontij zgrzyta zębami, błyska czerwonymi oczkami, odwraca się, wychodzi. Nie wszystkich, o, nie wszystkich witają z otwartymi ramionami w Szczęśliwej Moskwii!

Kiedy tylko „żywy” zegar wybija północ, pojawia się sam Mamona. Niewysoki jest, okrągły, brodaty, łysawy, zezowaty, fałszywy. Kłania się gościom, wita, niespiesznie

²⁴ Chodzi o Michaiła Leontjewa, znanego dziennikarza, od lat prowadzącego program „Odnako” [Jednak]. Każdy program zaczyna od słów „Jednak, dzień dobry” (przyp. tłum.).

obchodzi swój lokal, pyta jak zwykle:

- Czy wszystko w najlepszym porządku, drodzy goście?
- Wszystko w najlepszym porządku, Abrahamie Iwanowiczu! - odpowiadają mu chórem.
- Żadnych burd?
- Nie dopuścimy, Abrahamie Iwanowiczu!
- Nikt nikogo nie obraża?
- Nie pozwolimy, Abrahamie Iwanowiczu!

Mamona kiwa głową, mrużąc obłudnie oczka, odchodzi. A Szczęśliwa Moskowia dalej pije, hałasuje i kotłuje się do trzeciej w nocy. Ledwo wybije zegar trzecią zero zero, posługacze wszystkich podliczą i odejdą, ustępując miejsca barczystym wykidajłom Inguszom. Ci elektrycznymi miotłami wypchną do wyjścia zapóźnionych gości.

I jak zwykle dokładnie o trzeciej dwanaście zamkną się drzwi Szczęśliwej Moskowii, żeby o osiemnastej otworzyć się ponownie: zapraszamy i witamy, drodzy goście!

Kolejka

- Prawosławni, kto ostatni?

- Chyba ja, ale za mną jeszcze jest kobieta w niebieskim futrze.

- Znaczy się, ja za nią?

- Znaczy się tak. Stawaj no, dobry człowieku, za mną.

- A będziecie tu stali?

- A jakże!

- Bo chciałem odejść na chwileczkę, jeno na chwileczkę...

- Najpierw na nią poczekał, a potem idź z Bogiem, dokąd chcesz. Bo będą tak podchodzić, odchodzić, a ja muszę wszystkim tłumaczyć. I tylko język strzępić! Poczekał! Ona rzekła, że rychło wróci. Za róg poszła, pewnikiem do sklepu.

- Dobra, co robić. Poczekał. A dawno tu stoicie, tatuśku?

- Z pół godziny.

- A nie wiecie, po ile dają?

- Diabli ich wiedzą, Boże, odpuść... Nawet nie pytałem. Ej, brodaczu, nie wiesz, po ile dają?

- Dzisiaj nie wiem. Słyszał żem, że wczoraj dawali po dwa na łebka.

- Po dwa?

- Aha. We czwartek - po trzy, a wczoraj po dwa.

- Coś mało. Tak to i stać nie ma sensu...

- To zajmij dwie kolejki, dobry człowieku. Tu wsiowi to po trzy zajmują.

- Po trzy?

- A jak. Po trzy.

- Toż to przyjdzie cały dzień stać!

- A coś ty! Szybko przecie wydają.

- Jakoś trudno, tatuśku, uwierzyć. Stoimy, nie ruszamy się z miejsca.

- A bo ci, co odeszli, podłazą. Dlatego się nie ruszamy... A, jest ta kobieta.

- To za panem stałam?

- Dokładnie tak, szanowna pani. A ten młody człowiek zajął za panią.

- Tak, jestem za panią.

- Wspaniale. Posunęliśmy się do przodu?
- Wygląda na to, że nie bardzo.
- A ciekawe, wyrobimy się do drugiej?
- Może się wyrobimy. A może i nie.
- Ja się do obiadu zwolniłam z pracy. Boże, czemu tak dużo ludzi się zbiegło?
- Kremłowska stłuczka, a jak.
- No tak...
- Jeno raz do roku taki podaruneczek. Ładne ma pani futro.
- Dziękuję.
- Widziałem takie futra w Moskwie. Żyworodne, z reguły występują w jasnych odcieniach. A to - ciemnoniebieskie. To ci cudęńko!
- Futro było kupione w Moskwie.
- Tak właśnie pomyślałem. O, jak ono śnieg żre!
- Zgłodniało w ciepłe, wiadoma sprawa.
- A co dla takich niebieskich futer smaczniejsze: śnieg czy deszcz?
- Śnieg oczywiście. O, jak się przeży... no, jedz sobie, jedz, kochane.
- Po prostu wiem, że żyworodne futra i deszcz chętnie żrą. Ale taki kolor...
- Moje bardziej lubi śnieg. I jak się naje, od razu robi się ciepło. W czasie dużej śnieżycy jest mi aż gorąco.
- Tak, piękne futro. A właścicielka jeszcze piękniejsza.
- A niech pan da spokój.
- Oczy ma pani całkiem w odcieniu futra. Własne?
- Nie. Rozczarowany?
- Ani trochę. Niech pani powie, zali mogłem panią widzieć ostatnio w Wiatce na Mięsopuście?
- Nie. Do Wiatki ostatni raz jeździłam w grudniu.
- Naprawdę? Nie stała pani w soborze z prawej strony? U Świętej Paraskewy? Śnieżnej twierdzy pani nie broniła?
- Żartowniś z pana. My tu mamy własną śnieżną twierdzę.
- Czemu się pani śmieje? Ja naprawdę zoczyłem panią w Wiatce.
- Na Mięsopust byliśmy z mężem u ciotki w Głazowie.
- W takiej głuszy? A po co?
- Na wieprzowinkę. Ciotka ma trzydzieści sześć świń.
- Dobrą ma pani ciotkę. Na swoim odrobku?

- Nie, oni z wujem nie są na odrobku.
- Znaczy się, na czynszu?
- Tak, tak się bardziej opłaca.
- A jakże. Teraz lepiej iść na akord niż na odrobek. No i pojadła tam pani wieprzowinki?
- Oj, tak. Ciotka ma chińskie świnie, *xue da lishi*, mięso marmurkowe, takie smaczne.

Przytyłam prawie dwadzieścia funtów.

- Pięknie pani z taką korpulentną figurą.
- Ach, no co pan... No, proszę, chyba się posuwamy.
- A co, w Czepcu jeszcze ryby się spotyka?
- Nie wiem. O rybach nie mam zielonego pojęcia.
- Znaczy się, w Głazowie pani tylko wieprzowinkę pałaszowała?
- Och, tak! Uwielbiam zapieczoną z czosnkiem.
- Szyneczkę?
- Tak! A ciotka jeszcze zapieka w piecu wieprzową kielbaskę z tłuszczkiem z kiszek, z

kartofelkami, i z rzepką...

- Błagam, proszę więcej nie mówić, ślinka mi cieknie!
- No, no, posunęliśmy się... W końcu kolejka ruszyła.
- Od pani przyjscia wszystko poszło szybciej. Pani jest niebieską muzą tej kolejki.
- Ależ z pana żartowniś. Jak pańska żona to wytrzymuje?
- Jestem nieżonaty.
- Niemożliwe.
- Możliwe.
- Taki postawny mężczyzna i bez żony. Trudno uwierzyć.
- Rozeszliśmy się jesienią.
- Rozwód?
- Tak.
- Szybko?
- Trzy miesiące się ciągnęło. Trzeba było posmarować.
- No, jasne.
- Teraz uwolniliśmy się od siebie.
- A dzieci macie?
- Córka została z żoną.
- Pewnie pan tęskni?
- A jak. Córka - jak drzazga w sercu. Tkwi uparcie.

- Wie pan... przepraszam, jak panu na imię?
- Trofim Iljicz.
- Ogromnie mi przyjemnie, jestem Wiera Konstantinowna.
- Piękne imię. Odpowiada pani aparycji.
- A więc, Trofimie Iljiczu, powiem panu jak na spowiedzi: jestem wielką przeciwniczką rozwodów.
- Moja żona miała kochanka.
- To wielki grzech oczywiście. Ale Bóg uczy nas wybaczać grzechy bliźnim. Azali pańska była żona wyraziła skruchę?
- Wyraziła. Jeździła do Pustelni Optyńskiej modlitwą wypraszać odpuszczenie grzechu.
- A pan ją ukarał?
- Tak. Dwukrotnie prowadziłem ją do cyrkułu.
- Wychłostali ją tam?
- Tak.
- I mało panu było?
- Nie w tym rzecz, Wiero Konstantinowna.
- A w czym?
- A w tym, że... Panie starszy, co się pan tak rozpycha.
- Kto się rozpycha?
- Ty się rozpychasz.
- To tam napierają.
- Odsuń się, na Boga, i nie rozpychaj się... Tak więc, wielce szanowna Wiero Konstantinowna, rzecz w tym, że ja po tym wszystkim straciłem zaufanie do mojej żony. A później sam zakochałem się w pewnej kobiecie. Co prawda, nic z tego nie wyszło. Ale z żoną nie obcowałem już cieleśnie.
- Całkowicie staliście się sobie obcy?
- Tak.
- To grzech.
- Wiem. Ale spaliśmy po tym wszystkim osobno.
- A wasz spowiednik? Czyżby on nie pomógł wam uratować rodziny?
- Nasz ojczulek jest dobry nadzwyczajnie. Nakazał żonie za pokutę bicie pokłonów, stanie na tatarce... Ale rzecz w tym, mam takie wrażenie, że on moją żonę nie nazbyt mocno osądzał. Dobroć jego jest przyrodzona i dlatego bezgraniczna, bo wyrosła i okrzepla na chrześcijańskiej miłości bliźniego. Zawsze powtarza: „Nie ma grzechu, którego Bóg nie

mógłby wybaczyć”.

- Zaprawdę tak.

- Atoli skoro żona wymodliła odpuszczenie grzechu swego w Pustelni Optyńskiej, to znaczy - dostała przebaczenie?

- Dostała przebaczenie.

- A ja wybaczyć nie umiałem.

- To już pański grzech.

- Mój, mój. Ale wybaczyć nie mogę.

- Wie pan, Trofimie Iljiczu, mnie się wydaje, że pan po prostu mało chłostał swoją żonę.

- Nie jestem amatorem chłosty.

- Nie musiał pan prowadzić żony do cyrkułu i kłaść pod obce różgi, godziło się wychłostać ją samemu i jak należy. Mój mąż nigdy nie prowadzi mnie do cyrkułu.

- Często panią chłoscze?

- Raz w tygodniu. Co sobotę.

- Często. Jest za co?

- No... wie pan... grzech się zawsze znajdzie. Ale mówiąc między nami: jest za co.

- Cha-cha-cha! Jest pani okrutnie szczerą!

- Grzech jest słodki, jak to się mówi. Jestem słabą kobietą, a nieczysty jest mistrzem w zaplataniu swoich sieci.

- Wiadoma rzecz. Kto śpi, ten nie grzeszy.

- Święta prawda!

- Ale, szczerze mówiąc, raz w tygodniu... to jakoś... okrutnie często!

- To nic, przywykłam.

- A pani ciało, proszę wybaczyć, również przywykło?

- Nie tak łatwo mnie stłuc. Zresztą dobre specyfiki stosuję. Maści.

- I nie chowa pani urazy do mężulka?

- Co pan?! Bije - znaczy kocha. A zresztą - on nie urządza bójek, jak pijany, tylko chłoscze różgą, jak przewiduje nasz staroruski kodeks Domostroj. Moja mama kiedyś mi się zwierzyła: w ichnich czasach smuty nie godziło się chłostać żon, albowiem Rosja bezbożna była. Mama często powtarza: „Jeżeliby mnie twój ojciec chłostał co sobotę, dziś mieszkalibyśmy w dwupiętrowym domu”.

- Nie, ja w zasadzie nie jestem przeciwnikiem chłosty, ale wszystko godzi się robić z rozumem...

- Wszystko godzi się robić, jak zapisano w kodeksie, Trofimie Iljiczu. Nasza babska

sprawa - podporządkować się mężowi. Mój mąż to mężczyzna solidny, systematyczny. Gospodarny. I chłoszcze mnie tak samo - bez pośpiechu, jak należy.

- Mmm, tak... Wprawiła mnie pani w zakłopotanie, Wiero Konstantinowna.

- Czym? Że ukochany mąż nie prowadzi mnie do siepacza w cyrkule? To pan mnie wprawił w zakłopotanie. Oj, jak prędko się posuwamy! W końcu! W ten sposób zdążę przed obiadem.

- Zdążymy, z panią wszędzie zdążymy. Ach, jakie miękkie futro... Jednak żyworodne futra to coś wyjątkowego.

- Podoba się panu? Proszę pogłaskać, jemu też będzie miło.

- Delikatne...

- Pan również mu się spodobał.

- Wie pani, mam takie poczucie, jakbyśmy byli starymi przyjaciółmi.

- Ach tak?

- Nie, proszę się nie śmiać.

- Ja nie z pana. Jest mi po prostu dobrze.

- Naprawdę, gdzie panią widziałem. Gdzie pani pracuje?

- W Dobryni.

- Pani jest konstruktorem?

- Nie, rekonstruktorem.

- Do mądrych?

- Tak, do mądrych, do spraw naszych mądrych maszyn.

- Nigdy bym nie pomyślał, że taka piękna kobieta zajmuje się mądralami.

- Myślał pan, że jestem zwykłą gospodynią domową? Nie, ja nie lubię się babrać przy sagankach.

- A kto u pani w domu stoi przy piecu?

- Mama, dwie babki i kucharka. A w dni wolne i hołota pomaga.

- To dobrze, kiedy rodzina, bliscy żyją.

- A pańscy już nie?

- Ojciec zginął w Abchazji, gruzińska kula go zabiła, kiedy jeszcze byłem chłopcem. A mama wyjechała z Chińczykiem.

- I porzuciła pana?

- Tak jakby. Z babcią spędziłem dzieciństwo i pacholeństwo.

- Z pewnością babcia panu folgowała?

- Nie da się ukryć. Ale i ukarać umiała. Miała ciężką rękę.

- Sierota z pana nieszczęsny.
- Jestem wesoły.
- Zauważyłam.
- Wiero Konstantinowna, jesteśmy u celu. Przed nami tylko dziewięć osób! Jak z panią
wszystko momentalnie się rozwija!
- Proszę z łaski swojej powiedzieć, pan stłuczkę kremłowską dla córki kupuje?
- A dla kogóżby? A pani?
- Dla moich dzieci.
- Pani ma...
- Troje.
- Wspaniale! Widać, że pani mąż jest zamożny. No i po futrze widać.
- Tak, nie klepiemy biedy, dzięki Bogu. Mój mężulek jest kupcem.
- Czym handluje?
- Zimą - zorze, a latem - hulajnogi.
- Dochodowa rzecz.
- Nie skarżymy się. A pan czym zarabia na chleb powszedni?
- Nigdy pani nie zgadnie.
- Zdaje się, że pan jest bliżej spraw państwowych niż handlowych.
- Ani jedno, ani drugie.
- Cerkiewne?
- Również nie.
- Poborca podatkowy?
- Nie.
- Na odrobku?
- No, to już pani przeholowała...
- No, chyba nie darmożjad?
- Źle pani o mnie myśli.
- Posesyjny²⁵?
- Masz ci los! Dziękuję!
- Najemnik?
- Jam jest syn człowieczy miłujący pokój.
- Wolny najmita?

²⁵ W Rosji w XVIII w. chłopci, którzy przypisani byli nie do ziemi, ale do manufaktury (przyp. tłum.).

- Broń Boże.
- Ale się trzeba przy panu nagłówkować... Spalony?
- Jak na razie jeszcze nie.
- No to kim w takim razie?
- Jestem znachorem.
- Oj, cudownie! I pan przeurocza?
- To również. Aliści zdaje mi się, że to pani mnie dziś przeuroczyła, a nie ja panią. I pani czary są silniejsze od moich.
- Pan na miejscu czy dochodzący?
- Raczej - przychodzący.
- I od dawna tak?
- Od dziecka. Moja babcia i mamusia były znachorkami.
- One panu przekazały?
- Dokładnie tak. Przekazała babunia.
- Proszę powiedzieć... oj, znowu się rozpychają... no co to ma być... pan zobaczy, wpycha się bez kolejki!
- A no poczekaj no, łysielcu bagienny, gdzie leziesz?
- Pchnijcie go, pchnijcie! Prawosławni, nie puszczajcie tych!
- Myśmy tutaj stali!
- Tyś tu nie stał, mordo!
- Ej, no, nie tykaj mie!
- Ja ci dam - nie tykaj! Won mi stąd!
- Boże! Jeszcze się pchają! Ich tu w ogóle nie było!
- A no, posuń się!
- Nie posunę się! O, widzieliście?!
- A ja mam piączę większą od twojej! O!
- A no...
- Ja ci...
- Ożeż ty gnido...
- Ej, ej, no już kończcie to!
- Ludzie, co tak patrzycie?!
- To zasrane wieśniaki się tak pchają! Nie puszczajcie ich!!
- Zachciało się im słodczy! Hołota!
- Wynoch-ch-ch-cha!

- Ja ci dam! Ja ci...
- Wynocha! Wynocha!
- Ożeż ty, kutafonie jeden... ja ci...
- Ja ci zara w kark przypierdolę!
- Zajebiesz się, ziemska swołocz!
- Obesrańce czynszowe... no... no... a masz!
- Ja ci... Ja ci...
- Masz, gadzie!
- Ożeż ty, jebany...
- Ludzie! Ludzie!!!
- Prawosławni, przestańcie!
- Zostawcie, na Boga!
- Sprzedawco, nie puszczaj! Tu mordobicie!
- Oni klną szpetnie! Naciśnijcie na cyrkułowego!
- Nie puszczajcie ich!
- Ja ci... bydlaku...
- A no...
- A tak, co? A tak?! A tak?
- Wykopcie ich z kolejki! Wykopcie do świń!
- A... o! No? O... no? Jeszcze? Chodź no, chodź tu!
- Ja ci... Ja ci...
- Gdzie... gadzino... gdzie-e... gdzie-e! Gdzie-e!
- Pomocy!!!
- Nie dawajcie nikomu! Wstrzymajcie sprzedaż!
- Jakie gady, co?!
- O, idzie cyrkułowy!
- Aresztować ich!
- Kurwy!
- Oni tu kłęli szpetnie!
- PERMIACY, NIE AWANTUROWAĆ SIĘ! NIE POPYCHAĆ! STAĆ JAK NALEŻY!
- Przeгонcie ich!
- Wpychają się!
- Oni tu kłęli szpetnie! Zapisałam! Panie cyrkułowy, ja wszystko nagrałam!
- PERMIACY, NIE AWANTUROWAĆ SIĘ! PROWODYRÓW ZABIERZEMY DO

CYRKUŁU!

- Niech się pani rusza, nie gapi!
- Przecież stoję za panem, czego pan chce?
- Nie, ja tam stałem... ej, no, puść...
- Stańcie w kolejce, prawosławni!
- A gdzie?... A tu...
- Panie cyrkulowy, można zameldować? Oni klęli szpetnie!
- PERMIACY, ZACHOWUJCIE PORZĄDEK!
- Wiero Konstantinowna!
- Oj, odepchnęli mnie od pana!
- Proszę tutaj! Przepuść, brodaczu!
- Oj, koszmar!
- Futro całe?
- Całe, na szczęście!
- A pani?
- I ja cała!
- Dzięki Bogu.
- Proszę, proszę tutaj do przodu! A pan się przesunie! Pan był za nami!
- Tak, dla mnie wszystko, co można.
- Zostały tylko mury.
- A wieże?
- Wieżowe stłuczki wyprzedane.
- Jak to?
- Jeno mury, kobieto. Bierze pani?
- Po co ja stałam... A czemu pan nic nie mówił?!
- Bierze pani mury czy nie? Jak nie - proszę odejść, nie zatrzymywać kolejki.
- Co za świństwo!
- Wiero Konstantinowna, niech pani bierze mury, proszę!
- Tak, ale...
- Pani kochana, albo pani bierze, albo idzie stąd z Bogiem...
- Nie zatrzymujcie, prawosławni!
- No, niech pan daje mury...
- Jeno dwa opakowania do ręki.
- Mój Boże! To rozbój w biały dzień!

- Niech pan jej da chociaż trzy!
- Nie mam prawa. Od pani proszę cztery ruble srebrem albo pół rubla złotem.
- Skandal! To po co ja stałam?!
- I dla mnie proszę. Mam czerwono.
- Tak... proszę, reszta.
- JA CI SIĘ WEPCHAM! JA CI SIĘ WEPCHAM! NO JUŻ - WSZYSCY ODEJŚĆ OD

KOLEJKI!

- Oni klęli szpetnie!
- Chodźmy stąd.
- Ani się stąd wydostać...
- Pani pozwoli.
- Dziękuję panu... Boże, co za chamstwo!
- ODEJŚĆ OD KOLEJKI! BABCIU, DAWAJCIE NO TEN DONOS!
- Masz, synku!
- Chodźmy tędy...
- Chamstwo, chamstwo!
- Proszę się nie denerwować.
- Nie, no przecież w bańce przedwczoraj rzekli: kremlowskie stłuczki, wieże i mury.

Można wybrać, różne ceny! A tu jeno same mury, masz ci los! I to za rubla!

- Wieże rozdrapali między swoimi, jasna sprawa.
- Chamidła jedne! Może by na nich donieść?
- Jeno strata czasu.
- Ja mam troje dzieci! I co - rozdzierać opakowanie?!
- Rozerwie pani i rozdzieli.
- Ale jest taka ładna! I kawałeczki mają ładny kształt! Tylko dwa kawałki! Łupać?!
- Rozłupie pani. Albo nie. Wie pani co: najdroższa Wiero Konstantinowna, proszę wziąć

ode mnie to opakowanie na znak naszej znajomości.

- Ojej, no co pan! To niemożliwe.
- Nie ma o czym mówić! Ja mam jedną córkę. Starczy jej jedno opakowanie.
- Nie no, naprawdę...
- Sprawa skończona. Jest pani.
- To w takim razie oddam panu dwie półrubłówki.
- W żadnym wypadku!
- Ale ja tak po prostu nie mogę wziąć, Trofimie Iljiczu!

- Już o tym zapomniałem.
- A ja nie! Jestem pana dłużniczką!
- Dobrze. Skoro dłużniczką, proszę obiecać, że będę mógł panią zaprosić na filiżankę herbaty.

- Tak od razu nie mogę, muszę wracać do pracy.
- A wieczorem?
- Wieczorem... tak. To po ósmej.
- Wspaniale! Gdzie pani mieszka?
- O tam, koło targu rybnego.
- Tak blisko! Jest pani śródmiejską permianką.
- Tak!
- To co? Podjechać po panią?
- Broń Boże! Mam zazdrosnego męża.
- W takim razie spotkajmy się w Kołaczu.
- Miłe miejsce.
- O której godzinie pani wygodniej?
- No... Kwadrans po ósmej.
- Cudownie! Nie zapomni pani?
- Ależ skąd! Jestem to panu dłużna!
- Zapłata dług krasi!
- Święta prawda! Oj... już druga godzina! To ja lecę! Do wieczora, Trofimie Iljiczu!
- Do wieczora, Wiero Konstantinowna!

List

Witaj, miła, bliska sercu memu i nieskończenie droga siostrze ma Sofio Borisowna!

Pisze do ciebie twoja bliźnia siostra, twoja Praskowia Borisowna.

Sześć lat minęło, odkąd opuściłaś nas, moja kochana, odkąd wyfrunęłaś niczym ptaszek z gniazda rodzinnego, sześć lat jak mamusia, Waniusza - braciszek i ja, nieszczęsna, żyjemy bez twojego promiennego uśmiechu, bez twojego głosiku niczym dzwoneczek wałdajski, bez dobrego, wrażliwego, miłującego prawdę i wiecznie radosnego serca twego, bez duszyczki twej delikatnej, czystej i bogobojnej, bez siostrzanej i córczynej troski twej i modlitwy. Szósty roczek odmawiamy pacierze co rano i co wieczór bez ciebie, chodzimy do naszej cerkwi bez ciebie, przystępujemy do komunii świętej bez ciebie, spowiadamy się przed naszym ojczulkiem Jurijem bez ciebie, odbywamy rekolekcje i posilamy się po odbyciu postu bez ciebie, czcimy nasze prawosławne święta bez ciebie, droga Sonieczko, ale też za ciebie się modlimy całą rodziną, gorąco się modlimy za ciebie, za drogą Sonieczkę ptaszynę, za turkaweczkę naszą błękitnoskrzydłą, w dalekich krajach przebywającą, a ja osobiście modlę się za ciebie za każdym razem nocą, kiedy w sen zapadam, kiedy przykładam głowę do podusi swojej, leżę i myślę o Sonieczce mojej siostrzyczce, i odmawiam trzy modlitwy: „Zdrowaś Maryjo, łaski pełna”, „O Panie, tyś był naszą ucieczką” i „Modlitwę za podróżujących”. Albowiem my z mamusią i tatusiem wierzymy, jako wam z Zuo obrzydnie w dalekim Chabarowsku i powrócicie tutaj, do rodzinnego Izwarina.

Droga siostrze moja! Do głowy mi nie przyszło, że żyć bez ciebie, siostrzyczki mojej, będzie tak trudno i niełatwo, że życie moje będzie teraz zupełnie inne, samodzielne i skupione. I nie chodzi o to, że nadto samodzielne, ale że wzięli mnie, młodziutką Praskowię, i wrzucili w odmęt pod nazwą Życie, a młodziutka Praskowia z Podmoskowiecia pływać w tym odmęcie przywykła jeno ze swoją ukochaną siostrzyczką, trzymając ją za rękę, jej pomagając i sobie, a sama młodziutka Praskowia, chociaż uczyła się pływać, do tej pory jeszcze nie próbowała, a teraz nie miała wyjścia i popłynęła, popłynęła, popłynęła, niczym szczapka brzozowa, jeszcze jakby nie tonie, ale strach pozostał, Sonieczko, strach jest jak wilk szary, zawsze z lasu na ciebie powarkuje, powarkuje i nie folguje, i płynąć to Praskowia z Podmoskowiecia płynie przez morze, przez ocean pod nazwą Życie, chociaż płynie już siódmy roczek, płynąć jej na razie samej jednej w oceanie onym straszawo, ot, siostrzyczko moja,

tak się sprawy przedstawiają!

Zawsze, Sonieczko, byliśmy razem - i kiedyśmy w łonie mateczki naszej wylegiwały się, i kiedy po szczęśliwym przyjściu na świat Boży leżałyśmy w kolebce bok w bok, i kiedy w chrzcielnicy zanurzał nas świętej pamięci ojciec Sofron, chrzcząc w wierze Chrystusowej, i kiedy pierwszą komunię przyjmowałyśmy z rąk jego ze srebrnej łyżeczki, i kiedy rosłyśmy, kiedy podrastałyśmy w domu u mateczki i ojczulka, i kiedy dokazywałyśmy w sadzie naszym, w ogrodzie na trawce-murawce pod kwitnącymi jabłoniami i pod wisienkami, a koło ulubionego agrestu, z którego mateczka smaży takie konfitury smakowite, i kiedy do szkoły poszłyśmy, i kiedy razem w ławce siedziałyśmy, kiedy uczyłyśmy się arytmetyki, kiedy przyswajałyśmy mądrą maszynę, kiedy biegałyśmy na wyścigi, kiedy grałyśmy w klasy, kiedy zbierałyśmy kwiaty, motyle i listki, kiedy wyszywałyśmy na poduszczykach ptaszki niebieskie, kiedy radowałyśmy ojczulka i mateczkę swoimi sukcesami w szkole. Razem z tobą, Sonieczko, byliśmy i po szkole, kiedy ją skończyłyśmy, kiedy stałyśmy się panienkami na wydaniu, kiedy szykowałyśmy posag, kiedy chodziłyśmy na tańce, kiedy razem kawalerów wyczekiwałyśmy - wypatrywałyśmy. A potem ustrzelił ciebie pierwszą, białą łabędzicę, w serce dzielny junak Zuo Ge, podchwycił pod białe rączki i wywiózł do siebie za siedem gór, siedem rzek, do dalekiego Chabarowska. I została siostrzyczka twoja Praskowia z Podmoskowie sama, samusienka. Ot tak!

Jesteś nasza najpiękniejsza, choć jesteście bliźnięteczki. Ciebie pierwszą ustrzelono w serce strzałą miłosną. I chwala za to Bogu, Sonieczko! Tak się cieszę twoim szczęściem, że serduszko moje siostrzane otwiera się i kwitnie purpurowym kwiatem Miłości Siostrzanej.

Soniu, nie bądź zła, że piszę tak uczuciowo. To ja tak dla pucu, po książkowemu. Przecież piszę na papierze! Pomaga mi moja mądra. Przecież wiesz, że lubię cudzym stylem pisać. Tak wychodzi ładniej i serdeczniej. Bo sama to mogę tylko: dzień dobry i do widzenia. I robię to wszystko, Soniu, po to, żeby ci się tam częściej czekało na mój rachunek, bo ty się tam pławisz jak pączek w maśle, oddajesz rozkoszom z przystojnym Zuo na chińskim prześcieradelku, pieścisz się, zajadasz słodką wieprzowinkę w ananasach, pijesz winko śliwkowe nasze ulubione, i o wszystkim i wszystkich całkiem zapomniałaś. A Praskowia beczy na cały głos w naszą starą poduszkę z ptaszkami-sikorkami, ryczy jak wół malowany.

Żartuję!

Nie ryczę.

Wszystko u nas w porządku, siostrzyczko, wszystko po kupiecku: ojczym handluje, mateczka dom prowadzi, Wańka do swojej parafialnej szkoły biega, Trezorek ujada, a ja zbijam bąki. Chodzę do Ponomariewów, do Abramowów, do Raiski Milman i do głupiego

Ozierowa. Nic mi się na razie szczególnego nie przydarzyło, niczego wstrząsającego nie przeżyłam. Wiera i Nadia Ponomariowe dalej kręcą z chińskimi żołnierzami, Masza Abramowa zamierza zdawać do Żeńskiej Szkoły Wyższej, Raisa często choruje, ma coś nie tak z trzustką, a lekarze dokładnie nie potrafią nic powiedzieć. Ozierow całkiem zwariował - wszędzie chodzi z mądrą maszyną, robi „prezenty”, wydurnia się tak, że człowiek wpada w osłupienie: przylazł do naszej szkoły rejonowej na rocznicę matury, zjadł coś dla animuszu, zaprosił dziesiątklasistkę, zaczął z nią tańczyć, a mądrą miał jak zawsze pod koszulą, przyklejoną na piersi, tańczy znaczy, tańczy, a potem zaczął wypuszczać bańki wielobarwne z nadzieniem - mały, diabły leśne, duszki domowe. Dziesiątklasistka w ryk. Wyprowadzili go pod rękę, jako rozrabiacza i bezwstydnika. A przecież niemłody już - trzydzieści dwa lata skończył matol, a w głowie jak dawniej sieczka. Wyobraź sobie, na Srietience razem z Rudiakowem i Aszkijancem w piwiarni na stacji spili się, podjudzili jakichś czeladników, żeby jechać bić Wietnamczyków z naszej dzielnicy. A ci ich tak nunczakami przywitani, że Aszkijancowi rozwalili głowę w dwóch miejscach, a Rudiakowowi naderwali ucho.

No i tak wygląda, Sonieczko, nasze życie-bycie. I bicie!

Co do wiadomości z zakresu budownictwa mieszkaniowego to jest jeno jedna: dobudowaliśmy w końcu drugi taras. Wyszedł szeroki, obszerny, można nawet tańczyć. Teraz będziemy latem na małym tarasie śniadać, a z gośćmi jadać obiady na dużym. Mamusia obsadziła go bzem, jaśminem, a pod kolumnami zasadziła dzikie wino. Pięknie będzie! Kiedy przyjedziecie z Zuo, będziecie się mogli całować na nowym tarasie wśród bzów!

A tak w ogóle, między nami dziewczynkami mówiąc, jesteś dupa niemyta. Na list odpisać siostrzyczce rodzonej to dla ciebie, sama nie wiem, jakiś wielki wysiłek! Częściej niż raz w miesiącu się nie zbierzesz, nie raczysz mnie zaszczycić. A nawet kiedy piszesz, to jakbyś spełniała obowiązek: dzień dobry, Praskowio, do widzenia, Praskowio - i cześć! Co się z tobą stało - zachodzę w głowę. Przez pierwsze trzy lata chociaż pisałaś szczegółowo, wyrzucałaś wszystko z siebie. A teraz dzień dobry i do widzenia. Dziwne to, siostrzyczko. Nie po siostrzanemu. Bywało przecie, dawniej wszystkośmy sobie powierzały, wszystko opowiadały, niczego nie zatajały i co w sercu, i co w głowie, i co w duszy, i nie było tajemnic, sekretów żadnych, nic nie ukrywałyśmy, zresztą nie było co ukrywać, a jeżeli było, to i tak nie ukrywałyśmy, a jakże, wszystko po siostrzanemu, jak w rodzinie, przed innymi ukrywałyśmy, a sobie ze wszystkiego się zwierzałyśmy. A teraz, proszę, jak się ustawiłaś - dzień dobry i do widzenia, siostrzyczko rodzona Praskowio. Czyżby to miłość tak cię pochłonęła, że rodzinne uczucia ci wybiła całkowicie? Albo po prostu codzienna krzątanina rodzinna tak cię zaabsorbowała, że nie masz kiedy sięgnąć do klawiatury? Jeżeli to drugie, to dupa jesteś niemyta

po trzykroć. A jeżeli pierwsze... Nie, Sonia, zrozum, nie zamierzam się wpychać do twojego słodkiego życia z ananasami, ja jestem laska niegłupia, rozumiem - sprawa rodzinna, odrębna, albowiem napisane zostało raz i na zawsze dla wszystkich nowożeńców: „I niech połączy się żona z mężem swoim”²⁶. Prawo jest prawem. „Życie rodzinne to tajemnica dwojga” - jak mawia ojciec Jurij na weselach, zawsze kiedy pije zdrowie państwa młodych. Macie swoje sekrety, oczywiście, a kto ich nie ma? Każdy ma - i chwała Bogu. O, Maszce Abramowej siostra wyjawiała, że mąż ją zmuszał do grzechu sodomickiego, bywają i takie rzeczy. Aliści ja cię przecież nie wypytuję o wasze sekrety i nie muszę o nich nic wiedzieć, każda rodzina ma swoje. A może nie macie żadnych sekretów - to też - chwała Bogu. Nie o to chodzi, Soniu. Przecież nie sekretów od ciebie oczekuję, nie szczegółów z życia małżeńskiego, ale prostej rozmowy od serca, rozmowy siostrzanej, dobrej, ciepłej, żeby wszystko było z serca, z duszy, no, jak dawniej. Żeby siostra moja, mieszkająca w dalekim skośnookim Chabarowsku, była blisko chociaż sercem. Nic mi więcej nie trzeba! Czego jeszcze mogę chcieć - ty wysłaś za mąż, wyfrunęłaś, siostrzo moja kochana, wysłaś i z miłości, i z rozsądku, i z powodu zaistniałych okoliczności, i wszystko się całkiem dobrze ułożyło, i chwała Bogu, i życie w miłości i w zgodzie, i cieszę się razem z wami, i modłę się za was mocno, bardzo mocno, żebyście się na wieki zrosli w jedno i nie rozstawali się, żeby się wam w końcu dzieci pojawiły, myślę o was zawsze bardzo dobrze, w myślach wysyłam pozdrowienia, kocham was na odległość. Ale jak tak mogłaś siostrę całkowicie zapomnieć? Nieładnie, Sonieczko. I nie po chrześcijańsku.

No, niech cię Bóg osądzi. Myślę, że minie ci to odurzenie miłosne, nacieszysz się, nakochasz i napiszesz do siostrzyczki wszystko bez ogródek, od serca do serca. Po sześciu latach to można chyba już nieco ostygnać i uspokoić się, co? Ostygnij szybciej, Sonieczko, a wtenczas i o mnie sobie przypomnisz. Albo przypomnisz sobie coś radosnego, jak wesoło sobie żyłyśmy, bólu i smutku nie znając. Przecież mamy co wspominać, Soniuszko, prawda? Pamiętasz, jak śmiałyśmy się do malinowego rozpuku i omal nie utonęłyśmy w Pachrze wtedy na Przemienienie Pańskie? Jak potem to się śmiałaś, to płakałaś i trawę we mnie rzucałaś? A ja chichotałam tak, że popuściłam w majtki! A jak wkręciłyśmy Saszkę Mamutowa, i poszedł wieczorem do Borysa Nikiticza z donosem, a ten go przepędził? A pamiętasz Wowczenkę: „Dziewczynki, do każdego ucha wpadła wam mucha”? A tort z solą? Pamiętasz, jak się Marfa wściekała? Nawet nos jej spotniał! Pamiętasz, jak u historyczki lachudry klęczałyśmy na grochu? „Iwan Kalita - to nie jakieś tam *kekou-kele!*”²⁷ Pamiętasz

²⁶ Parafraza listu do Efezjan (przyp. tłum.).

²⁷ *kekou-kele* (Chiń) - coca-cola (przyp. tłum.).

naszego dobrego Piotra Christoforowicza od Prawa Bożego? Do tej pory uczy, nigdzie się nie ruszył, bez żony, bez rodziny, samotnik. A pamiętasz nasze lalki? Katierinka jeszcze żyje, jeszcze może odtańczyć „barynię”, rozmawia. A Malwinka kopnęła w kalendarz - coś nie tak z gliną mózgową. Jenó oczy otwiera i uśmiecha się. A wcześniej, pamiętasz, jak po herbacie mówiła: „*Xie-xie, ha och-ch-ch-ch-ch-ji-ji*”²⁸! W każdym razie, Sonieczko, leżą obie w babcinej komodzie, Malwinka z Katierinką, śpią w naftalinie i śnią o mnie i o tobie sny kolorowe.

Oj, Soniu, teraz pisząc ten list, wiesz, co sobie nagle przypomniałam: jak razem jeździłyśmy oglądać nowy Kreml! I wiesz, czemu to sobie przypomniałam? A temu! Na Boże Narodzenie nasz Wańka z Sieriożą Woroncowem i Nikitą Baczem pojechali do Moskwy na plac Czerwony. I przywieźli po cukrowym Kremlu. Wieżyczki mamusia postanowiła zachować do Wielkanocy, żeby nimi paschę ozdobić, a mury rozłamała i włożyła do cukiernicy. I teraz herbatę słodzimy murem kremlowskim! I nagle mi się przypomniało. Zapomniałam o tym jakoś tak zupełnie, a teraz wszystko mi się przypomniało! Jakoś tak wyraziście, całkiem jak w filmie! To twoja wina, a czyja jeszcze?! Zmusiłaś mnie! Pamiętasz? Pamiętasz? Miałyśmy skończone po dwanaście lat, świętej pamięci tatuś rankiem obwieścił: z rozkazu monarszego nocą Kreml został pomalowany na białó. To było w sobotę, pamiętam dobrze. A w niedzielę pojechałyśmy do Moskwy. I pamiętasz, jak w metrze zobaczyłaś na posadzce rozdeptane lody i powiedziałaś: „moskwianie rzucili”. A ja wtedy nie zrozumiałam, co tu mają do rzeczy moskwianie? A potem porwał nas tłum i szłyśmy, szłyśmy do metra gęśiego drobnym kroczeniem i nawet trochę strach mnie obleciał - a jak nie wyjdziemy? Nigdy takiego tłumó nie widziałam. I zapytałam świętej pamięci tatusia: „Zawsze w metrze jest tak tłoczno?”. A on odpowiedział, że to dlatego, że nie tylko my chcemy na nowy Kreml popatrzeć. I w końcu wyszliśmy ze stacji metra Tretjakowska, a tam jeszcze większe mrowie ludzi, wszyscy się pchają i pchają, tatuś trzyma nas za ręce, a my się do niego przyciskamy. Przedostaliśmy się na nabrzeże. I tam ty i ja zobaczyłyśmy biały Kreml, pamiętasz? Stał na przeciwległym brzegu rzeki Moskwy. Biały - bielusiańki! Ludzie wokół krzyczą, tatuś żegna się znakiem krzyża, kłania się Kremlowi. I nagle słońce zza chmur wychynęło, jak promieniami na Kreml białoramienny bryzgnęło, jak on zajaśniał, aż w oczy kłuło! To pamiętam bardzo dobrze. I ciebie też od tego patrzenia na Kreml zaczęły boleć oczy i rzekłaś: „Soniu, trzeba było wziąć okulary przeciwsłoneczne”. A tatuś śmiał się z ciebie i mówił: „Córeczko, na piękno nie patrzy się w ciemnych okularach”. A potem ja się jakoś tak

²⁸ *Xie-xie, ha...*(Chiń) - dziękuję, smaczne (przyp. tłum.).

zapatrzyłam, zapatrzyłam na ten Kreml, i tak mi wszystko w głowie zajaśniało, jakby to boskie światło nadprzyrodzone, o którym nasz ojczulek lubi mówić. Wszystko wprost promienieje i śpiewa w mojej głowie, a patrzeć na Kreml chce się coraz więcej i więcej. I oczka wcale nie boją. I patrzę, patrzę, patrzę, a on cały biały, bielusieńki i wprost ssie oczy owa białość, na słońcu błyszczą, a w głowie jakby aniołowie śpiewali, tak słodko się zrobiło, tak dobrze, niebo niebieskie, obłoki się rozstąpiły, słońce wali, Kreml jaśnieje, oczy ssie, o wszystkim zapomniałam i patrzę, patrzę, patrzę i tak mi słodko patrzeć na Kreml białokamienny, że ruszyć się nie mogę, nie chcę się ruszać, trzymam ojca za rękę, a sama chcę całym sercem, żeby też ojciec się nie poruszał i nic nie mówił, i żebyś ty mnie nie szarpała, żeby wszyscy ludzie stali jak słupy, żeby jeno patrzeć, i patrzeć, i patrzeć, i patrzeć, i patrzeć, i żeby wszystko się tak zatrzymało, a ja bym tak stała i patrzyła, żeby tylko oczy się nie zamknęły, nie zmęczyły, a oczy moje nawet wcale nie łzawiły, i nie zmęczyły się, tylko po prostu się rozszerzyły i patrzyły, patrzyły, patrzyły, jakby i nic więcej nie miały do roboty, jeno patrzeć, patrzeć, patrzeć i stać, patrzeć na Kreml i stać spokojnie, stać dobrze i prawidłowo, by niczego nie spłoszyć i nie zepsuć. Jeno patrzeć na nasz biały Kreml, nie odrywać wzroku, a on żeby stał spokojnie i nigdzie się nie podział, nie zniknął, a jeno po prostu stał na swoim miejscu na zawsze, na wieki wieków, na miejscu głównego i wielkiego dzieła, dobrego dzieła, na które wszyscy się zdecydowali, wszyscy się odważyli, wszyscy się zebrali, żeby zrobić wszystko należycie, dobrze, żeby być razem, wspólnie, gromadnie o wszystkim zadecydować i naprawić na zawsze, na wieki wieków, żeby tylko nikt nie przeszkodził, żeby tylko Kreml biały stał na swoim głównym miejscu i można było patrzeć jak należy słusznie na niego, patrzeć tak, żeby dusza trzepotała, żeby dusza zajaśniała, złotem światła jaśniała, światła wielkiego, kremlowskiego, światła, od którego wszystkim jest dobrze, wszystkim będzie dobrze, i to tak dobrze, że niczego więcej nie trzeba, nie trzeba niczego innego, a tylko patrz i raduj się, wesel się całą swoją duszą, pij oczyma Kreml biały, jedz oczyma Kreml biały, i więcej nic nie trzeba, a wszyscy słuszni ludzie będą tak samo stać obok ciebie, słusznie stać, ucziwie stać i radować się, stać z otwartymi oczyma, dobrymi oczyma a w tych oczach każdy będzie miał swój Kreml tysiące miliony białych Kremlów w oczach słusznych ludzi którzy umieją słusznie sławić i wszystko czynić słusznie i dobrze i umieją gorliwie patrzeć na biały Kreml nasz ukochany i święty a drugiego nie trzeba jeno by stał on na miejscu swym i żeby nic nie przeszkadzało a patrzeć trzeba spokojnie aby nie spłoszyć i nie zniszczyć nie wyteżając oczu po prostu żeby oczy spokojnie patrzyły patrzyły patrzyły i wszystko wtedy będzie spokojnie i dobrze i wszystkim będzie dobrze i wszyscy ludzie będą szczęśliwi na wieki wieków jeśli jeno nauczą się słusznie patrzeć na Kreml biały i

nic innego nie trzeba to inne wcale nie jest dobre a jeno patrzeć i patrzeć patrzeć i patrzeć i żeby oczy się nikomu nie zamknęły wszyscy powinni mieć oczy otwarte i dobrze słusnie otwarte a tak żeby wszystko byłoby dobrze i Kreml biały stałby w oczach wszystkich i każdego uczciwego człowieka z osobna żeby duszyczka zamarła z radości i żeby zachwyty i słuszny wzrok a ludzie żeby stali cicho spokojnie i nie ruszali się zupełnie żeby wszystko było bardzo dobrze a słońce jeno nie zachodziło i jaśniało i Kreml stał i zajaśniał w każdym oku i w każdej źrenicy po białym Kremlu żeby jaśniało i jaśniało ale tak jaśniało żeby ludzie zaczęli wszystko rozumieć i przyjmować tak przyjmować i tak wiedzieć żeby ludzie nie mieli pytań i wszyscy ludzie zrozumieliby że nadeszła pełnia szczęścia i już nigdy nie odejdzie jeno trzeba patrzeć i patrzeć na Kreml i nic złego nie będzie nic nie będzie tajnego a wszystko będzie dobre i jawne wszystko zajaśnieje światłem białym i będzie wszystkim tam dobrze a my stać będziemy tłumnie nieśmiało i będziemy czynić dobrze a Kreml wielki nam jaśnieje i wszyscy jesteśmy szczęśliwi całkowicie kiedy wszystko się dobrze dzieje i biały Kreml i biały dzień kiedy przyszli bliscy ludzie patrzeć na wieczny biały Kreml wtedy wszystko będzie tak dobrze że wszyscy my będziemy widzieć Kreml i będą wszystkie oczy otwarte i ludzie będą widzieć wszystko kiedy pojmą dogłębnie i będzie wszystkim nam dobrze a jeśli wszyscy oczy otworzą i od razu będą widzieć Kreml wówczas wszyscy się uspokoją i od razu wszyscy pokochają Kreml ale byle tylko wszyscy razem obok siebie stanęli i jednocześnie ujrzeli Kreml i wtedy martwi powstaną żeby ujrzeć biały Kreml a my pójdziemy na plac Czerwony żeby zobaczyć biały Kreml i wszyscy ujrzemy że przepiękny że bardzo dobry jest biały Kreml a nam jaśnieć wszystkim będzie wiecznie nasz wspaniały biały Kreml a my wszyscy będziemy żyć beztrudnie aliści jeno widzieć biały Kreml i będą wszyscy patrzeć gorliwie na bardzo biały biały Kreml a potem płakać pogodnie i całować nasz biały Kreml i wszyscy ucieszą się w sercach swoich kiedy zobaczą biały Kreml a on stać przecież będzie wiecznie nasz złotokopułowy biały Kreml i zjednoczymy się wokół niego żeby uchronić nasz biały Kreml i wszyscy z nim na wieki się uratujemy i będzie z nami biały Kreml kiedy wszyscy ludzie zbiorą się i wszyscy pójdą patrzeć na biały Kreml ustrzegą się przed wszelkimi nieszczęściami kiedy ujrzą biały Kreml i wszyscy pocujemy się tak spokojnie kiedy zobaczymy biały Kreml i staniemy w równych szeregach żeby zobaczyć biały Kreml a wszyscy wokół zjednoczą się naraz żeby ujrzeć biały Kreml i dotkniemy każdym swoim okiem ujrzemy nasz drogi i biały Kreml a on nam będzie jaśnieć nasz drogi i biały Kreml i będziemy patrzeć intensywnie na nasz wielki biały Kreml i cokolwiek by się z nami stało będziemy widzieć biały Kreml i żeby serce słodko biło wszyscy musimy patrzeć na biały Kreml a wszyscy stać ani drgnąwszy będą żeby patrzeć na biały Kreml i na wieki wieków

pozostanie w ich pamięci nasz złotogłowy biały Kreml.

Wina moja wina moja wina moja wina
moja wina moja wina moja wina moja wina
moja wina moja wina moja wina moja wina
moja wina moja wina moja wina moja wina
moja wina moja wina moja wina moja wina
moja wina moja wina moja wina moja wina
moja wina moja wina moja wina moja wina
moja wina moja wina moja wina moja wina
moja wina moja wina moja wina moja wina
moja wina moja wina moja wina
moja wina moja wina moja wina.

Wybaczcie mi na wszystkich świętych wybaczcie mi na wszystkich świętych wybaczcie
mi na wszystkich świętych wybaczcie mi na wszystkich świętych wybaczcie mi na
wszystkich świętych wybaczcie mi na wszystkich świętych wybaczcie mi na wszystkich
świętych wybaczcie mi na wszystkich świętych wybaczcie mi na wszystkich świętych
wybaczcie mi na wszystkich świętych wybaczcie mi na wszystkich świętych wybaczcie mi na
wszystkich świętych wybaczcie mi na wszystkich świętych wybaczcie mi na wszystkich
świętych wybaczcie mi na wszystkich świętych wybaczcie mi na wszystkich świętych
wybaczcie mi na wszystkich świętych wybaczcie mi na wszystkich świętych.

Już nigdy więcej nie będę nigdy więcej nie będę nigdy więcej nie będę nigdy więcej nie
będę nigdy więcej nie będę nigdy więcej nie będę nigdy więcej nie będę nigdy więcej nie
będę nigdy więcej nie będę nigdy więcej nie będę nigdy więcej nie będę nigdy więcej nie
będę nigdy więcej nie będę nigdy więcej nie będę nigdy więcej nie będę nigdy więcej nie
będę nigdy więcej nie będę nigdy więcej nie będę nigdy więcej nie będę nigdy więcej nie
będę.

W fabryce

Mistrz hali pakowania, Afanasij Nosow, usłyszał sygnał przerwy obiadowej w palarni.

- Tak... - wymamrotał, zaciągnął się szybko przed chwilą zapalonym papierosem Ojczyzna i wetknął go do dużej metalowej czaszy na wysokim trójnogu, wypełnionej piaskiem i petami.

W palarni stało jeszcze trzech robotników fabryki: nastawiacz Pietrow, spustowy Dobrienko i majster z odlewni Kosorotow.

- Co, zgłodniałeś, Jegorycz? - uśmiechnął się Kosorotow półgębkiem.

- Głodu nie oszukasz... - Nosow splunął gęstą flegmą w piasek.

- Ani żołądka! - wyszczerzył się zezowaty wielkouchy Pietrow.

Nosow wyszedł z palarni.

Przeszedł jasnym korytarzem, skręcił za róg, zszedł po schodach, stanął na żeberkowej taśmie ruchomej podłogi.

- Szybko! - zakomenderował, i podłoga ruszyła w maksymalnym tempie.

Ściany oblepione były „żywymi” plakatami z uśmiechającymi się robotnikami i robotnicami, wykonującymi swoją pracę.

Podłoga dowiozła Nosowa do hali. Zszedł z taśmy, rozejrzał się. W obszernej jasnej przestrzeni pakowni, pośród piętrzących się i zebranych w sześciany złocistych opakowań, majaczyło sześć robotnic w niebieskich kombinezonach.

- Sześć, trzynaście, osiem, pięćdziesiąt. Zatrzymać podawanie! - głośno zakomenderował Nosow i wszystkie sześć transporterów zatrzymało się.

Nosow ruszył szerokim przejściem.

Zapisały, odłączając się, łapy maszyny pakujące; dziewczyny odciągnęły w nich zamki i powiesiły łapy na zielonych poręczach.

- Afanasiju Jegoryczu, tasiemki znów są na wykończeniu! - krzyknęła Titowa.

- Załatwimy! - Nosow szedł przejściem i rozglądał się.

- Jegorycz, u mnie sznyr²⁹ stanął! - ze śmiechem wykrzyknęła stara Maksakowa. -

Podkarmić by się go zdało!

²⁹ Sznyr - robot-sprzątac (przyp. aut.).

Nosow po drodze połączył się z nastawiaczem sznypów:

- Witia, zajrzyj do nas po obiedzie. Stanął nam jeden.
- Się zrobi - odpowiedział nastawiacz, coś przeżuwając.

Robotnice wyszły do przejścia. Nosow zbliżył się do nich.

- Dzisiaj nie spieszcie się zbytnio: pierwsza hala stoi.
- A co się stało? - Dołgich zdjęła białe rękawice.
- Widocznie mądrą znowu spowalnia.
- Masz ci los! - zdziwiła się prostoduszna Mizina.
- Posilajcie się bez pośpiechu. - Nosow nerwowo ziewnął.

- Wielkie dzięki! - uśmiechnęła się Maksakowa, obnażając nowe zęby, i machnęła do robotnic. - Idziemy, moje piękne!

Kobiety skierowały się do wyjścia.

- Pogosowa, często ci się podwijało? - spytał Nosow.
- Dosyć. - Pogosowa stanęła.

- Zaczekaj. - Nosow z niezadowoleniem przeleciał wzrokiem po hali, podniósł oczy do góry.

Pod łagodnie wygiętym sufitem z białego plastiku wisiał i obracał się ogromny hologram cukrowego Kremla.

Pogosowa podeszła i ściągnęła rękawice.

- Jak tam? - zapytał Nosow.

- A może być - uśmiechnęła się wysoka, barczysta Pogosowa z wydatnymi kośćmi policzkowymi.

- Może być - nic nie znaczy. Ja pytam: jak się pracuje?

- Dobrze.

- A to co innego. I często się podwija?

- Zdarza się. - Pogosowa patrzyła na niego z uśmiechem.

- Pogosowa, jeno ty mnie nie kumuluj podwijania! - ostro przemówił Nosow. - Jak tylko będzie podwinięcie: od razu mnie wołaj.

- Jasna sprawa. - Pogosowa uśmiechnęła się.

- Nie ma mnie: szarp nastawiaczy.

- Ale jak to?

- Nastawiacze po to są, żeby im głowę zawracać. Zrozumiano?

- Jasna sprawa.

- Nie milcz. My tu w końcu nie zupki chińskie pakujemy. - Kiwnął na obracający się

hologram. - Monarsze zamówienie. Cały kraj na nas patrzy.

- Jasna sprawa. - Pogosowa uśmiechnęła się.

- Chodź za mną. - Odwrócił się i z wawo ruszył przejściem.

Pogosowa podążyła za nim i z łatwością go dogoniła. Była o głowę wyższa od Nosowa.

Wyszli z hali, stanęli na taśmie.

- Szybko! - zakomenderował ze złością Nosow.

Taśma powiozła ich szybkim tempem.

- Czemu Titucha wiecznie ma tasienki na wykończeniu? - Z troską rozłożył ręce. - Zjada je, czy co?

- Nie wiem. - Pogosowa poprawiła jasne włosy, które wysunęły się spod niebieskiej chustki.

- Czemu ty i Mizina, i babusia zawsze macie zapas? A jej: wiecznie brakuje!

- Widocznie mało zaoszczędza.

- Jakie znowu mało?! Przecież wszystkim daję jednakowo!

- Nie wiem.

- I ja nie wiem! A kto wie?

Pogosowa wzruszyła szerokimi ramionami.

- Może kradnie?

- Nie wiem. Ale na co by się jej zdały?

- Diabli ją wiedzą.

- No i jak by je wyniosła?

- Nijak. Wszystko poznaczone atomem. To gdzie ona je podziewa?

- Nie wiem.

- Popaprane to wszystko z tą Tituchą! - Nosow gniewnie machnął ręką, zszedł z taśmy.

Pogosowa też zeszała.

Nosow podszedł do wielkich drzwi z napisem „TŁUCZKA”, przyłożył do nich klucz. Drzwi odjechały na bok. W pomieszczeniu rozbłysło światło. Nosow i Pogosowa weszli. Drzwi się za nimi zamknęły. Długie pomieszczenie bez okien było ciasno zastawione paletami z nadtłuczonymi cukrowymi Kremlami. Palety wznosiły się od podłogi do sufitu. Między nimi pozostawało wąskie przejście. Nosow ruszył tamtędy. Pogosowa podążała za nim, omal zahaczając swoimi szerokimi ramionami o piętrzące się cukrowe odłamki. Nosow skręcił, wszedł za kolumnę palet. Pogosowa skręciła za nim. Znaleźli się w ślepym zaułku. Wokół piętrzyły się pojemniki z cukrowymi kremłowskimi tłuczkami. W kącie leżał rulon przezroczystej folii.

- Tak... - Nosow stanął na rulonie, obrócił Pogosową plecami do siebie.

Pogosowa podniosła niebieską spódnicę i białą halkę, przytrzymując je jedną ręką, pochyliła się, oparła o paletę, położyła policzek na tłuczce. Miała piękne, gładkie, białe pośladki. Nosow rozpiął swoje czarne spodnie, spuścił czarne, długie kalesony. Jego smagły członek stał. Nosow prysnął na niego zabezpieczającym sprayem Strażnica i od razu wszedł w Pogosową.

- Oj - powiedziała i głęboko westchnęła.

- Tak... - wymamrotał Nosow i objąwszy Pogosową rękoma, zaczął się szybko poruszać.

Pogosowa stała w milczeniu.

- Tak, tak, tak...

Czarna czapka z daszkiem na jego głowie podrygiwała, zjeżdżała do tyłu.

Pogosowa dotknęła językiem obłamanej Wieży Borowickiej.

- No, no, no... - mamrotał półszepem Nosow, poruszając się coraz szybciej.

Pogosowa polizła wieżę.

- I tak, i tak, i tak, i tak... - sapał Nosow.

Pogosowa lizała wieżę. Jej wielkie zielone oczy przebiegały bez celu po cukrowej tłuczce.

- I tak, i tak, i ta-a-a-a-ak! - wychrypiął Nosow i szarpnął się całym ciałem, wczepiając się rękoma w Pogosową.

- E-m-m... - Pogosowa skrzywiła się, nie przestając lizać.

Nosow zaczął ciężko dyszeć i pochylił głowę na plecy Pogosowej.

Minęła minuta.

Pogosowa nadal niespiesznie lizała wieżę.

- Tak... - Nosow, wzdychając, podniósł głowę, wyszedł z Pogosowej, przytrzymał kalesony i spodnie, zszedł z rulonu.

Pogosowa wyprostowała się, rozstawiwszy szeroko nogi. Sperma Nosowa zaczęła z niej wypływać, kapała na podłogę. Pogosowa odczekała chwilę, potem przejechała ręką krocze i wytarła ją o cukrową tłuczkę.

- Tak... No tak... - ze skrucną kiwał głową poczerwieniały Nosow, ciężko oddychając i zapinając spodnie.

Pogosowa odwróciła się. Popatrzyła na niego ze swoim niezmiennym uśmiechem.

Nosow zapiął pasek, poprawił czapkę, która zjechała mu na kark. Głęboko westchnął, przyglądził wąsy. Wsadził rękę do kieszeni, wyciągnął srebrnego rubla. Podał Pogosowej. Wzięła pieniądz, wsunęła do kieszonki niebieskiego zakietu.

- Chodźmy... - Nosow zakasłał i poszedł przejściem.

Pogosowa ruszyła za nim.

Wyszli z pomieszczenia. Nosow zamknął drzwi. Ruszyli korytarzem do taśmy prowadzącej do stołówki. Na taśmie stali pojedynczy robotnicy. Uśmiechając się, Pogosowa patrzyła na przepływające obok nich ściany z plakatami.

- Chciałam o coś zapytać.

- Czego? - Nosow patrzył na nią, mrużąc oczy.

- Czemu tłuczek nie naprawia się, tylko od razu spisuje na straty?

- A jak go naprawisz? Jest odlewany z całości.

- No ale jeno blanka jedna w murze się odłamie, a od razu cały Kreml spisują na straty.

- I prawidłowo.

- A co, trudno przykleić jedną blankę?

Nosow uśmiechnął się ze zmęczeniem.

- A czym ty go podkleisz, barani łbie?

- No tym samym cukrem.

- Niemożliwe. Ten cukier wylewa się jeno przy określonej temperaturze, a potem od razu zastyga. Z powrotem go nie roztopisz.

- Tak?

- Tak.

Pogosowa westchnęła.

- Szkoda roboty. Z powodu jednej blanki cały Kreml tracić.

- Kreml powinien być całościowy.

- Całościowy?

- Całościowy.

- Dlaczego?

- Jak to dlaczego? Sprawa państwowa, barani łbie! Żeby ani jednego pęknięcia, ani jednej szczelinki. Ani jednej wady. Jasne?

- Jasne. - Pogosowa popatrzyła na niego.

- Niby już nie dzieciak, a takie pytania zadajesz. Ile ty masz lat?

- Osiemnaście.

- Osiemnaście! Jak miałem osiemnaście lat, to już służyłem w wojskach dalekiego zasięgu, rozumiałem co i jak. Ty już jesteś u nas zdaje się trzeci miesiąc, tak?

- Czwarty.

- O, czwarty. Wszystko już powinno być dla ciebie jasne, jak dwa razy dwa.

- Ale przecież wszystko jest jasne. Jeno tłuczek cukrowych mi szkoda.

Nosow uśmiechnął się ze zmęczeniem, pokręcił głową.

- A ta znowu swoje! Ca-ło-ścio-wość! Jasne?

- Jasne. - Uśmiechnęła się.

Odwrócił wzrok, machnął ręką.

- Nie ma co z tobą gadać. Idź, Pogosowa, zjedz coś.

Pogosowa kiwnęła głową.

Nosow westchnął, zszedł z taśmy i szybkim krokiem skierował się w stronę pierwszej hali.

Pogosowa pojechała dalej, patrząc przed siebie wielkimi zielonymi oczyma.

Film

- Uwaga. Kamera - cicho, ale dobitnie powiedział reżyser.

Głośniki wzmocniły jego głos, który rozpląnął się po zalanym zachodzącym słońcem brzożowym zagajniku.

- Poszła! - zareagował operator.

- Akcja! - głośniejsze powiedział reżyser.

Dziewczyna w lekkiej letniej sukience, z dwoma długimi warkoczami, trzasnęła klapsem:

- Ujęcie trzydzieste ósme, dubel trzeci.

- Iwan! - zawołał reżyser.

Młody przystojny mężczyzna w beżowym nankinowym garniturze, białej rubaszce z haftowanym kołnierzykiem i w chromowych butach podszedł do brzozy, padł na kolana, objął drzewo i przytulił twarz do pnia.

- Wybacz, Rosjo, wybacz, mateczko... - wymamrotał rwącym się głosem.

Reżyser podniósł do góry palec wskazujący.

W zagajniku zakukała kukułka.

- Raz, dwa, trzy, cztery... - zaczął odliczać młody mężczyzna.

Reżyser zgiął palec. Kukułka zamilkła.

Młodzieniec usiadł, wsparty plecami o brzozę ciężko westchnął, potarł dłonią o klatkę piersiową, gwałtownie rozpiął rubaszkę:

- Boże... Zali jeszcze cztery lata będzie mnie nosić ziemia ojczysta? Będzie nosić, będzie karmić, będzie mnie kochać?

Zamarł z zastygłym wzrokiem. Przełknął ślinę.

- I nie zapłoniesz pod moimi stopami?!

Zakrył twarz dłońmi, z sygnetem na każdej, pokręcił głową. Bezsilnie opuścił ręce. Westchnął.

- Nie. Nie zapłoniesz ty, ziemio rosyjska. Albowiem kochasz nas wszystkich, Rosjan, bez wyjątku. I tych, którzy ciebie strzegą, i tych, którzy cię zdradzają.

Reżyser podniósł rękę, ścisnął w pięść, rozcapierzył palce.

Zza jedynej w brzezynie starej, uschniętej i dziuplastej osiki wyszedł siwowłosy szczupły mężczyzna w ciemnych okularach, z cienkim wąsikiem, w marynarce w kolorze kakao, w

podkoszulku z napisem „Colorado-2028”, z laską, w białych wąskich spodniach i dużych kosmatych trampkach Kameleon z żyworodnego plastiku.

- Dlaczego się tak frasujesz, Iwanuszka? - przemówił z lekkim amerykańskim akcentem.

Młody mężczyzna drgnął i szarpnął się w tył, osłaniając się dłonią.

- Precz... precz...

- Nie trza się bać. Jam jest tutaj. - Mężczyzna podszedł bliżej, dotknął laską ramienia młodego mężczyzny.

- Nastraszyłeś mnie, szatanie jeden... - Młody mężczyzna pomacał się ręką po klatce piersiowej, ciężko westchnął.

- Jam nie jest szatan - wyrzekł mężczyzna.

- Jesteś gorszy. - Młody człowiek spojrzał na niego spode łba.

Mężczyzna wyjął papierośnicę, otworzył, wyciągnął rękę w stronę siedzącego.

- *Would you like a cigarette, my dear?*

- Diabelskim zielem już się więcej nie zabawiam - wymamrotał młody człowiek.

- A to od kiedy?

Młody mężczyzna zmierzył Amerykanina zjadliwym spojrzeniem.

- Od dzisiaj.

Amerykanin zdjął ciemne okulary. Ich oczy się spotkały. Zapadła długa i pełna napięcia pauza: konfrontacja spojrzeń.

Reżyser podniósł oba kciuki, potrząsnął pięściami i zachwycony, bezdźwięcznie powtarzając: „tak! tak! tak!”, zaczął uderzać pięścią w kolano siedzącą obok scenarzystkę. Ta, nie odrywając się od monitora, złapała pięść reżysera i pocałowała. Przez zamarłą grupę realizatorów przebiegło pełne aprobaty poruszenie.

- Co z tobą, Iwan? - zapytał Amerykanin, chowając papierośnicę.

- A to. - Młody mężczyzna gwałtownie wstał.

Okazał się wyższy od Amerykanina.

- Kończę nasze spotkania - surowo oznajmił Iwan.

Amerykanin zmrużył oczy.

- Jaka jest przyczyna?

- Przyczyna jest taka, że więcej nie życzę sobie dla was pracować.

W zagajniku zakukała kukułka. Operator za kamerą szarpnął głową, zasyczał, splunął. Scenarzystka w przerażeniu zakryła twarz. Reżyser zerwał się z krzesła, zatrzęsł pięścią, bezdźwięcznie krzyząc:

- No co za kurewstwo?!

W ekipie zdjęciowej nastąpiło poruszenie. Kukułka przestała kukać.

Reżyser ze złością zagryzł wargę, poprawił okulary, opadł na krzesło, ciężko westchnął, pokręcił głową. Scenarzystka kręciła głową, zatykając sobie usta. Operator wyskandował:

- Szkod-nik!

Amerykanin włożył ciemne okulary.

- Dlaczego? Zali mało ci płacimy?

- Pieniądze wasze więcej nie są mi potrzebne. Widzieć ciebie, przewrotna gadzino, nie życzę sobie więcej. Okrutnieś dużo mojej krwi wychłptał, podjudziłeś mnie do przestępstwa. Aliści duszy mojej jeszcze wam, zaprzańcom, nie zaprzedałem! Ani wcześniej, ani teraz! Dusza moja jest wolna! Wynos się stąd, szatanie! Masz, zabieraj swoje prezenty!

Młody mężczyzna zdjął z palców i rzucił Amerykaninowi pod nogi oba sygnety.

- I jeszcze na koniec chcę ostrzec ciebie i całą waszą ambasadę: jeśli się ode mnie nie odczepicie, doniosę na was do Tajnego Urzędu!

Zapadła cisza. Reżyser znów w zachwycie podniósł kciuki.

Amerykanin przykucnął, znalazł w trawie sygnety.

- Wychodzi na to, Wania, o duszy żeś sobie przypomniał?

- Wychodzi na to, że tak! - Młody mężczyzna zdecydowanie się odwrócił, chcąc odejść.

Ale Amerykanin zahaczył go laską za ramię:

- A kiedyś ono czynił, nie pamiętałeś o duszy?

W ręce Amerykanina pojawiła się miniaturowa mądra maszynka. Amerykanin ożywił ją i na polanie ukazał się hologram: młody mężczyzna w mundurze kapitana rosyjskich sił powietrznych wchodzi do toalety, wyciąga coś z teczki, szybko chowa to pod sedesem, stoi przez pewien czas, następnie spuszcza wodę i podśpiewując „wszystko mi jedno - cierpieć, czy się radować”, wychodzi z toalety.

- Myślę, Waniusza, że z wielkim frasunkiem przyjmą ono w waszym Tajnym Urzędzie.

Iwan z nienawiścią spojrzał na Amerykanina:

- Ja pierwszy na ciebie doniosę!

Amerykanin zamarł. Hologram znikł.

- Zaraz pójde do Tajnego Urzędu i przyznam się do wszystkiego!

- Masz nadzieję, że ci wybaczą?

- Wybaczą, nie wybaczą - nie mnie sądzić. Ale sieć waszą podstępna rozerwę! Choć w taki sposób ojczyźnie swej dopomogę! Może nie pogniewa się na mnie wielce...

Iwan odwrócił się, by odejść.

- A za to - też się nie pogniewa?

Na polanie pojawił się drugi hologram: pokój hotelowy, rozbrzmiewa wrzaskliwy amerykański jazz, nagi i kompletnie pijany Iwan stoi, wsparty łokciami na stole zastawionym zagranicznym jedzeniem i trunkami, trzyma w rękach słoiczek z naklejką „Nutella”, palcem wygrzebuje ze słoika czekoladową masę i je. W tym czasie od tyłu dokonuje z nim analnego aktu płciowego piękny mulat z cygarem w zębach. Mulat ma na ramieniu standardowy tatuaż amerykańskiego desantu: czaszkę na spadochronie.

Na widok hologramu Iwan stanął jak wryty.

- *My sweet russian boy!* - lubieżnie zaśmiał się mulat i wypuścił dym holograficznemu Iwanowi w kark.

Przez hologram przebiegła iskra. Scenarzystka drgnęła, ale reżyser ścisnął ją za nadgarstek, podniósł palec, wyszeptał:

- Tak trzeba.

Iwan obłąkanymi oczyma patrzył na hologram.

- Zali i o tym doniesiesz? - Amerykanin podszedł bardzo blisko do Iwana.

Iwan stał, zmartwiały.

Amerykanin go popchnął. Iwan bezsilnie upadł na trawę. Amerykanin wyłączył hologram, kucnął, pogłaskał Iwana.

- Nie wydurniaj się, Wania. Nie masz odwrotu.

Wyciągnął papierośnicę, wyjął z niej papierosa, włożył Wani do ust, zapalił.

- Jednym sznureczkiem jesteśmy powiązani. I rozerwać ów sznurek może jeno śmierć. A przecie nie chcesz umierać?

Iwan usiadł, wbił wzrok w ziemię. Amerykanin zapalił, podrzucił sygnety na dłoni.

- Jesteś jeszcze młody. Wszystko przed tobą. I dlatego naszych prezentów nie przystoi tak ciskać. W końcu to nie byle szkiełka.

Włożył sygnety na bezsilne palce Iwana.

- Przygotowaliśmy ci jeszcze jeden prezencik.

Amerykanin z uśmiechem wyjął z kieszeni mały złoty sygnet z brylantem, włożył Iwanowi na mały palec.

- Teraz masz nie tylko szafir i kamień księżycowy, teraz na twojej dłoni jaśniej brylant. A brylant, kochany Iwanuszką, to kamień nad kamienie. Albowiem niepodobny on kamieniom ziemskim, a jest niby odłamek sfer niebieskich, co upadł był na ziemię. Masz, naciesz oko.

Amerykanin uniósł rękę Iwana ku jego twarzy. Iwan zaciągnął się łapczywie, zerwał się i ruszył do odejścia. Kamera bezszelestnie pojechała za nim po szynie.

Amerykanin objął Iwana w pól i ruszył obok.

- I jeszcze jedno. - Wyjął z kieszeni skórzaną sakwę, podrzucił na dłoni. - Sto złotych.

Iwan zatrzymał się gwałtownie.

Reżyser wstał, z przejęciem poprawił okulary, podniósł zaciśniętą pięść.

- Sto złotych, Wania! - Amerykanin ujął rękę Iwana, włożył do niej sakiewkę.

Iwan zaciągnął się chciwie, wyrzucił papierosa i zapytał ochryple:

- Czego chcecie?

Amerykanin uważnie patrzył na niego przez ciemne okulary.

- Potrzebne są nam, Wania, tajne cyfry, zabezpieczające dostęp do wewnętrznych rozmów z waszych ciężkich samolotów przewożących atomowo-rozrywające pociski i dokonujących oblotów patrolowych północnych granic państwa waszego.

Iwan bezsilnie opadł na trawę, pokręcił głową.

- Nie. Tego rozkazu moja dusza nie posłucha.

Amerykanin roześmiał się cicho, położył rękę na głowie Iwana i rzekł, złowieszczo patrząc na zachód słońca:

- Zrobisz wszystko, co każe.

Zapadła dręcząca cisza.

- Mamy to!! - krzyknął reżyser i pobiegł do aktorów. - Mamy to! Mamy to! Mamy to! - podbiegł i objął ich.

Scenarzystka przeżegnała się zamasyście i pospieszyła do nich.

- Mamy to! Mamy to, wasza mać... - Reżyser całował, szturchał i obściskował aktorów. - Mamy to, moje kochaneczki, mamy to, rozbójniki!

Podeszła wysoka, kanciasta, niezgrabna scenarzystka w wąskiej sukience, z wiecznie dziecięcą twarzą, objęła „Iwana”, przytuliła się:

- Boże... Serce omal mi nie wyskoczyło...

- Zadowolająco? - zapytał „Amerykanin”, zdejmując okulary.

Reżyser uderzył go pięścią w ramię:

- Geniusz!

- A mnie, tymczasem, coś wlaźło do buta! - „Iwan”, śmiejąc się z ulgą, wsunął palce do buta. - Rusza się zaraza, łaskocze, co? Ale mam szczęście!

- Dupa jesteś! Dupa kochana! - Reżyser objął „Iwana”.

- Co, faktycznie nieźle?

- W dychę, w dychę!

- I z zachodem słońca zdążyliśmy! - rzekł, podchodząc, krępy siwobrody operator.

- I z zachodem! Z zachodem, wasza mać! - Reżyser zaciekle kręcił krótko ostrzyżoną głową, co chwila poprawiając okulary. - O jaki zachód! Jeszcze chwilka by go nie było! I chuj w dupę wszystkim pizdrykom!

- Jegor, nie przeklinaj, błagam! - Scenarzystka objęła go.

- Z zachodem zdążyliśmy! Daszka, ty to rozumiesz?! - Reżyser potrząsnął nią za kanciaste ramiona.

- Póltorej minuty - odpowiedziała asystentka.

- O! Póltorej minuty! I nie ma słońca!

- Dajcie krzesło, muszę but zdjąć! - krzyknął „Iwan”.

- Krzesło na plan! - krzyknęła asystentka reżysera.

- A kukułeczka jak przysrała, co? - Amerykanin uśmiechał się, zapalając papierosa.

- A-a-a-a! - groźnie ryknął reżyser, przypominając sobie. - Dawać mi ozeda³⁰!

- Tutaj jestem, Jegorze Michałyczu. - Podszedł do nich przygarbiony, skromnie ubrany młody człowiek.

- Proszę łaskawie wybaczyć, jeden raz się wyrwało...

- Się wyrwało! Się wyrwało i się zesrało, tak?! - krzyknął, czerwieniejąc, reżyser. - Wynocha! Od jutra nie pracujesz!

- Niech pan wybaczy, diabeł zamotał.

- Nie zwalaj na diabła! Won stąd! - Reżyser odepchnął go, obejrzał się. - Tak! Na dziś to wszystko!

- Jegorze Michałyczu, można już podawać jedzenie? - spytała pulchna kobieta.

- Jasne! Trzeba!

- Prawosławni, ucz-to-wać! - krzyknęła, przyłożywszy dłonie do ust, jak tubę.

- Już, już, już! - zaklaskał w dłonie reżyser, kiwnął na aktorów. - Prędko do namiotu!

Wszyscy zeszli z planu zdjęciowego i weszli do zielonego namiotu, ustawionego na polanie wśród brzoź.

Aktorzy usiedli na krzesłach, dwie charakteryzatorki zaczęły ich przebierać i zmywać makijaż. Reżyser wyjął z teczki butelkę dwunastoletniej szkockiej whisky Dewar's, prędko nalał do plastikowych kubeczków.

- Szybko, szybko, szybko...

Do namiotu zajrzał asystent operatora.

- Jegorze Michałyczu, będzie pan oglądać?

³⁰ Ozed - odpowiedzialny za efekty dźwiękowe (przyp. aut.).

- Potem! - Reżyser zasłonił przed nim butelkę whisky, krzyknął: - Tania! Nikogo do nas nie wpuszczaj!

Scenarzystka wzięła od niego butelkę:

- Daj, schowam, żeby nie kusiło...

Włożyła whisky do torby, wepchnęła pod stół, wyjęła z lodówki butelkę wódki Pszeniczna, postawiła na stole.

- Brodatych wpuszczacie? - Do namiotu wsunął głowę operator.

- Georgicz, włącz! - Reżyser podał mu kubeczek.

Wszyscy, prócz charakterzatek, wzięli po kubeczku.

- Nasze zdrowie! - powiedział reżyser, poprawiając okulary.

Wszyscy wypili.

Reżyser wyjął paczkę papierosów Rosja, otworzył. Wszystkie ręce sięgnęły po papierosy.

- No. Ulżyło mi... - Reżyser zapalił.

- Wiesz, nie wierzyłam, że dziś nakręcimy. - Scenarzystka chciwie zaciągnęła się papierosem.

- I ja nie wierzyłem - uśmiechnął się operator.

- A ja z jakiegoś powodu wierzyłem - powiedział „Iwan”.

- Trzeci dubel! - Poczzerwieniały reżyser kręcił głową. - Zagadka, macierz wasza! Trzeci dubel zawsze jest dobry! Co to oznacza?!

- Troistą jedność. - Operator drapał się po brodzie.

- To los, Jegoruszka - uśmiechnęła się scenarzystka.

- Awdosza, moja słodka. - Reżyser chwycił ją za długą rękę. - Pierwej wypijmy za naszą Awdoszę! Jak powiadał Jean Gabin: każdy film - jeno scenariusz, scenariusz i tylko scenariusz, nic więcej!

- Nie zgadzam się. - Operator pokręcił głową.

- Nie zgadza-a-a-am się! - przedrzeźnił go reżyser. - Polewaj!

Operator włożył pod stół po whisky.

- A mogę dostać wódkę? - poprosił „Amerykanin”, wycierając twarz mokrym papierowym ręcznikiem.

- Oczywiście. - Scenarzystka nalała mu wódki.

Pozostałym operator nalał whisky.

Charakterzatek wzięła pusty kubeczek „Amerykanina” po whisky, powąchała, liznęła:

- Wielce dziwny zapach.

Reżyser wznosił kubeczek.

- Awdosza, twoje zdrowie!

Wypili.

Reżyser chuchnął i zaraz zaciągnął się papierosem.

- Jak ty fajosko wymyśliłaś z tym stołem, z tym... wszystkim! Genialnie!

- Od tej nutelli mam zgagę - uśmiechnął się „Iwan”. - Jak oni mogą jeść takie świństwo?

- Z dupojebstwem nie przepuszczają. - Operator głośno wypuścił dym.

- Nie kracz, twoja mać! - krzyknął reżyser.

- Wasia, nie godzi się o tym myśleć. - Scenarzystka dotknęła ramienia operatora.

- Nie myślę, po prostu mówię.

- Puszczają - nie puszcza... - Reżyser rozlał resztę whisky, cisnął pustą butelkę pod stół. -

Nie jestem Fiedia Łysy³¹, to fakt. Ale i ja mam prawo do ostrej wypowiedzi. Mam pra-wo! Jasne?! I tam to wiedzą.

- Wiedzą, wiedzą... - Wszyscy pokiwali głowami, biorąc do rąk kubeczki.

- A wy, chłopaki, dzisiaj przeszlście samych siebie! - Reżyser klepnął aktorów po ramionach. - Wasze zdrowie!

Wypili.

- Uf! Jakoś szybko się dziabnąłem - uśmiechnął się krzywo reżyser.

- Zmęczony jesteś, Jegoruszka. - Scenarzystka objęła go. - Idź do przyczepy, zdrzemnij się.

- Nie. - Reżyser oblizał wargi, poprawił okulary, zamyślił się. - Wiesz co, Georgicz? Chodźmy no, bracie, rzucimy jednak okiem.

- Chodźmy. - Operator rozłożył wielkie ręce.

Reżyser objął go i obaj wyszli z namiotu.

- Ja też chcę popatrzeć. - „Iwan” zgasił papierosa, wstał.

- Gdzie ty, bracie, tam i ja. Fiku-miku, fiku-miku i po krzyku! - „Amerykanin” rytmicznie poklepał się po kolanach.

Wyszli obaj. Za nimi wyszły też charakteryzatorki.

W namiocie została tylko scenarzystka. Pałac papierosa i pociągając whisky z kubeczka, w podnieceniu przechadzała się po niewielkiej kwadratowej przestrzeni. Zatrzymała się przy lodówce. Leżało na niej odwrócone pudełko po światłowodach. Scenarzystka podniosła je. Pudełko przykrywało cukrowy Kreml. Był już mocno objedzony przez ekipę zdjęciową. Scenarzystka odłamała krzyże z Soboru Archangielskiego i powrzucała je do kubeczka z

³¹ Aluzja do reżysera Fiodora Bondarczuka (przyp. tłum.).

whisky. Zamieszała wszystko kolistym ruchem ręki i wypła duszkiem.

Zrobiła wydech, wdech, przyłożyła wąską dłoń do ust. Rzuciła kubeczek na podłogę, nadepnęła go pantofelkiem.

- Jeno zwycięstwo!

I zamazyście wyszła z namiotu.

Underground

Dojechawszy do stacji Bielajewo, Arisza wysiadła z pociągu razem z tłumem ludzi, którzy przyjechali z centrum stolicy, i powoli przemieszczając się z ludzkim potokiem, skierowała się do wyjścia z kolejki podziemnej. Przeszła przez metalową bramkę, pchnęła ramieniem podrapane przezroczyste drzwi z napisem „wyjście” i znalazła się w przejściu podziemnym. Było tu brudno, mroczno i ludno: walili tłumem ludzie wracający po dniu pracy, siedzieli po kątach żebracy, tłoczyli się pogorzelnicy z pomarańczowymi kubkami, brzęcząc miedziakami i pojękując swoje: „Prosimy o łaskę, nie ofiarę!”, urywanie śpiewały gładko ogolone „nautilusy”, przekupnie handlowali ciepłymi bułeczkami i wieczornym wydaniem „żywej” gazety „Odrodzenie”, dwóch pijanych oberwańców biło się z jaskrawo ubranym i umalowanym Chińczykiem, czekał na nich bezdomny pies o skudłonej sierści. Przepychając się, Arisza wyszła po zawalonych śmieciami schodach ze śmierdzącego przejścia i z przyjemnością wciągnęła do płuc świeże wiosenne powietrze.

Na górze, w Moskwie, był dwunasty maja, zegar nad literą „P” przy wejściu do kolejki podziemnej pokazywał osiemnastą dwadzieścia jeden.

Arisza poprawiła chustkę na głowie, obciągnęła kretonową sukienkę, sprawdziła, czy jest na miejscu - w sajdaku przy pasku - portfel, blacha przejazdowa, dalekogadaczka. Przekonawszy się, że wszystko jest na miejscu, odetchnęła z ulgą i pospiesznie przeszła koło straganów do ulicy Konstantina Leontjewa.

Dziewiętnastoletnia Arisza była wysoką, szczupłą dziewczyną o spokojnej, niezbyt ładnej twarzy i życzliwych, mądrych piwnych oczach.

Przecisnąwszy się przez kolejki koło czterech standardowych straganów spożywczych, obeszła dużą grupę Uzbeków, siedzących w kucki z kawałkami armatury w rękach przy czterech ogromnych kontenerach z „żywym” wizerunkiem smoka połykającego słońce i znakami *chuangwei*³², minęła jadłodajnię i dotarła do czteropiętrowego, niedawno spalonego budynku towarzystwa handlowego Busłaj. Na czarnej od sadzy ścianie wisiał standardowy znak opryczników: psia głowa i miotła w czerwonym kręgu.

Arisza obeszła budynek pachnący spalenizną, depcząc butami ożogi i kawałeczki

³² *Chuangwei* (chiń) - zasłony (przyp. aut.).

potłuczonego szkła, zauważyła w głębi ulicę Leontjewa z sześciopiętrowymi blokami mieszkalnymi i skierowała się w ich stronę. Na podwórzu bloku nr 3 siedział na ławeczce i palił papierosa siwobrody szlifierz. Obok na trójnogu stało toczydło. Arisza podeszła do szlifierza.

- Dziadku, a da pan radę naostrzyć małe nożyczki?

- Wszystko ostrzę, moja piękna.

Arisza wyjęła z portmonetki małe nożyczki do paznokci, podała staruszkowi. Ten poobracał je w zgrubiałych rękach.

- Osiem kopiejek.

- Zgoda.

Szlifierz zamocował nożyczki w toczydle, włączył urządzenie. Rozbłysły na czerwono laserowe promyki, z sykiem przejechały po ostrzu nożyczek. Arisza wytrząsnęła z portmonetki na dłoń miedziaki, wybrała piątaką i trzy kopiejki, podała staruszkowi.

- Uprzejmie dziękuję, dziadku.

- Niech Cię Bóg ma w swojej opiece, córeczko.

Staruszek przyjął miedziaki, oddał Ariszy rozgrzane nożyczki. Chowając je w portmonetce, a portmonetkę w sajdaku, Arisza usłyszała:

- Cześć, dziadek!

- Cześć, młodziak!

Obok stał chłopak, na oko czeladnik rzemieślniczy.

- Narzeczona dała mi zadanie: kazała naostrzyć małe nożyczki. Naostrzysz?

- A jak!

- Ile za to weźmiesz?

- Osiem kopiejek.

- Trochę drogo, ale co poradzisz. - Chłopak wsadził rękę do kieszeni.

Zmieszana i poczerwieniała Arisza odeszła, popatrzyła na blok, ruszyła spieszenie wzdłuż klatek schodowych. Znalazła pierwszą klatkę, nacisnęła na domowej gadaczce guzik „8”.

- Słucham? - odezwał się szybko kobiecy głos.

- Ja z ogłoszenia - powiedziała Arisza, opanowując podniecenie. - Potrzebuję rozsąd kwiatów.

- Proszę wejść.

Drzwi zapiszczały, Arisza weszła do półciemnej, niedomytej klatki schodowej, znalazła na parterze drzwi z cyfrą „8”. Drzwi się otworzyły, ukazała się twarz niemłodej kobiety.

- Co panią interesuje?

- Georginie.

- Proszę wejść.

Arisza weszła do skąpo oświetlonego, biednego, ale starannie wysprzątanego mieszkania. Kobieta zaprowadziła ją do pokoju gęsto zastawionego starymi książkami.

- Słucham panią - powiedziała, stając przed Ariszą.

Była szczupłą, z bladą, uważną, spokojną i nieco smutną twarzą, w długiej, okrywającej ją od stóp do głów ciemnozielonej sukience i wysokich staromodnych pantoflach.

- Ja od Porfirego Iwanowicza - rzekła Arisza zdenerwowana, wpatrując się w starą broszkę na piersi kobiety.

- A kim pani jest? - zapytała kobieta.

- Arina Łobodina, córka poddiaczego Okręgowego Urzędu Ziemskiego. Dwa lata temu aresztowali mojego tatusia, powiesił się w więzieniu. Mamę i braci zesłali do Mariinska. Są tam już rok.

- Dekret 8-26? - zapytał, wychodząc bezszelestnie z regału na książki niewysoki mężczyzna o długich, przyprószonych siwizną włosach i chudej bezbrodej twarzy.

- Tak - szybko odpowiedziała Arisza, starając się utrzymać emocje na wodzy. - Wtedy czyścili wszystkie ziemskie urzędy. U nas w Bolszewie spalili osiemnaście domów.

Mężczyzna uważnie przyglądał się Ariszy:

- Mariinsk. Gdzie to jest?

- Za Czującymem.

Mężczyzna kiwnął głową, zwilżył językiem suche spierzchnięte usta.

- Nie byłem tam. Jeździłaś do nich?

- Dwukrotnie. - Arisza skinęła głową. - Trzeci raz mnie nie puścili. Na dworcu ochotnicy wsadzili mnie do pociągu powrotnego, przykleili do pleców „żmiję”.

Kobieta i mężczyzna spojrzeli po sobie ze zrozumieniem.

- Gdzie pani pracuje? - spytała kobieta.

Arisza wyciągnęła z sajdaka dalekogadaczkę, włączyła, wywołała swoją kartę pracy: pojawił się niewielki hologram z datami i miejscami zatrudnienia.

- Tynkarz, Zagoriańskie słupy - przeczytał mężczyzna. - Was też palili?

- Od razu po aresztowaniu tatusia. - Arisza kiwnęła głową. - W naszej klatce schodowej dwa piętra wypalili, a w sąsiedniej: trzy.

- Gdzie pani mieszka? - Kobieta podeszła do zasłoniętego okna, zajrzała za półprzezroczystą zasłonką z „kwitnącymi” liliami.

- Czasem u babci w Szczełkowie, czasem w bursie w Zagoriance.

- Jak pani znalazła Porfirego Iwanowicza? - spytał mężczyzna, wyjmując paczkę Rosji i zapalając papierosa.

- Znajomi pogorzelnicy na targu mi opowiedzieli, dali „strzałkę”.

Mężczyzna kiwnął głową, mocno zaciągnął się papierosem.

- Płacisz jednego nowego rubla.

Arisza wyjęła z sajdaka wcześniej przygotowany rubel drugiego bicia z profilem Monarchy, podała mężczyźnie. Ten wziął monetę, wsunął do kieszeni.

Ktoś zadzwonił do drzwi. Mężczyzna podniósł palec. Kobieta poszła otwierać.

- Dzień dobry, my tego, po rozsądę kwiatów - usłyszała Arisza.

Był to głos młodego czeladnika, który ostrzył nożyczki po niej. Mężczyzna otworzył regał na książki, skinął na Ariszę, by podążała za nim. Przez szafę weszli do sąsiedniego pokoju prowadzącego na korytarz.

W korytarzu już nikogo nie było - kobieta od razu poprowadziła chłopaka do biblioteki. Mężczyzna otworzył drzwi wejściowe.

- Wejź na strych, cicho zapukaj do drzwi dwa razy. Kiedy otworzą, powiedz „białko”. Jasne?

Arisza kiwnęła głową, wjechała starą brudną windą na szóste piętro, wysiadła, rozejrzała się, znalazła śmierdzące, zasypane warstwami niedopałków schody prowadzące na strych, ostrożnie weszła po nich do obitych blachą drzwi strychu. Zgiętym palcem ostrożnie stuknęła w nie: raz, dwa. Drzwi natychmiast bezszelestnie się otwały.

- Białko - powiedziała Arisza.

Gęstobrody, barczysty mężczyzna w milczeniu kiwnął jej głową i usunął się na bok, zapraszając do środka. Arisza weszła do dużego, słabo oświetlonego pomieszczenia na strychu.

- Pani idzie prosto - powiedział brodac.

Arisza ruszyła po betonowej podłodze wylanej smołą i zobaczyła grupę ludzi siedzących wprost na ziemi. Podeszła do nich. Siedzący popatrzyli na nią.

- Dwudziesta piąta - powiedziała tęga kobieta z blizną na twarzy. - Siadaj, córeńko, z nami.

Arisza prędko się rozejrzała i w milczeniu usiadła obok mężczyzny z ogoloną głową.

- Czemu się spóźniasz? - ponuro zapytał mężczyzna.

- Ja... nie wiem. - Arisza wzruszyła ramionami.

- Pierwszy raz? - spytała ją siedząca z tyłu dziewczyna.

- Tak. - Arisza odwróciła się.

- Ona jest nowa - wyjaśniła dziewczyna mężczyźnie.

- Nowa, stara... co za różnica... - wymamrotał ten i zamilkł.

Wszyscy siedzieli w milczeniu. Arisza przyjrzała im się. Byli to głównie ludzie źle albo skromnie ubrani, ale nie z niższych warstw społecznych.

„Pogorzelnicy” - domyśliła się.

Wkrótce wszedł ten sam chłopak - czeladnik rzemieślniczy.

- Dwudziesty szósty - kiwnęła głową tęga kobieta. - Siadaj, sokoliku.

Chłopak usiadł niedaleko Ariszy. Arisza spojrzała na niego. Mrugnął do niej bez uśmiechu.

Minęło jeszcze kilka minut i weszły dwie osoby naraz - dziewczyna prowadząca pod rękę chromego staruszka z laską.

- Kworum - powiedział głośno idący za nimi brodacz i siedzący poruszyli się z ożywieniem.

Brodacz i dziewczyna pomogli staruszkowi usiąść na podłodze. Ten, ciężko dysząc, wyciągnął nogi i położył na nich swoją laskę.

- Nadzieńda, rozpoczynaj - rzekł brodacz, siadając obok staruszka.

Tęga kobieta z blizną wyciągnęła spod siebie niewielką metalową skrzynkę, otworzyła ją, wstała. Arisza zauważyła na skrzyni napis w języku angielskim:

YANGEANS - 28

Kobieta wyjęła ze skrzynki tabletkę i podała siedzącemu obok mężczyźnie:

- Zjedz, sokoliku.

Ten z gotowością otworzył usta, kobieta położyła mu tabletkę na języku. Siedząca obok mężczyzny staruszka z trzęsącą się głową też otworzyła usta, wysunęła język.

- Jedz na zdrowko, babciu. - Nadzieńda położyła jej na języku tabletkę.

Wszyscy siedzący po kolei otwierali usta i wysuwali języki. Nadzieńda przemieszczała się między nimi, trzymając w pogotowiu otwartą skrzynkę, wyciągając z niej tabletki i kładąc na językach.

- Jedzcie, kochani, jedzcie, mili moi...

W końcu nadeszła kolej Ariszy. Otworzyła usta, wysunęła język i zobaczyła, jak kobieta wyjmuje tabletkę ze skrzynki. Wewnątrz było coś w rodzaju plastra miodu: kobieta rozrywała kolejną przegródkę i wyjmowała z niej tabletkę. Arisza domyśliła się, że w skrzyni jest dwadzieścia osiem takich oczek.

- Jedz, córeczko. - Nadzieńda położyła tabletkę na wysuniętym języku Ariszy i ruszyła do

staruszka.

Arisza cofnęła język z tabletką do ust. Tabletką od razu zaczęła przyjemnie się rozpuszczać. Arisza poczuła w ustach świeżość i chłód. Tabletką rozpuszczała się, chłodząc język i łaskocząc podniebienie. Ssać tabletkę, Arisza ostrożnie wciągnęła powietrze. Obejrzała się na pozostałych, którzy przyjęli tabletki. Wszyscy rozluźnili się i nie siedzieli już w takim napięciu jak na początku. Niektórzy z zadowoleniem pocmokiwali, ssać tabletki. Tęga kobieta z blizną włożyła przedostatnią tabletkę do ust brodacza, ostatnią wzięła sama i z nieoczekiwanym gniewem rzuciła pustą skrzynkę w kąt. Brodacz podniósł ręce i pokazał dwa kciuki. Nadzieja niezgrabnie klapnęła na podłogę obok brodacza, objęła go i radośnie poklepała po ramieniu.

Siedzący niedaleko staruszek z laską jęknął, kiwając białą głową. Jego twarz wyrażała błogość i jakby odmłodziła: brwi się uniosły, oczy się półprzymknęły, ssące usta rozciągnęły się w uśmiechu. Arisza nagle poczuła w całym ciele przyjemne odrętwienie i zrozumiała, że nie może oderwać oczu od tej uśmiechającej się starczej twarzy. Twarz staruszka młodziła, zmarszczki się wygładzały, skóra podciągała się, różowiała.

„Jaka piękna twarz! - pomyślała z zachwytem Arisza. - Jakie piękne oczy!”

Oczy staruszka pociemniały. Twarz zaczęła porastać burą sierścią. To było boskie. Arisza wstrzymała oddech z zachwytem. Staruszek otworzył paszczę i głucho zaryczał, obnażając żółte, stare kły.

Arisza przymrużyła oczy z nagłego zachwytem. Serce jej waliło ogłuszająco. Otworzyła oczy. I ciężko opadła na cztery łapy. Przed nią rozpościerał się szeroki plac, zalany księżycowym światłem. Dalej widniał chram ze złotymi kopułami. Nieopodal jeszcze kilka cerkwi. Arisza powąchała plac. Wyczuła obce, ostre i budzące niepokój zapachy. Zrobiła kilka ostrożnych kroków, koślawo się przetaczając i zgrzytając pazurami po kamieniach. Zatrzymała się. Podniosła pysk, popatrzyła do góry. Tam było dobrze znajome nocne niebo z gwiazdami i wielkim księżycem w pełni. Niebo otaczały białe kamienne blanki. Niebo pachniało znajomo. Zapach nieba uspokoił Ariszę i dodał jej otuchy. Opuściła łeb. I zobaczyła Starego i dwóch Młodych. Wychodzili na plac z chramu. Arisza ryknęła do nich na powitanie. Młodzi ryknęli w odpowiedzi, a Stary wciągnął nosem mroźne powietrze i głośno je wypuścił. Ze skwerku z oprószonymi śniegiem świerkami zaczęli wychodzić Młodzi i Starzy. Arisza ruszyła im naprzeciw. Każdy krok sprawiał jej niezwykłą przyjemność. Czula swoje włochate, wielopudowe ciało. Było silne i spokojne. Futro i warstwa sadła pod futrem na grzbiecie niezawodnie chroniły ją przed silnym mrozem, od którego łzawiły maleńkie oczka Ariszy. Wyszła na plac. Wokół zaczęli się zbierać Starzy i Młodzi. Arisza podeszła do

Starego, ostrożnie powąchała powietrze wokół jego pyska, nie dotykając go. Stary ryknął spokojnie. Arisza dotknęła nosem jego oszronionego pyska. Stary otworzył paszczę i ryknął głośniej, ukazując żółte, mocno starte zęby. Młody dotknął nosem zadu Ariszy. Odwróciła się gwałtownie i lekko uderzyła go łapą. Młody odskoczył. Młoda, krótko porykując, lekko i przyjaźnie szturchnęła Ariszę w bark. Arisza ryknęła w odpowiedzi i przycisnęła jej łapę. Pozostali obwąchiwali się, porykując na powitanie. Dwaj Młodzi stanęli na tylnych łapach i zaczęli się mocować. Stara, głucho warcząc, chwyciła jednego z nich za udo. Dwaj Starzy obwąchiwali się cicho, krążąc w koło. Wkrótce na placu zebrali się sami swoi. Wszyscy nagle zamarli. Arisza również zamarła, rozumiejąc, że teraz powinno się zdarzyć coś bardzo ważnego. Wszyscy podnieśli do góry pyski i w oczekiwaniu wachali mroźne powietrze. Nagle rozległo się dzwonienie. A zaraz potem - dudniące uderzenia ciężkiego metalu, skrytego w wielkiej białej wieży, wznoszącej się obok zębatego muru. Bum! bum! bum! bum! - płynęło w mroźnym nocnym powietrzu. Wszyscy zaczęli słuchać uderzeń. Arisza znieruchomiała i też słuchała. Każde uderzenie dzwoniło w jej kosmatych uszach i rezonowało w mocnych kościach silnego, wielopudowego ciała. Te uderzenia o b i e c y w a ł y coś bardzo radosnego, coś, dla czego wszyscy się tu zebrali. Łzawiącymi oczyma Arisza widziała wierzchołek wieży, z której płynęły donośne uderzenia. Na szczycie wieży jaśniał w księżycowym świetle złoty dwugłowy ptak. Bum! bum! bum! - dzwoniła wieża. Wreszcie uderzyła ostatni raz. Wszyscy zastygli. Sześciu Starych stanęło na tylnych łapach i zaryczało. Ten ryk Starych oznaczał jedno: „Już czas!”. W odpowiedzi zaryczeli pozostali. I Arisza zaryczała razem ze wszystkimi. „Już czas! Już czas! Już czas!” - rozbrzmiewało wokół. Ryk wstrząsał placem. I wszyscy zerwali się do biegu. Arisza zerwała się razem z nimi. Biegła wśród swoich, odbijając się łapami od zimnego kamiennego podłoża. Serce jej już czuło, dokąd wszyscy pędzą. Obiegłszy chram, razem rzucili się do drugiego budynku. Ciężkie drzwi były zamknięte. Ale czyż mogły powstrzymać rozjuszone pragnienie silnych? Kosmaty potok wysadził drzwi z zawiasów, wdarł się po marmurowych schodach. Tłocząc się wraz z innymi, Arisza wtargnęła do ciepłego pomieszczenia. Włochate łapy ślizgały się po marmurze, pazury wpiły się w dywan. Bury potok popychając się, sapiąc i porykując, runął w przestronną amfiladę. Stary parkiet zatrzeszczał pod potężnymi łapami. Pospadały poprzewracane wazony, zakołysały się marmurowe rzeźby, zabrzęczały wisiorki żyrandoli i kandelabrow. I rozbrzmiał w ciemności przenikliwy kobiecy krzyk. Monarchini miała złe przecucia. Na ten krzyk słodkim drzeniem radości odezwało się wielkie serce Ariszy. Wyrwała do przodu, rozpychając pozostałych. Ale gdzieżby mogła mierzyć się z silnymi i potężnymi! Wyprzedzali ją, doganiali, przewracali na dywan piszczących i

wyjących. Zatrzeszczały w ich zębach kości Monarchy, Monarchini, ich dzieci. Arisza, rycząc i rozpychając się, wsunęła pysk pomiędzy silnych i włochatych, dosięgła drgającego w agonii bezwłosego, słodko pachnącego ciała. Wpiła się zębami, szarpnęła, łamiąc słabe kości. Oderwała kawał mięsa, ale w tym momencie została odepchnięta przez innych pożądających. Dławiąc się, bryzgając ciepłą krwią, przełknęła drżący kawałek. I za burym kłębowiskiem silnych i włochatych nagle w ciemności zauważyła malutkiego człowieka, prześlizgującego się przez okno. Szybka jak spłoszony ptak myśl przeleciała przez niewielki mózg Ariszy: „Dogoń!”. I rzuciła się pod prąd burego potoku, z powrotem do marmurowych schodów, do drzwi. Przeleciała przez amfilady, stoczyła się, koziołkując, w dół po śliskich schodach. Skoczyła z ganku w mroźną noc. Zamarła. Uszy i nos wyostrzyła. I usłyszała, wyczuła bieg małych dziecięcych stóp. Rzuciła się śladem. Żwawe nóżki, gnane przerażeniem, pędziły przez opustoszały plac. Arisza koślawo biegła w ślad za nim, dysząc ciężko. Nagle maleńki człowiek znikł. Arisza zawęszyla. Zrozumiała: schował się. Do ogromnej, starodawnej Głównej Armaty ciągnął się wyraźny ślad. Arisza już wiedziała. Podeszła rozkołysanym krokiem. Stała na tylnych łapach, zajrzała do czarnej gardzieli armaty. W ciemności słodko pachniało maleńkim następcą tronu. Arisza wsunęła pysk, szczerknęła zębami. Ale nie dosięgła: maluch wbił się w głąb. Rycząc ze zniecierpliwienia, zaparła się grzbietem o armatę, natężyła się. Ciężka była Główna Armata. Ale żądza i wściekłość Ariszy okazały się silniejsze: armata się zakołysała, runęła. Wytoczył się z gardzieli następca, rzucił się do ucieczki. Ale nawet pięciu kroczków nie zdążył zrobić, jak pazurzasta łapa powaliła go, łamiąc kręgi. Zamknęły się kły Ariszy wokół ciepłej szyjki. Z ust następcy wydostało się tylko chrypienie. Drżąc ze szczęścia i niecierpliwości, Arisza zaczęła pożerać następcę. Rozłupała się jak jajko głowa pod uderzeniem kłów, zatrzeszczały kości, bryznęła na kamień bezcenna krew. Dławiąc się i warcząc, Arisza połykała ciepłe mięso. Ze szczęścia i upojenia lzy gęsto płynęły jej z oczu. Już przestała nawet widzieć, ale nosem i językiem odczuwała i słodycz młodych chrząstek, i delikatność wnętrzości, i upajające ciepło maleńkiego serca...

Arisza beknęła, wetknęła nos w to, co zostało z następcy: rozerwane spodenki w kałuży parującej krwi. W kieszonce spodenek coś było. Czując się jak pijana po pospiesznej sążnistej uczcie, rozerwała pazurami spodenki, zamrugowała. W kieszonce leżał biały odłamek. Pachniał inaczej, słodko. Arisza przyjrzała się: odłamek ten był dokładnie taki jak biała wieża, z której rozbrzmiewał dzwon. Nawet maleńki dwugłowy ptak był na wieżyczce. Arisza liznęła wieżyczkę. Okazała się słodka, ale to nie była słodycz świeżej krwi - inna, nowa. Schwyciła Arisza wieżyczkę językiem i wzięła do pyska. Wieżyczka zachrząściła w zębach, Arisza ją przełknęła, oblizła się. Zrobiła krok i zrozumiała: przejadła się. Ale tak, że ciężko jej iść.

Upiła się tym mięsem. Otepiała. A tu rozkołysanym krokiem zbliża się Stary. Wywęszył. Liznął krew na kamieniu, pysk do Ariszy wyciąga. Jego oczy proszą o mięso. „Zwróć Staremu co nieco...” - pomyślała. Ale zaraz się rozmyśliła: „Nie, szkoda...”.

Arisza otworzyła oczy. Twarz staruszka była obok, tylko zwrócona profilem. Staruszek leżał na plecach na betonowej podłodze z zamkniętymi oczyma i pochlipywał. Arisza lekko się uniosła. Wokół leżeli, siedzieli, budzili się ludzie. Wpatrywała się w nich osłupiała. Staruszek zakasłał, zajęczał i zaczął się ciężko podnosić. Brodacz krzyknął, szarpnął się, zaklął i ciężko zadyszał. Nadzieja wierciła się, coś mamrocząc.

Arisza uświadomiła sobie, że sama leży na boku, wykręcona w niewygodnej pozycji. Usiadła, wyprostowała się. Głowa jej ciążyła, w ustach czuła nieprzyjemny posmak, lekko ją mdliło. Ludzie wokół stopniowo wstawali i wychodzili. Na Ariszę spoglądali jakoś niezbyt przyjaźnie, nie rozmawiali ze sobą. Arisza wstała i od razu się skrzywiła: mocno ścierpła jej prawa noga. Kuśtykając, podeszła do ściany, oparła się. Staruszek usiadł, kaszłąc. Dziewczyna, która go przyprowadziła, siedziała już obok niego, rozczesując grzebieniem swoje długie włosy. Potem zaczęła pomagać staruszkowi. Wsparty na lasce i na dziewczynie staruszek podniósł się, znów zakasłał i splunął gęstą wydzieliną na podłogę. Arisza odepchnęła się od ściany i utykając na prawą nogę, podeszła do wyjścia. W głowie czuła pustkę i ciężar, ale w duszy spokój, było jej dobrze. Podeszła do drzwi prowadzących na strych, zeszła po schodach do wind. Tam już stali w milczeniu ci, którzy zeszli ze strychu, niektórzy poszli na dół schodami. Arisza też milczała, zupełnie nie chciało jej się rozmawiać. Pierwsza przy windzie, opierając się czołem o drzwi, stała staruszka z trzęsącą się głową. Podjechały windy, ludzie wsiedli. Przepelnione windy odjechały. Arisza została sama. Z góry schodził staruszek, wspierając się na dziewczynie i lasce. Kiedy podszedł do Ariszy, podjechała pusta winda. Staruszek z dziewczyną i Arisza wsiedli do windy, dziewczyna nacisnęła „parter”. Winda ruszyła na dół. Staruszek patrzył na Ariszę z niemym wyrzutem. Odwróciła wzrok. Ledwo winda się zatrzymała, Arisza zaczęła wymiotować.

- Ostatniego potomka zeżarłaś - nieprzychylnie uśmiechnął się staruszek.

Wyjął z kieszeni chustkę, podał jej. Arisza potrząsnęła głową, wyjęła z sajdaka własną chusteczkę, wytarła usta.

- Następnym razem nie bądź taka zachłanna - poradził staruszek. - Dziel się. Nie szalej. Jasne?

Arisza kiwnęła głową, ciężko dysząc.

- Nie ty jedna jesteś pokrzywdzona.

Staruszek mrugnął i kulejąc, wyszedł z windy. Dziewczyna podtrzymywała go od tyłu.

Arisza złapała oddech, przeskoczyła nad wymiocinami. Słabo można było w nich rozróżnić pierogi, które zjadła dziś po zmianie w zagoriańskiej stołówce robotniczej. Wyszła z windy.

Na dworze powoli zapadał zmierzch.

Arisza wyjęła dalekogadaczkę, spojrzała: prawie dziewiąta. Na ławeczce w miejscu szlifierza siedziało dwóch chłopaków z dziewczynami. Chłopak przygrywał na „miękkiej” bałajce *Złote góry*, podbite dziewczyny śpiewały wstrętnymi głosami. Nieopodal, pod topolami szwendały się z „nautilusami” miejscowe oprychy.

Arisza poprawiła chustkę i spokojnym krokiem ruszyła w stronę kolejki podziemnej, gdzie w ciemniejącym brudnym powietrzu już zaświeciła się czerwona litera „P”.

Dom rozpusty

Pigwowa konfitura lipcowego zachodu słońca już pociekła, skapnęła na zakurzone, duszne, zmęczone i sponiewierane przez dzień Zamoskworieczę, kiedy nowiutki, koloru świeżej krwi merc monarszego oprycznika Ochłopa, oczyściwszy sobie drogę infradźwiękowym „rykiem monarszym”, skręcił z hałaśliwej ulicy Piatnickiej w przytulny zaułek Wiszniakowski i zaparkował przed różowawożółtą willą z białymi kolumnami, mlecznymi oknami i czerwonymi latarenkami nad gankiem.

Cicho i spokojnie jest wieczorem w zaułku Wiszniakowskim.

Nie zdąża zwalisty Ochłop otworzyć szklanego dachu w swoim mercu, jak z ganku rzuca się do niego Tatarzyn w białym odzieniu.

- Prosimy, prosimy najpokorniej, panie opryczniku!

Wprost doczekać się nie mogli monarszego oprycznika w zaułku Wiszniakowskim. Płynnie otwiera się przezroczysty dach merca, pstrykają, odpinając się, pasy bezpieczeństwa. Ochłop, postępując, wytaszcza swoje siedmiopudowe ciało z niskiego samochodu.

- Prosimy, prosimy... - Tatarzyn podchwytuje oprycznika pod łokieć ze złotogłowi, pomaga, wije się niby biały wąż.

Ochłop niespiesznie gramoli się z merca. Ma na sobie letni strój oprycznika: cienką srebrzysto-purpurową kurtkę ze złotogłowi, przepasaną srebrnym pasem z drewnianą kaburą i nożem w miedzianej pochwie, obcisłe portki z purpurowego jedwabiu, safianowe buty z krótką cholewką. Błyszczy ufryzowany czub oprycznika złotym pudrem, a koło zaróżowionego policzka kołysze się w grubym płatku usznym złoty dzwoneczek. Masywna jest twarz Ochłopa, surowa, szacunek budząca.

- Osłoń głowę. - Ciężko posapując, wskazuje pulchnym palcem, zdobnym w sygnet z czarnym szafirem, głowę marmurkowego doga, przywiązaną do zderzaka merca i - sądząc po zapachu oraz psującym się koniuszku liliowego języka - już dotkniętą jednak lekkim rozkładem, mimo że zręczni koniuchowie, bliźniacy Matwiej i Daniła, odrąbali ją od zamrożonej psiej tuszy i przywiązali dzisiaj wczesnym rankiem we dworze Ochłopa jeszcze o piątej siedemnaście, kiedy słońce dopiero jeno-jeno wstawało i nie zdołało obudzić pana, sięgnąwszy podstępny promykiem-iglicą przez otwarte okno sypialni i przez szczelinę w perkalowych zasłonach zapuchniętego, półotwartego, potężnego oka groźnie pochrapującego

Ochłopa.

- Się robi! - W prędkich rękach odzwiernego pojawia się szeleszczący czarny foliowy worek, połyka psią głowę ostrouchą.

Łapiąc oddech, czeka Ochłop, aż dach merca wróci na miejsce, odwraca się energicznie, skrzypiąc miedzianymi flekami obcasów po kocich łbach i kołysząc się przysadziście, chmurząc gęste niskie brwi, wydymając ciasto mięsistych warg, wypinając brzuch, wchodzi po schodkach na ganek.

- Prosimy, prosimy... - Sprężysty biały Tatarzyn wyprzedza go, podbiega naprzód, otwiera drzwi.

Ochłop wchodzi, zahaczając odzianymi w złotogłów ramionami o piękną futrynę.

W przedpokoju wszystko jest czerwone - i ściany, i sufit, i dywan, i fotele, i sukienka dziewczyny za purpurowym kontuarem bezpieczeństwa. I żyrandol jaśniej malinowymi wisiorkami.

- Wita-a-a-amy! - mówi dziewczyna śpiewnie, pochylając schludnie przyczesaną główkę i uśmiechając się purpurowymi usteczkami.

- Witam! - Ochłop ciężko dyszy, odpinając srebrny pas z bronią i ciskając go na kontuar przed dziewczką.

- To wielka radość widzieć was w dobrym zdrowiu. - Dziewczę zręcznie odbiera i chowa pas.

- Gdzie ona? - sapie Ochłop, wyciągając z rękawa cieniutką batystową chusteczkę i potrójny podbródek nią ocierając.

- Głównodowodząca już spieszy do was! - Dziewczę filuternie błyska oczkami.

I nie zdąża Ochłop odpowiedzieć swojego „dobra”, kiedy portiery z ciężkiego karminowego adamaszku kołyszą się i wpuszczają do przedpokoju malutką, szczupłą, niemłodą kobietę w niebieskim huzarskim mundurze.

- Dobrodzieju! Duszko!

- Kuno niebieska! - rozciągają się w uśmiechu grube wargi Ochłopa, obnażając zęby nowe, mocne.

- Upragniony! Wyczekiwany! - Głównodowodząca całuje pierścień Ochłopa, wysuwa do góry niebieskie wąskie wargi, unosząc się na cypelkach huzarskich butów.

- Witaj, huzarze-dziewico! - Ochłop całuje ją w niebieskie usteczka.

- Witaj, kochany! - Huzar-dziewica dzwoni ostrogami.

- Stęskniłem się.

- A jak my tęsknimy!

Bierze Ochłopa za pas huzar-dziewica maleńką rączką, ciągnie z przedpokoju.

- Mamy nowe świeżynki! Malinki ze śmietanką, a nie dziewczynki!

Ochłop przetacza się niezgrabnie.

- Sama wiesz, że ja lubię swoje, stare.

- Są i stare, są i nowe!

Gość i gospodyni przechodzą do salonu. A tam gra cicha muzyka, palą się świece i dwanaście dziewcząt w sarafanach i kokosznikach siedzi skromnie, oczy opuściwszy ku ziemi.

- Wchodź, gościu drogi, czuj się jak w domu. - Zawiadująca trzaska ostrogami.

Dziewczęta wstają, kłaniają się gościowi w pas.

- Witajcie, nadobne - uśmiecha się Ochłop.

- Bądź pozdrowiony, Iwanie Władimirowiczu! - odpowiadają chórem dziewczęta.

- Zastały się nasze kobyłki bez ciebie, umiłowany Iwanie nasz Władimirowiczu. - Gładzi huzar-dziewica ciężką dłoń jego. - Zasychają kraśne dziewczki, frasują się.

- Nie wierzę! - Ochłop kołysze brzuchem. - Albo to rdzenna szlachecka czy ziemską swołocz do was nie zagląda?

- Wszystkich wyгнаłam, wszystkim odmówiłam, mając wzgląd na ciebie, panie nasz!

- Znaczy się, szanujesz opryczników?

- A jakże to nie szanować sług monarszych? Na was się opiera mateczka Rosja!

- Zuch dziewczyna! No, chwal się!

Rusza wzdłuż kręgu dziewcząt głównodowodząca.

- Anfisię-pisię, Tanieczkę-wydymeczkę, Lonieczkę-pianeczkę, Polinkę-malinę i Galinkę-rypinkę znasz już, nasz dobrodzieju.

- Znam.

- A Anieczki i Agaszeńki nie znasz, to nasze świeżynki.

- Nie znam, pokaż.

Podprowadza huzar-dziewica dwie nowe, młodziutkie, zadziera im rąbki czerwonych sarafanów. A pod sarafanami - ciała młode, kształtne, słodkie.

- Zajrzyj tylko, nasz panie!

Patrzy Ochłop oczyma obrzękniętymi na zgrabne nóżki, gładkie kolanka, wzgórki łonowe porośnięte pierwszymi włoskami, okrągłutkie pępusie.

- Delikatne, czułe, zręczne! - zachwala towar swój gospodyni.

- Ładne - cedzi Ochłop.

- A to Ireczka-koteczka, a to Nataszczeczka-myszeczka, a to jeszcze jedna Ireczka-soczysta

szpareczka - świeżynka, saratowska, krew z mlekiem.

Podprowadza Ireczkę saratowską, zadziera jej sarafan. Młódka ma białe ciało, jest dorodna, pulchnawa, wielkooka, puciołowata. Zawiadująca obraca ją.

- Podziwiał, kochany nasz, jaką pupcię ma nasza Ireczka. Bułka maślana, a nie pupa!

Rozłożysta i biała jest pupa Irinki. Rozsuwa gospodyni pośladki białe.

- Zajrzyj no tutaj, kochany. Widzisz wilgotny kołaczyk dziewiczy?

- Widzę.

- Zakosztujesz - na wieki nie zapomnisz!

- Pokosztujemy - śmieje się Ochłop, oczyma pupę białą głaszcze.

Widzi huzar-dziewica, że podchodzi krwią trąba jego przyrodzenia, porusza się w portkach jedwabnych, powstaje jak róg.

- Ależ ty już się rozpałałeś, nasz panie! - Delikatnie gładzi, dotyka przez jedwab ręką maleńką, zręczną.

- Dziewczynki-ślicznotki, duszeczki-przyjaciółeczki, rozpałił się do was pan oprycznik! Śmieją się porozumiewawczo dziewczynki, mrugają do siebie figlarnie.

- Dawaj Lenkę-Tańkę, a na zakąskę tę soczystą.

- Twoje życzenie jest dla nas rozkazem i prawem, dobrodzieju.

- Dziewki, co chcecie pić? - Ochłop obejmuje Lenkę-Tańkę.

- Dla mnie szampańskiego. - Lenka szczypie go w brzuch.

- A dla mnie wody bżowej z rumem! - Tańka głaszcze potężny zad oprycznika.

- A co dla ciebie? - Ochłop bierze Ireczkę pod brodę.

- Nie wiem... nie zdecydowałam jeszcze.

- Coś ty taka niezdecydowana?

Głównodowodząca obejmuje Ireczkę za pulchne ramionka.

- Świeżynka jeszcze, dobrodzieju. Nie osądzaj surowo.

- Dobra, damy radę. No co, świeżynko, prowadź mnie!

Chociaż Ireczka-soczysta szpareczka jest tu nowa, rozumie, co znaczy „prowadź”. Rozpina rozporek na portkach oprycznika, wypuszcza jego zwierza na powietrze. Potężny jest zwierz krocza Ochłopa! Odnowiony przez biegłych mistrzów chińskiej medycyny, przedłużony, wzmocniony, z czterema chrząstkowymi wstawkami, z ostrą główką z hiperwłókna, z reliefowymi otokami, z mięsistą fałdą, z ruchomym tatuażem: tabun dzikich koni po pycie oprycznej galopuje!

Bierze Ireczka Ochłopa za kuchę, ciągnie do łożnicy. A dziewczęta pieśń intonują:

*Chodźmy razem, chodźmy, miły mój
Chodźmy razem, chodźmy, miły mój
Zadowalać cię zaczniemy,
Och, dogadzać ci zaczniemy.*

*Przyhołubimy białego łabędzia,
Popieścimy jasnego sokoła.
Oczka jasne, rączki czule,
Usta gorące, nienasycone.
Do burzliwej miłości skore.*

Prowadzi pulchnawa oprycznika za pytę. A Tańka-Lenka z tyłu go popychają. Idą korytarzem, do niebieskiej izby sypialnej podążają. Najulubiejsza to łożnica Ochłopa ze wszystkich czterech: niebieskiej, cytrynowej, szmaragdowej i różowej.

Gdy drzwi niebieskiej izby sypialnej stają otworem, wszystkie w niej zamieszkałe stwory „wesolutkie” śpiewają Ochłopowi pozdrowienie:

- Bądź pozdrowiony, umiłowany Iwanie Wołodimirowiczu!

Wtacza się Ochłop do łożnicy ulubionej. Rzuca się ku niemu całe „wesole” elektryczne tałatajstwo: golasy-okrągłasy, pełzacze, jazgotki, chichotki, dzierlice i bujaki. Znają, och, znają one Ochłopa Wielkiego! Ze zwyczajami i słabostkami oprycznika dobrze obeznane są ich mądre mózgi.

Śpiewają elektryczne, jazgoczą, chichoczą pożądliwie. Wyjmuje Ochłop ze swojej lewej kieszeni garść „nasionek” karmy, nowych, kryptonowych, świecących na niebiesko. Rzuca elektrycznym. Chwytają „nasionka”, połykają, nasycają się.

- Wielkie dzie-ę-ę-ę-ęki! - jazgoczą chórem.

Z prawej kieszeni wyjmuje Ochłop cukrową dzwonnice Iwana Wielkiego, wyłamaną z cukrowego Kremla. Rzuca „wesolutkim”. Chwytają ją, piastują, tańczą. I przynoszą tace rozmaite. A na tacach - szampan i woda bzoowa z rumem dla dziewczek, miód sycony borówkowy - dla gościa drogiego. Piją Tańka-Lenka szampana i wodę bzoową, sączy Ochłop miód swój z czaszy kryształowej. A Ireczka-soczysta szpareczka trzyma w rękach pytę opryczną, patrzy i uśmiecha się.

- Co się gapisz? A no już - pij z nami! - Ochłop chwyta ją za szyję białą, leje do ust miód krzepki.

Przełyka Ireczka borówkowy miód, dławi się. Przysysa się Ochłop wargami mięsistymi,

lubieżnymi do purpurowych usteczek Ireczki białopujej, gwałtem poi miodem. Drży na całym ciele Ireczka, potrząsa piersiami, pyty Ochłopa nie mogąc wypuścić.

Chichoczą Tańka-Lenka, Ireczkę za pupcię podszczypując. Jazgoczą, pojękują elektryczne.

- Zdemaskować! - wydaje komendę oprycznik.

W jednej chwili cichną wszystkie elektryczne, tańczą powolnie. Siada Ochłop w fotelu z czaszą, z chwostem sterczącym.

Cicha muzyka przygrywa. Rozbierają się dziewczynki pod muzykę wolno, wyginając się, oczko puszczając. Tańczą nagie, wypinają się, do Ochłopa zbliżają. Oplatają go rękoma, przywierają ustami. Rozbierają.

- Wyprowadzić!

Podchwytyją dziewczynki gołego Ochłopa pod ręce, prowadzą do łoża szerokiego, zasłanego niebieskim jedwabiem.

- Padnij!

Powalają dziewczynki oprycznika na wznak, gładzą rękoma delikatnymi, wpychają języki zwinne w spocone zakamarki ciała jego rozłożystego. Postępuje Ochłop z zadowolenia, pomrukuje, podryguje pytą sążnistą.

- Moździerz!

Pojawia się w tłumie „wesołych” moździerz miedziany z tłuczkiem. Kładą elektryczne cukrową dzwonicę Iwana Wielkiego do moździerza, miażdżą na puder cukrowy gwałtownie. Przekazują elektryczne moździerz z pudrem cukrowym dziewczynkom, kłaniają się. Obsypują dziewczynki pytę Ochłopa cukrowym pudrem. Dzwoni dzwoneczek w uchu oprycznika dźwiękiem dzwonnicy Iwana Wielkiego. Dziewczynki składają dyg cukrowej pycie. Uśmiecha się oprycznik.

- Na pal!

Siadają Lenka-Tańka na chwost cukrowy po kolei. I zaczyna się słodka egzekucja: jeżdżą Lenka-Tańka na chwoście, popiskując. A Ireczka w tym czasie jądra opryczne mile drażni, nabierając rozumu. Ożywają też „wesolutkie”: podpełzają, obwijają, głaszczą po swojemu, ostrożnie, bojąc się przeszkodzić.

Ochłop dochodzi. Pąsowieje ciasto mordy jego, napływają wargi jego krwią.

- Odpływ!!

Zeskakuje z chwosta jego Tańka, zwała się z piersi Lenka. Chwytają za pytę rękoma, a Ireczka jądra podtrzymuje. Pomagają dziewczynki gęstemu nasieniu optycznemu z pyty-trąby na zewnątrz się wyrwać. Ryczy Ochłop jak niedźwiedź, wierzga słupami nóg, tłucze dziewczki

po tyłkach. Strzela pyta jego do góry mętnymi skrzepami, jęczą dziewczynki współodczuwająco, zachwycają się wesołki elektryczne.

- Spokój... - dyszy Ochłop.

Zamierają wszyscy wokół. Brzmi kojąca muzyka. Mija czas niedługi i nową komendę wydaje oprycznik:

- Wyciąg!

Leje mu do ust Tańka wyciąg tybetański, wzmacniający, podaje czaszę z miodem. Popija Ochłop proszek, cmoka wielkimi wargami, oddycha swobodnie piersią wypukłą, dochodząc do siebie. Piją, popijają dziewczki. I nie zdąża śpiewak niewidzialny drugiej pieśni zaintonować, jak zaczyna się poruszać trąba Ochłopa.

Klaszczą w dłonie dziewczki podpite, popiskują elektryczne.

- Obciąż! - surowo żąda Ochłop.

Przypadają trzy dziewczynki do trąby, łechtają, polerują ją językami. Powstaje pyta opryczna od nowa. Zatrzymuje Ochłop wzrok na Ireczce białociałej.

- Ta!

Szykują Ireczkę koleżanki do siadania na słodkim palu: wtykają jej w pupę pigułkę rozluźniającą, smarują różowym smarowidłem, ażeby lżej jej było rozkaz wypełnić. Podtrzymują Ireczkę pod białe ręce, przymierzają, nakierowują, napierają delikatnie.

Siada Ireczka swoim kołaczykiem na pytę Ochłopa.

Ale pomimo zastosowania środków ostrożności - lekarstwa i smarowidła, jęk z ust dziewczynki się wyrzywa: już siła wielki chwost w obwodzie, siła guzowaty, siła ruchliwy dla dziewicy. Jęczy Ireczka, dławi się łzami, usteczka pąsowe zagryzając. Wspólniczki wszetecznicze ją podtrzymują, na ramiona spadziste napierają, głębiej pupcię nasadzając. Krzyk wyrzywa się z ust Ireczki.

- Przywykaj! - szczyrzy się Ochłop.

- Przywy-kaj! Przywy-kaj! - Dziewczynki poruszają ciałem Ireczki w górę - w dół.

- Przywyka-a-a-a-a-a-aj! - jazgoczą elektryczne.

- O-o-o-o-o-a-a-a-a-aj! - wykrzykuje Ireczka.

Rozpiera jej pupkę białą, rozklinowuje bezlitośnie. Chrapie Ochłop jak ogier rozplodowy, kołyszając się niczym foka, niczym lew morski na prześcieradle niebieskim. Podrzuca Ireczkę piszczącą. Ta jeno szuka okazji, by zbiec z pala kleistego, ale kumpelki nie puszczają, trzymają, za cycki białe w dół ciągną.

- Przywy-kaj! Przywy-kaj!

I przywyka białorybka saratowska, dopasowuje się. Już nie krzyczy więcej, jeno pojękuje.

Jeździ w tę i z powrotem. Rychło patrzeć - i całkiem przywykła. I już z ust się jej wyrzywa nie jęk bólu, ale - pożądania. Ireczkę prawie zamroczyło, że nagle cała drętwieje i odlatuje. Popiskuje, trzęsie się, jak w padaczce, cycusie swoje ściskając.

- A-a-a-a-a-a-a-a-m-m-m-a-a-a-a!

Nie wytrzyma też Ochłop, wybuchając:

- U-a-a-a-a-ahria-ja-ja-ja-ja!

Dziwią się słodko Tańka-Lenka:

- Kli-i-i-i-ncz!

Walą się na wznak elektryczne:

- Rozko-o-o-o-o-osz!

Wali Ochłop dziewczynki po tyłkach, szczypie, ryczy. Wyje Ireczka na palu. Dziewczynki ją wspierają.

Tak mija czas...

Po północy, chwiejąc się i potykając, opuszcza Ochłop dom rozkoszy. Odprowadzają go dziewczynki w sarafanach i kokosznikach, pod ręce podtrzymują, śpiewają:

- Nie żegnaj się z nami, sokole jasny!

Głaszcze huzar-dziewica chwest, usypiający w portkach:

- Nie zapominaj!

Żwawy Tatarzyn pomaga Ochłopowi zasiąść w mercu:

- Szczęśliwej drogi!

Warczy merc, mruga czerwonym okiem, odjeżdża. Machają doń dziewczynki chusteczkami.

- Bądź pozdrowiony, opryczniku monarszy!

Chlupino

Krowa znów zamuczała, majtnęła czarno-białą głową i chlasnęła Saszę brudnym ogonem.

- A stójże ty, bodaj cię pokręciło, przebrzydła! - wykrzyknęła Sasza, kopnęła kolaniem krowę w niezbyt wielgachny kałdun. - Ażesz ty gadzino jedna, żebyś się tak rozpękała...

Sasza wysmarowała krowie wymiona oxyfoamem, zręcznie usadziła na nie „karuzelę”, włączyła. Dojarka bankowa „karuzela” zawarczała, krowa zamuczała, uderzyła ogonem.

- Stój, gadzino, stój, a bodaj cię! - Sasza złapała krowę za kłęb, szturchając w bok kolaniem.

Krowa z niezadowoleniem zamuczała.

- A stójże ty, Córo, Córo, Córeńko... - Sasza zaczęła głaskać ciepły kłęb krowy.

Krowa z niezadowoleniem muczała od czasu do czasu, głośno dysząc.

- Nie boli cię, czego ty stajesz okoniem? - Sasza głaskała krowę.

Krowa muczała i głośno dyszała, przestępując z nogi na nogę po chlupoczącym, przykrytym słomą gnoju.

Trzy pozostałe krowy, już wydojone przez Saszę, stały obok, przeżuując siano.

- No i dobra... - Sasza zajrzała krowie pod brzuch, poprawiła przezroczysty, wypačkany gnojówką szlauch od „karuzeli”, w której pulsowało mleko. Wyprostowała się, wytarła rękawem waciaka pot z czoła.

- No i dobra...

Aparat udojowy zapiszczał „koniec” i wyłączył się.

- Nic a nic - Sasza kucnęła, zaczęła zdejmować „karuzelę” z wymion. - Boszsze, no i kiedy ta wiosna się skuńczy?

Podchwyciła „karuzelę”, poszła nierównym poszyciem, pociągnęła za sobą szlauch. Krowa zamuczała.

- Boszszez... - Sasza przypomniała sobie o sianie.

Powiesiła okapującą mlekiem „karuzelę” na przegrodzie, podeszła do sąsiedka, nabiła na widły siano, przyniosła, położyła przed krową. Postawiła widły pod ścianą, zaczerpnęła z kobiałki grubej soli, poproszyła siano.

- Żryj... - Klepnęła krowę po boku, złapała „karuzelę”, zamotała, złapała szlauch i wylazła z obory, po czym zamknęła na skobel obite pilśnią drzwi.

Na tylnym podwórzu było mokro i błotniście. Z szarego porannego nieba padały wielkie płatki mokrego śniegu. Kamrat wysunął z budy kosmatą mordę i ponuro obserwował Saszę. Zwijając brudny, ciągnący się po podwórzu od chałupy do obory szlauch, Sasza podeszła do tylnego ganku, otworzyła drzwi, wtaszczyła szlauch do skąpo oświetlonej sieni i od razu wepchnęła go do beczki z wodą, wieszając „karuzelę” na brzegu beczki. Zrzuciła brudne buty z cholewami, w wełnianych skarpetkach podeszła do drzwi izby, w której zniknął ciągnący się po podłodze czysty koniec szlauchu, otworzyła, weszła.

W izbie było czysto, ciepło i jasno dzięki wiszącej nad stołem lampie jarzeniowej. W dużym rosyjskim piecu trzeszczały drwa. W kojcu koło pieca stało dwoje cieląt. Ujrawszy Saszę, zamuczały wysokimi głosami. Szara kotka szybko zeskoczyła z przypiecka, rzuciła się Saszy pod nogi, zaczęła się ocierać. Sasza lekko trąciła ją nogą.

- Wynocha...

Zrzuciła waciak, powiesiła go na haku przy drzwiach. Wsunęła nogi do krótkich rozdeptanych walonków. Opłukała ręce z błota w umywalce, wytarła nieświeżym ręcznikiem. Zaczepnęła czerpakiem wody ze stojącego na ławeczce wiadra, łąpczywie wypila. Uspokoila oddech.

- Łoj, matulu kochana...

Zajrzała do pieca. Długim pogrzebaczem poprawiła palące się drwa. Podeszła do stojącej w kącie wirówki, nacisnęła guzik, popatrzyła na wskaźniki.

- Nic a nic.

Z kranika nacedziła mleka do dwóch litrowych butelek, naciągnęła gumowe smoczki, dała cielakom. Te zaczęły ssać, wytrzeszczając fioletowe oczy.

- Starczy. Jutro wysyłam was do matek - obwieściła im Sasza. - Tera już nie taki ziąb. A bośta mnie tu wszystko zasrali i zaszczali, kosmonauty...

Cielęta ssały, mlaskając, wyciągając szyje. Kotka znów podeszła, zaczęła się ocierać o nogę Saszy. Czekać, kiedy cielęta się nassą, Sasza pomyślała o śmietanie: „Sześć porcji jakoś tam wyjdzie, skrzynkę skończę... powinno wyjść sześć... albo pięć... nie, sześć... dobrze, jakby sześć, żeby dziś od razu wysłać... A bo to tera jeno w poniedziałek... wyjdzie sześć albo nie... może i to nie starczyć...”.

Kiedy w butelkach zostało już niewiele mleka, Sasza zabrała je cielętom, zdjęła smoczki, naląła kocicy do miseczki.

- Na, rzepie ty...

Kotka miauknęła, rzuciła się do miski i zaczęła szybko chleptać mleko.

- No i dobra... - Sasza opłukała butelki w umywalce, postawiła na półce.

Wsypała do małego saganka szklanekę kaszy gryczanej, dołała wody, dodała szczyptę soli, dołożyła łyżkę topionego masła, nakryła okopconą żeliwną pokrywką, zahaczyła saganek małym uchwytem, wsunęła do pieca. W dużym saganku leżały w wodzie od wczorajszego wieczoru obrane i pokrojone ziemniaki, marchew i dwie cebule. Sasza wyszła do sieni, wyciągnęła ze spiżarni puszkę chińskiej wieprzowej tuszonki, przyniosła do izby, otworzyła nożem do konserw, wrzuciła do dużego saganka. Dodała liść laurowy i sól, złapała saganek dużym uchwytem i też wsunęła do pieca. Pogrzebaczem poprawiła dopalające się drwa.

- No i dobra...

Włączyła wirówkę. Wirówka zawarczała.

Sasza rozpakowała nową paczkę, wyjęła sześć kubeczków ze srebrzystego plastiku i sześć pokrywek z „żywym” obrazkiem: ruda krowa wesoło mruga wielkim czarnym okiem, potrząsa łbem, wokół którego tłustym drukiem wybuchają purpurowe litery: ŚMIETANA CHLUPIŃSKA, 15%.

Rozstawiwszy kubki na stołeczku, poczekała, aż wirówka przestanie ubijać i piśnie, migając zielonym światełkiem.

- To do roboty! - Sasza podstawiała pierwszy kubeczek pod kranik i nacisnęła czerwony przycisk. Kubek napełnił się śmietaną. Sasza podstawiała następny. Śmietana niczym biały robak wypełzła z kranika.

- No, kochana, dawaj, moja droga... - Sasza napełniała kubeczki.

Napełniwszy piąty, podstawiała szósty, wznosząc modły do nieba:

- No, Jezu, dopomóż, Boszsz, wola Twoja...

Warząc, wirówka napełniła też szósty kubeczek.

- Boszsz! - radośnie zaśmiała się Sasza i podstawiała pod nasadkę szklanekę musztardówkę.

Wirówka wycisnęła pół szklanki śmietany i wyłączyła się.

- Ech, zuch dziewczyna, no, jak ta lala!

Sasza pocałowała półokrągłe metalowe wieko wirówki, włączyła spust. W przezroczystym szlauchu, ciągnącym się do drzwi, zaszemrał mętnawy odstój.

Sasza wzięła „pistolet”, zalepiła sześć kubeczków srebrzystoniebieską folią, zamknęła wieczkami i przyciskając je do piersi, zaniósła do spiżarni.

- No i dobra...

W spiżarni na beczce z kiszoną kapustą leżała plastikowa deska, na desce stało pudło z dokładnie taką samą mrugającą krową z boku. Sasza otworzyła pudło. Stały w nim ciasno kubeczki ze śmietaną. Brakowało dokładnie sześciu. Sasza wstawiła kubki do pudła,

zamknęła je, zakleiła szeroką taśmą klejącą, nabiła kod, zaznaczyła datę: 19.03.2028.

- Tyle! - Sasza wróciła do izby, wzięła ze stołu gadaczkę dalekiego zasięgu, włączyła, wybrała numer.

Dalekogadaczka pisnęła, wybuchła maleńkim niewyraźnym hologramem: chłopak z zaspaną twarzą podniósł głowę z poduszki.

- Czegój?

- Spisz? - spytała Sasza.

- Sasza... - Chłopak uśmiechnął się, ziewnął, przeciągnął się. - A bo ja tego... Wczoraśmy z wieczora z Anikinami zabalowali.

- No, no. Kiedy pojedziesz do miasta?

- Dzisiaj trza...

- Naprawdę?

- Yhy.

- Weźmiesz ode mnie pudło?

- Pudło? No.

- Kiedy pojedziesz?

- No... A która to godzina? Oj, dziewiąta, ożeż ty...

- Dziewiąta.

- A mnie trza na dziesiątą. Zara zajadę, Sasza.

- No dobra.

Sasza zgasiła hologram, wyłączyła dalekogadaczkę. Zajrzała do pieca, poruszyła węgle pogrzebaczem, podsunęła pod saganki. W pomarańczowych węglach uparcie paliła się jedna niedopalona głównia.

- A no, pełnij no tu, zmijno... - Sasza wygrzebała głównię z pieca na blaszaną podstawkę, zamknęła piecową gardziel blaszaną zasłoną, sięgnęła do góry, wsunęła szyber do regulacji cugu w kominie.

Zsunęła półwalonki, wzięła buty z cholewami, kutymi szczypcami schwyciła wciąż jeszcze płonąca i kopcają głównię, wyszła do sieni, zrobiła kilka kroków, skierowała się na prawo, wyszła na ganek i od razu ciepnęła głównię do ogródka, w leżący tam brudny śnieg.

- Wynocha...

Głownia zasyczała.

Sasza popatrzyła z ganku na nieliczne chałupy wsi. Ludzi nie było widać. U Kopyłowów, u Sotnika, u Muchy i u Pietucha paliło się w piecach. Koło pochylonej chałupy Gudilichy chodziły kury i świnia. Nad niedalekim lasem krążyło stado wron.

Sasza zeszła z ganku, poszła po deszczułkach obok ogrodu do komórki. Obeszła komórkę, weszła do wychodka. Było w nim mroczno i pachniało odmarzniętym gównem. Sasza podniosła spódnicę, ściągnęła rajtuzy, spuściła wełniane majtki. Strumień jej moczu bryznął w dół, zaszemrał. Sasza ściągnęła z gwoździa pociętą na czworo gazetę „Ruś”, podniosła do twarzy, przeczytała fragment tytułu „...GNIĘCIE WIELKICH WNIOSKÓW”. Pod tytułem była twarz ministra Wydobycia z przystrzyżoną bródką. Gazeta drukowana była w powiecie i nie miała „żywych” obrazków, jak taka sama gazeta drukowana w stolicy.

Sasza oddała mocz, podtarła się kartką z ministrem, cisnęła ją w dół, wstała, podciągnęła majtki z rajtuzami, wyszła z wychodka. Nad jej głową nierówno przeleciała sroka. Sasza nabrała w komórcie naręcze drew i niosła je do chałupy, ostrożnie stąpając po tonących w błocie deszczułkach. Weszła na ganek, pchnęła drzwi prawym bokiem, przeszła do sieni, weszła do izby i od razu zwała drwa koło pieca, wybrała trzy najgrubsze polana, wsunęła na piec, żeby się podsuszyły. Otrzeпаła sweter, zmieniła buty na półwalonki, spojrzała na cielęta. Te, opiwszy się mleka, leżały na słomie, żując maleńkimi śmieszными mordkami. Sasza wzięła szklankę z resztą przed chwilą spuszczonej śmietany, dużą łyżkę, siadła na ławie pod oknem. I spoglądając na zarośnięte geranium okno, zjadła śmietanę.

Za oknem przez ten czas nic się nie wydarzyło.

Sasza postawiła pustą szklankę na skraju stołu, oblizała łyżkę, włożyła do szklanki. Kocica zaczęła się ocierać o jej nogę.

- A ty żeś się dopierutko co najadła! - Sasza odsunęła zwierzę nogą.

Na tylnym podwórku zaszczekał Kamrat. Dało się słyszeć warczenie motocykla i Sasza dostrzegła przez geranium podjeżdżającego Wanię.

Wstała z ławki, wyszła na ganek. Oparłszy się, jak zawsze, o płotek ogródka, Wania zgasił motor i zsiadł z trójkołowego motocykla z obszerną srebrzystą skrzynią z napisem „KURZY ŚWIAT”.

- Aleś się prędyutko uwinął! - Sasza uśmiechnęła się, kuląc się od nagłego porywu mokrego wiatru i obejmując się za łokcie.

- Dla mnie zebrać się szybko to jak splunąć! - Wania uśmiechnął się do niej drobnymi zębami z papierosowym osadem.

Otworzył bagażnik i swoim kaczym chodem ruszył do Saszy, chlupiąc błotem.

- A bo ja to myślałam, że w poniedziałek pojedziesz.

- Nie pojedę. Nikt mnie nie zmusi. - Wszedł na ganek, stanął przy Saszy i nie przestając się uśmiechać, popatrzył jej w oczy.

- Znaczy się, szczęściara ze mnie. - Sasza otworzyła drzwi i przepuściła gościa do sieni.

- Szczęściara, jak nic.

Wania wszedł do sieni, zgrabnie otworzył spizarkę, wziął zapieczętowane pudło, zaniósł do motocykla. Sasza poszła za nim.

- Myślałam, że nie zbieram, ale zbierałam, dzięki Ci, Boszsze.

- A co, cielaki wyssały?

- I puste to mliko, wiosna przecie.

- Wiosna, wiadomo.

Wania włożył pudło do bagażnika, zamknął zabryzgane blokiem drzwiczki. Wytarł ręce o waciak, spojrzał Saszy w oczy.

- A poczęstujesz herbatą?

- Herbatą? - Sasza uśmiechnęła się.

- Matka w piecu jeszcze nie napaliła, a generator zdechł, oleju nie ma.

- Poczęstuję.

Sasza poszła w stronę ganku, rozejrzała się na boki.

Wania ruszył jej śladem. Wlazł za Saszą do chałupy, zdjął kaszkiet, przeżegnał się w stronę ikon, powiesił kaszkiet na haku, przyglądał rzadkie rozczochrane włosy. Kiedy Sasza nalewała wodę do kociołka, on usiadł przy stole, położył przed sobą smagłe, zaciśnięte w pięści dłonie z dużymi wypukłymi paznokciami, rozejrzał się.

- Tydzień temu przewieźłem dwa kanistry. A rano - myk, myk i ani ździebka...

- Życie jak w Madrycie. - Sasza postawiła przed nim kubek, włożyła do niego torebkę herbaty, usiadła naprzeciw.

- Bo matka ciągiem jeno patrzy w bańkę, ogląda o sierotce.

- *Alewtinę?*

- No.

Iwan patrzył na Saszę. Ta westchnęła, spojrzała w okno.

- A ja to jeno wiadomości obglądnę, a i to nie co dzień.

- A ja to tego w ogóle nie oglądam.

- Boś nie tłumok.

Sasza znów spojrzała w okno. Zegar ścienny z wagami pisnął na dziewiątą trzydzieści.

- Nie spóźnisz się? - Sasza rzuciła okiem na zegar.

- A! - Wania machnął pięścią. - Poczekają. Znaleźli sobie popychadło.

Woda się zagotowała. Sasza wstała, przyniosła, wlała wrzątek do kubka.

- A ty nie popijesz? - Iwan wyjął z kieszeni papierowe zawiniątko, zaczął rozwijać.

- Już piłam.

- A ja ci gościniec przywiezłem.

Wania rozwinął papier. Była w nim Wieża Kutafia z cukrowego Kremla.

- Ale. - Sasza postawiła garnek z wrzątkiem na stole, wzięła wieżę. - A skund?

- Szwagier przywiózł.

- Dobrutka.

- Umia robić. - Wania patrzył na Saszę. - Daj nóż.

Sasza wysunęła wąską szufladę stołu, wyjęła i podała Iwanowi duży kuchenny nóż z drewnianą wytartą rączką. Iwan wziął od niej wieżyczkę, położył na swojej lewej dłoni, wziął rozmach i rozłupał wieżę na dwie części. Podał połówkę Saszy, cukrowe okruszki wsypał sobie do ust.

- Siadaj, popij.

Sasza nalala sobie wrzątku, włożyła herbacianą torebkę, usiadła, zamieszała łyżeczką. Wania zamaczał swoją połówkę wieży w herbacie, possał, odgryzł. Popił herbatą. Sasza zanurzyła swoją połówkę w herbacie, possała, popiła. Spojrzała w okno. Wania gryzł cukier, patrząc na Saszę.

- Szwagier, ten z Medyni, baję nową o monarszej synowej słyszał - powiedział, głośno siorbiąc herbatę.

- O Nastionie?

- No. Znaczy się, na Kremlu jest ślicznota, trzy pudy gówna na niej się klei, jak się pokłoni - pół puda odpada, jak se lezie jak paw...

- Dwa narastają.

- Jużś słyszała? - zaśmiał się Wania.

- Słyszała.

- Jak paw, co? - śmiał się Wania, mrugając porozumiewawczo.

- A co se ma nie chodzić jak paw? Przecie krów nie będzie doić.

- No doić to nie będzie. Za nią podoją.

- I podoją, i wszystko zrobią.

- Ano.

Milczeli, siorbiąc herbatę. Nagle zadzwoniła leżąca na stole gadaczka dalekiego zasięgu. Pojawił się maleńki, niewyraźny hologram: twarz staruchy w chustce.

- A to chto tam? - zapytała starucha, mrużąc oczy.

- Hipopotam! - żartobliwie odpowiedziała Sasza, dalej posiorbując herbatę. - Do kogo dzwonicie?

- Nastia?

- Żadna Nastia. - Sasza uśmiechnęła się.
 - Nastia siedzi na Kremlu! - dodał Wania.
- Zaśmiali się oboje z Saszą. Starucha znikła.
- No i czego ty sobie nie ustawisz „Tęczy”? - spytał Wania.
 - Na kiego grzyba mi ona?
 - No jak to... wszystko duże. I widać lepiej.
 - I tak się obejdzie.

Sasza patrzyła przez okno, ssąc cukier i popijając herbatą. Wania spoglądał na Saszę. We wsi zaszczeły dwa psy. Kamrat zawarczał, potem zaszczeł. Psy wyszczeły się, umilkły. Kamrat poskomlał, popiszczął. Potem też zamilkł. Przeleciał samolot.

- W milczeniu dopili herbatę i zjedli wieżę.
- No dobra. - Wania potarł sobie kolano. - Będę się zbierać.
 - Jedziesz? - Sasza wstała.
 - Jadę - uśmiechnął się. - Dziękuję za herbatę.
 - A naści.

Wania wstał, poszedł do drzwi, zdjął z haka kaszkiet, włożył na głowę, zsunął do tyłu. Otworzył drzwi, wszedł do sieni. Sasza wyszła za nim. W półciemnej sieni Wania nagle się odwrócił, niezgrabnie objął Saszę. Sasza stała nieruchomo.

- Myślisz, że jak ten buhaj? - spytał.
- A co ja ta myślę - westchnęła Sasza.

Wania spróbował ją pocałować, ale odsunęła usta.

- Obraziłaś się? - spytał Wania, trzymając ją za policzek.
- Niczegoj się nie obraziłam.
- A czegoj?
- Niczegoj.

Postali chwilę. Wania trzymał Saszę za policzek. Na tylnym podwórzu zawarczał Kamrat.

- Sasza.
- Czegoj?
- Może ja dziś przyjdę?
- Jak se chcesz.

Wania znów spróbował ją pocałować. Sasza znów się odsunęła.

- Czegoj ty... tego... - Głaskał jej policzek. - Czegoj ty tak?
- Niczegoj.
- Może ty z Fiodorem tego?

- Nie.

- Dzwoni?

- Dzwoni.

Wania westchnął.

- Jedź. Bo się jeszcze spóźnisz - odezwała się Sasza. On głaskał ją po policzku.

- No, przyjdę?

- Jak ta se chcesz.

Uśmiechnął się w półmroku, odsunął się, poprawił kaszkiet.

- Dobra.

Odwrócił się, wyszedł z sieni na ganek. Drzwi się za nim zamknęły. Sasza dalej stała w sieni. Podeszła do drzwi spiżarki, dotknęła drewnianej zasuwki-rygla.

Słysząc było, jak Wania, kaszląc, podszedł do motoru, odpalił. Kamrat zaszczekał. Sasza pociągnęła zasuwkę do góry. Motocykl odjechał. Kamrat przestał szczekać. Sasza odciągnęła zasuwkę na lewo.

Cielak w izbie zamuczał ciekim głosikiem.

Niełaska

Ślepa, szara, gęsta mgła poranna, jesienna rozlała się na skraju Traktu Jarosławskiego. Ciekły zegar na desce rozdzielczej „kapnął”: ósma szesnaście. I od razu krąg słoneczny wielkości kopiejki zapalił się na zegarze, przypominając, że gdzieś tam, na wschodzie, na prawo od pędzącej drogi, za zasłoną jesienną podmoskiewskiej mgły, za popielatą pleśnią chmur, poprzekłuwanych migającymi dziurawymi sosnami, za żalonymi kluczami odlatujących ptasich stad i deszczową mokrzycą wstaje też prawdziwe, żywe rosyjskie słońce. I zaczyna się nowy dzień - dwudziesty trzeci października dwa tysiące dwudziestego ósmego roku.

„Lepiej, żeby się nie zaczynał...” - pomyślał Komiaga, wyjmując papierosa, i od razu na głos zarzucił sobie tchórzostwo:

- A daj spokój. Nie umieraj, opryczniku, wcześniej od śmierci.

Tak zwykł mawiać Ojczulek w przełomowych chwilach. Jego powiedzonko. Pomagało. Czy mówi tak też i teraz, w oną fatalną minutę? A może milczy? A fatalna chwila ciągnie się i ciągnie, sączy się kroplami słonymi, w godzinę fatalną nabrzmiewając, narastając. Wreszcie nakapała godzina, przelała się przez brzegi, a po godzinie - i dzień fatalny wtoczył się, napłynął, niczym fala morska. Zwaliła fala frontalna z nóg, powlokła ze sobą, połknęła. Czy można mówić, będąc słoną falą nakrytym?

- Czy dadzą mówić, oto jest pytanie...

Zbliżył Komiaga rękę z papierosem do deski rozdzielczej, strzelił płomień zimny, podpalając koniuszek. Zaciągnął się dymem kojącym, wypuścił go przez wąsy. I odwrócił kierownicę uległą na prawo, skręcając z traktu. Popłynęły spirale estakad z mnogimi porannymi samochodami, zamigały wieżowce, potem zaczął się las i ziemskie ubogie wioski, nieurodzajne pola, szczekanie psów za krzywymi płotami, koty wychudzone na bramach rozchwierutanych, koguty ochrypnięte w łopianach, rzepikach. I już - nowy skręt w lewo, brzeźniak, porzucone domostwa, pogorzelsko, trzy zardzewiałe chińskie traktory, wioszczyzna „nowa”, dziedziczna, zamożna, za nią następna, młody las sosnowy, potem stary, zaorane pole, jeszcze jedno pole, i jeszcze, i jeszcze, łuk - zakrętas wokół stawu z kaczkami i jedną jedyną gęsią, wieża strażnicza, podszycie ze śladami świeżego wyrębu, zielone ogrodzenie, solidne, państwowe, z niegasnącym strażniczym promieniem nad nim, brama mocna, pięciometrowa.

Komiaga przyhamował.

Zmrużyło się zielone oko bezpieczeństwa nad bramą, odpowiedział mu trzema niebieskimi błyskami-iskrami czerwony merc oprycznika monarszego. Drgnęły wrota, rozsunęły się na boki. Merc pojechał dalej, prostą, opadłymi liśćmi usianą drogą poprzez las wiekowy, gęsty, nietknięty, lekką mgłą okutany. Wiorstę dalej rozstała się dąbrowa, zamigala lipowa aleja, błysnęła oranżeria, wyłoniła się fontanna w otoczeniu rzeźb białomarmurowych i jałowcowych stożków, kul, piramid, rozpostarł się wiecznie zielony trawnik z licznymi lejami po pociskach i starym dębem, rozszczepionym przez bezlitosne trafienie bezpośrednie, i napłynął biało-różową podkówną w rozkoszonym przepychu terem okolicznego, byłego wielmoży „w przypadku”, a ninie już trzy miesiące i osiem dni będącego w niełasce Kirilla Iwanowicza Kubasowa.

Komiaga zajechał pod frontowy ganek, zgasił motor o mocy czterystu koni mechanicznych, pojechał do góry przezroczystry dach merca. Podczas gdy oprycznik wysiadał z merca swojego wiernego, po stopniach ganku starszy lokaj do niego przydreptał.

- Najpokorniej witamy w naszych progach, Andrieju Daniłowiczu, najpokorniej witamy, ojcze!

Ma już swoje lata lokaj, ale obrotny jest, i postawny w swej złocistooliwkowej liberii, z siwymi bokobrodami i piękną wypielegnowaną gębą.

- Witaj, Potap - ponuro odpowiedział Komiaga, rzucając śludze papierosa.

- Dawniusio nie raczył pan nas nawiedzić, oj, dawniusio! - Stary lokaj pokręcił swoją dużą głową. - Dozwoli pan, że pański samochodzik odprowadzimy do garażu.

- Ja nie na długo. - Komiaga obciągnął swój czarny kaftan.

- Przed wronami psią główkę trzeba schować. Migusiem rozdziobią!

- No, schowaj... - Komiaga zmrużył oczy, patrząc na okna domu, wygładził swoją gustowną bródkę i zaczął wchodzić po schodach szerokiego ganku.

- Filka! - rozkazującym głosem burknął starszy lokaj do swojej głośnomówiącej gadaczki, pospieszając za Komiagą. - Nuże, sprzątnij samochód pana oprycznika!

A sam batystową chusteczką kurz z pleców Komiagi strząsnąć się spieszy.

- A bo to wroniszcza się ninie rozpleniło, ojczulku, że coś strasznego! Czarne chmury! Krążą i paskudzą, krążą i paskudzą...

- Wrony? Skąd? - spytał Komiaga z porannym nerwowym ziewaniem.

- Z pól leżących odłogiem, a skąd by jeszcze, ojczulku, Andrieju Daniłowiczu? Wszak ci teraz wszystko jeno pod ugory zaorane do samiuśkiego Bołszewa. Ziemsy teraz oziminy nie siali, bo nowego prawa odrobku pańszczyźnianego wyczekują. Żeby, znaczy się, każdemu ze

swoją parcelą zezwolił Monarcha swobodnie na nadziały odchodzić albo zaprzęgać się do rdzennych. Jeno dziedziczni i Chińczycy teraz posiali. Tak to u nas w Podmoskwiu!

„Nowe prawo odrobku pańszczyźnianego... - posepnie pomyślał Komiaga, patrząc zmęczonymi po bezsennej nocy oczyma na drzwi z kuloodpornego szkła, płynnie się przed nim otwierające. - Stara śpiewka. I co nas teraz czeka?”

Drzwi otworzyły się szeroko. I od razu rozświetlił się cały potężny przedpokój ze spiralnymi kolumnami, z żyrandolem w kształcie palmy egipskiej, z rzeźbionym sufitem, z mozaikową kamienną podłogą, z lwami „żywymi” z białego marmuru, z dwoma roslymi odzwierciedlającymi w takiej samej jak Potap złocistooliwkowej liberii.

- Gdzie pan? - Komiaga rzucił kaftan i czapkę z czarnego aksamitu z sobolim otokiem na rękę Potapa.

Został w czerwonej kurtce ze złotogłowi, przepasanej oprycznym pasem z nożem w miedzianej pochwie i pistoletem w drewnianej kaburze. Przesunął dłonią po głowie, przyglądając włosy, nie zaczepiając przy tym o utrefiony, pokryty złotym pudrem czub.

Ryknęły marmurowe lwy. Komiaga mrugnął do nich surowo, ziewnął z przygnębieniem.

- No, gdzie Kirill?

- W wodusi pływać raczą. - Potap przekazał ubranie oprycznika garbusowi garderobianemu, a sam podreptał po marmurze, wyprzedzając Komiagę. - Teraz każdego ranka już więcej miesiączka jako ojczulek nasz serdeczny, daj mu Panie Boże zdrowie, znów wodusię zimniutką polubił!

„Pływa, tłścioch mięsisty... - zawistnie pomyślał Komiaga, posepnie unosząc brew. - Tu się wszechświat za chwilę zawali, ziemia się trzęsie, a oni sobie w wodusi raczą pływać”.

Ruszył Komiaga w ślad za starym lokajem przez amfilady, wysokimi, podkutymi butami o parkiet intarsjowany, mozaikowy, łomocząc. Przeszli jedną salę, przeszli drugą, zeszli w dół - i jest, komnata kąpielowa: obszerna, ozdobiona malowidłami, z falami morskimi, ze skałami, z marmurowymi figurami. W wodzie pływało, walcząc z falami, troje nagich ludzi - okolniczy Kubasow i dwie jego nałożnice, siostry Am i Niet.

- Andriej! - okolniczy donośnym basem powitał wchodzącego.

- Kirill! - Komiaga uniósł prawą rękę, przycisnął do okrytej złotogłowie piersi, skłonił głowę.

- Andriej! - Kubasow prysnął na oprycznika wodą, ale go nie dosięgnął.

- Kirill. - Komiaga uśmiechnął się z trudem.

- Wskakuj do nas! - Grubiutki okolniczy bujał się na fali.

- Woda wielce chłodna. - Komiaga spojrział na termometr.

- Piętnaście stopni! Wskakuj, ożywi cię! - Kubasow znów plusnął wodą i trafił.

- Nie, kochany. - Komiaga strząsnął krople wody ze złotogłowiu.

- Ach ty, nudziarzu! - zaśmiał się Kubasow. - Dziewki, nurkujemy!

Wszyscy troje zanurkowali. Pod wodą miniaturowe Am i Niet pochwyciły grube nogi okolniczego, przywarły do nich i pchały, pchały okrągłe ciało wielmoży naprzód, jak minę morską, zaciekle pracując nóżkami. Kiedy tak przepływali całe pięćdziesięcioarszynowe kąpielisko, Komiaga zdążył usiąść w wyplatany fotelu, wyciągnąć papierośnicę i zapalić papierosa.

- Uach! - Kubasow wynurzył się i zaczął łapczywie oddychać, kołysząc się na falach.

Am i Niet podtrzymywały go.

- Oj, bo umrę... oj, nie mogę... - dyszał Kubasow.

- Nie wiedziałem, żeś ty taki nurek morski - uśmiechnął się ze zmęczeniem Komiaga.

- Oj, bo umrę... oj, dobrze... - Kubasow głośno wysmarkał się do wody, Am i Niet otarły mu twarz.

- Starczy. Na brzeg! - zakomenderował.

Nałożnice podepchnęły go do schodków. Zaczął wydobywać swoje dziesięciopudowe ciało z wody, Am i Niet podpychały go za monstrualne pośladki.

- Na brzeg, na brzeg... - mamrotał okolniczy.

Podskoczył łąziebny Wańka, pomógł, podchwycił pod potężne łapsko, podał czerwony szlafrok z żyworodnego mechatęgo lnu.

- Won mi stąd! - Kubasow tupnął mokrym nożyskiem i Wańka znikł.

Am i Niet wyskoczyły z fal i odziały okolniczego w szlafrok.

- Fuch... jak w raju... - rzekł basem Kubasow, podchodząc do Komiagi.

Komiaga wstał.

- No, witaj, opryczniku. - Kubasow uśmiechnął się nalaną, poczerwieniałą, wilgotną twarzą.

- Witaj, okolniczy. - Komiaga uśmiechnął się w odpowiedzi, szykując się, by objąć Kubasowa i odsuwając na bok rękę z papierosem.

Kubasow odczekał chwilę, uśmiechając się. I nagle, biorąc krótki zamach swoim łapskiem, wymierzył Komiadze potężny policzek. Głośne plaśnięcie popłynęło po sali kąpielowej, odbijając się od mozaikowych ścian. I jakby wywołane tym dźwiękiem, w jasnej przestrzeni kąpieliska pojawiły się ciemne sylwetki ochroniarzy okolniczego.

Komiaga cofnął się, papieros wypadł mu z palców. Oszołomiony, złapał się lewą dłonią za policzek, jakby sprawdzając, czy przypadkiem nie odpadł.

Kubasow podszedł do niego blisko, dotykał go brzuchem. Ciężka twarz jego w jednej chwili stała się groźna, nieprzenikniona, wargi zacięły się surowo.

- Po coś przyjechał? - głucho spytał.

- Kirill... - wymamrotał Komiaga.

- Po coś przyjechał?! - Kubasow chwycił Komiagę za ramiona, potrząsnął.

Złoty dzwoneczek w uchu oprycznika cienko zabrzęczał. Ale nawet ten dobrze znany dźwięk nie wyprowadził Komiagi z odrętwienia.

- Kirill... Kirill... - Skonsternowany marszczył gęste brwi. - Kirill!

- Kto ty jesteś?! Kto? - Trząśł nim Kubasow.

- Jestem... Komiaga.

- Kto ty jesteś, do kurwy nędzy?! Odpowiadaj!

- Komiaga.

- Kto?! Kto?! - krzyczał okolniczy, potrząsając nim.

- Twój przyjaciel!! - nagle wykrzyknął Komiaga, tak że okolniczy znieruchomiał.

Komiaga odepchnął jego ręce. Twarz oprycznika pobladła, ale lewy policzek nabiegał czerwienią.

- Twój przyjaciel! Andriej!

Kubasow wbił w Komiagę maleńkie, rozeźlone oczka.

- Po coś przyjechał? - spytał szeptem.

- Ojczulek aresztowany.

Kubasow patrzył na niego uważnie. Nalana twarz miał skupioną, oczka zmrużone. Obliznął mokre wargi. Gwałtownie chwycił Komiagę za rękę i odwrócił się, ciągnąc go za sobą.

- Idziemy!

Komiaga ruszył za nim, potykając się i mamrocząc:

- Nie to, że aresztowany, a jeno z rozkazu Monarchy zatrzymany na dobę do wyjaśnienia.

Na czele opryczniny Monarcha postawił Potykę. Wychodzi na to, że młodemu skrzydłu Monarcha opryczninę powierzył. I chwała Bogu.

- Idziemy, idziemy... - Kubasow go ciągnął.

Wyszli z sali kąpielowej, Kubasow pociągnął Komiagę do wind.

- Chodźmy, chodźmy!

- Monarcha nasz wie lepiej, jasna sprawa. - Komiaga obejrzał się na ochroniarzy z automatami.

Kubasow wszedł do lustrzanej windy, wciągnął Komiagę, nacisnął guzik „3”. Winda

pojechała w górę. Komiaga spojrzął na swoje odbicie.

- Potyka był przedtem w lewym skrzydle, ale teraz go...

- Śmierdząca potem sprawa! - głośno zaśmiał się Kubasow, wbijając palec w swoje odbicie w lustrze. - A gdzie pot, tam i krew. Tam łyż! Tak?

Komiaga posepnie patrzył w lustro na odbicie Kubasowa.

Winda zatrzymała się. Kubasow szybko wyszedł, ciągnąc Komiagę za rękę.

- O, tutaj... Schronienie odwieczne...

Koło windy stało czterech odzianych na czarno typów z automatami. Dalej otwierał się obszerny gabinet okolicznego z pancernymi, lustrzanymi od zewnątrz szybami trzech wielkich okien; w każdym z nich były wbudowane szybkostrzelne działa. Przy dwóch działach siedzieli strzelcy. Obok działa w środkowym oknie stał masywny skórzany fotel.

- Tutaj, tutaj! - Kubasow zaciągnął Komiagę do stołu.

Na stole leżało wielkie lustro, na lustrze w równiutkich ścieżkach tłoczyły się dziesiątki gotowych kresek kokainy. Tutaj też stała oszroniona karafka z wódką.

„No tak... - ze smutkiem pomyślał Komiaga - jak zawsze...”

I odezwał się:

- Kirill, wiesz, chciałem zapytać...

- Już, już! - Kubasow popchnął go w stronę stołu, wziął złotą rurkę, pochylił się do lustra i zgrabnie wciągnął do obu nozdrzy po jednej kresce.

Od razu pojawił się ochroniarz, napełnił kieliszek wódką. Kubasow krótko pociągnął nosem, wychylił kieliszek jednym haustem, chuchnął i od razu wciągnął trzecią kreskę, cisnął rurkę na lustro, władczo wskazał ją Komiadze grubym palcem. Komiaga, wzdychając z niechęcią, wziął rurkę, bez pośpiechu wciągnął jedną kreskę, potem drugą, wyprostował się. Ochroniarz podał mu kieliszek wódki. Komiaga wypił, z ulgą wypuścił powietrze z płuc. Ale Kubasow stanowczo stukał grubym palcem w lustro.

- Flankową, flankową!

Komiaga schylił się niechętnie i wciągnął trzecią kreskę. Kubasow roześmiał się radośnie, głośno i pogładził go po plecach, grożąc komuś palcem:

- A wszystko przez to, że się gaz kończy. Wszystko powysysali, gady skośnookie!

Komiaga wyprostował się, wyjął chusteczkę, otarł nos. Kubasow złapał go za kaftan ze złotogłowiu.

- Nowa obręcz jest potrzebna, żeby opasać i ścisnąć kraj, co? To miał na myśli, co? Zrozumiałeś, co?

- Ja przecież rozumiem, Kirille Iwanyczu, jakże bym miał nie rozumieć? - Brwi Komiagi

się wygięły. - Monarcha nasz wielkie dzieło zamyśla. I chwała Bogu.

- Monarcha nasz: to szczur śmietnikowy! - z uśmiechem powiedział Kubasow, zbliżając swoją nalaną twarz do twarzy Komiagi. - Poćwiartować by go na placu Kaźni, co? A można i posześcierować, co? Albo podziewięćdziesięciować, co? i psom, psom na pożarcie, co? Za całokształt! Pięknym za nadobne! Dalekim za szerokie!

Komiaga milczał.

- O. - Kubasow pokazał na okna z działami. - Moje trzy gracje. Kocham je.

- Kirille Iwanyczu - spokojnie rzekł Komiaga. - Wiem, że Monarcha dzwonił dziś w nocy do ciebie.

- Dzwonił! - szczerząc się, kiwnął głową okoliczny.

- Namawiał mnie do objęcia tronu.

- Kirill, ja serio...

- I on serio! Mówił, że przyjedzie z czapką Monomacha. Koronować. Z patriarchą. I wiesz - zgodziłem się. Chociaż, Komiaga, szczerze ci powiem: ciężka, och, ciężka jest złojebna czapka Monomacha! Ale się zgodziłem! Co robić?! Oczekuję ich wszystkich w przypołudnie! Szykuję się. O, patrz, Komiaga...

Kubasow podszedł do środkowego okna, usiadł w fotelu, odbezpieczył działą i dał krótką serię po trawniku. Na trawniku bezdźwięcznie wyrosły trzy wybuchy i opadły.

- Witam serdecznie, szczurzyska! - zachichotał Kubasow.

- Kirille Iwanyczu, posłuchaj...

- To ty mnie posłuchaj! - Kubasow nagle uderzył go pięścią w bok. - Nie masz na tobie przypieku! Czemuś się do mnie przywłókl? Myślisz, że ci podpowiem, do kogo by się podwiesić, co?

- Ale daj spokój...

- Zali chcesz miłości? Miłość leczy.

- Kirill...

- Miłość, Komiaga! Miłość! Jasne, co?

- Kirill...

- Miłość świat uratuje, Komiaga, tylko miłość!

- Posłuchaj, Kirill! - Komiaga podniósł głos. - Jutro będziemy żyć w innym kraju. Jutro będzie za późno! Nową miotłę Monarcha szykuje. A witki są w niej gęste. Przecież nie będziesz tu całe wieki siedzieć jak pustelnik! Każda minuta się liczy! Co ci powiedział Monarcha?

Kubasow podniósł palec do wielkich wąskich ust:

- Ciiii. Zaraz.

Podszedł na palcach do stołu, wysunął szufladę, wyjął wielki czarny mauzer, odwiódł kurek, szybko wycelował w czoło Komiagi i wystrzelił. Mózg Komiagi wybryznął z tyłu głowy na dywan. Komiaga szarpnął się i runął na wznak. Ochroniarze i strzelcy przy działach ani drgnęli.

Kubasow popatrzył na leżącego na dywanie Komiagę. Podniósł z lustra łuskę pocisku, poobracał w grubych palcach, powąchał. Postawił na lustrze. Jego oczy zatrzymały się na cukrowym Kremlu, stojącym w kącie na niewysokiej marmurowej kolumnie. Wystrzelił w Kreml. Z Kremla poleciały cukrowe odpryski.

- No... - odetchnął Kubasow i położył mauzer na stole. - W picciu nie zapiję, w jedzeniu nie zajem, we śnie nie zaśpię. Amen.

Powoli poczłapał do okna. Podszedł, popatrzył, mrużąc oczy. Stado wron zatoczyło koło nad trawnikiem, po czym osiadło na świeżych czarnych lejach.

- Nie przenoś starej granicy, którą uczynili ojcowie twoi³³ - rzekł Kubasow i cicho, radośnie się zaśmiał.

³³ Ks. Przysłów 22:28 Biblia Gdańska (przyp. tłum.).